



PENELOPE LIVELY

Fala upału

Rozdział pierwszy

Popołudnie w początkach maja. Paulina wygląda przez okno swojego gabinetu w World's End. Nie patrzy na bujną zieleń pola rozciągającego się aż po chłodny błękit nieba, ale na Teresę, która stoi przed zabudowaniami, przytrzymuje Luke'a siedzącego okrakiem na jej biodrze i spogląda na drogę prowadzącą w kierunku szosy. Paulina widzi Teresę w podwójnej postaci. Widzi swoją córkę, trzymającą syna i wyczekującą przyjazdu męża. Ale widzi także postać-archetyp: dziewczynę z niemowlęciem, kobietę z dzieckiem. „Ten widok niesie ze sobą cały ładunek odniesień - myśli Paulina. - Dziewczyna, dziecko, rozległe pole pszenicy, długa linia zrytej koleinami drogi sięgającej nie wiadomo dokąd”. Widziana przez pierwszą soczewkę Teresa jest jedną z bohaterek powieści Hardy'ego: niewątpliwie zdradzona, tragiczna postać. Druga soczewka ukazuje liryczny obraz młodości i regeneracji.

A w Paulinie migocą także całe sekwencje intymnych odniesień, innych wersji Teresy, związujących obydwie kobiety z minionymi latami i różnymi miejscami. Trwa majowy dzień w World's End, ale jest on także kontynuacją życia dwóch osób - trzech, jeśli wziąć pod uwagę także piętnaście miesięcy życia Luke'a.

Teresa ma powód, dla którego stoi akurat w tym miejscu. Wypatrzyła już błysk słońca na przedniej szybie samochodu Maurice'a, gdy skręcał z głównej szosy. A teraz rzeczywiście samochód się ukazuje, pełznąć w oddali niby gładka, ciemna bestia pośród falującej zieleni. Luke także już go widzi. Całe jego ciało wyraża uwagę i radosne oczekiwanie. Kręci główką. Wskazuje czterema paluszkami. - Ta! - woła. - Ta! - Ogłasza, że nadjeżdża jego ojciec.

Paulina słyszy go przez otwarte okno. Ona także zauważyła samochód. Obserwuje, jak się zbliża, patrzy, jak skręca z drogi na teren położony wzdłuż domków, służący za parking. Maurice wysiada. Całuje Teresę i wchodzi razem do domu, do swojej połowy bliźniaka, stanowiącego World's End. Paulina odwraca się od okna i spogląda znowu na biurko. Bierze ołówek i notuje coś na leżącym przed nią rękopisie.

World's End samo w sobie jest archetypem, a skoro tak, nie można na nim polegać. Jest to szary kamienny budynek na zboczu wzgórza gdzieś w środkowej Anglii. Kamień jest zwietrzały. Wzgórze za domem sięga korony drzew tworzących delikatny ornament na tle nieba. Zręcznie sfotografowane, mogłyby służyć za reklamę fabryki samochodów (trzeba mieć wóz, żeby tu dojechać), przemysłu zbożowego (rośnie tu dobra, zdrowa pszenica); mogłyby je także wykorzystać biura turystyczne (przyjeźdź, a sam zobaczysz te okolice). Sam budynek wygląda tak, jakby tkwił jeszcze w początkach dziewiętnastego wieku: trzy przylegające do siebie piętrowe domki z mansardowymi okienkami na poddaszu, zbudowane z kamienia wydobywanego z odległego o kilka mil kamieniołomu, pokryte również wytwarzaną w okolicy kamienną dachówką. Dom trwa tutaj, usadowiony wygodnie wśród pól. Ma się wrażenie, że po prostu wyrósł samorzutnie, stworzony z krwi i kości tej ziemi. Jest emanacją pewnego czasu i miejsca.

To prawda, że World's End jest zawieszony w tym krajobrazie jak kapsuła statku w kosmosie z cicho brzęczącą maszyną: komputerami, telefonami, faksami; z kuchenkami mikrofalowymi, zamrażar-

kami, z telewizją i wideo. W gruncie rzeczy World's End jest zreżymie zamaskowany, podobnie jak naje-
den z tych pokrytych darnią bunkrów, gotowych stać się siedzibą dowództwa w razie nuklearnego ataku.

Wnętrze budynku zostało całkowicie zmienione. Z trzech mieszkań zrobiono dwa; z pierwotnej konstrukcji nie pozostało nic oprócz okien, kominków, kilku dębowych belek i klatki schodowej. Drzwi frontowe większej części domu po lewej stronie - zamieszkaanej teraz przez Teresę i Maurice'a - prowadzą wprost do dużej, z rozmachem zaplanowanej kuchni. Za nią nowo dobudowana część stanowi pokój rodzinny, wychodzący na ogród, wspólny dla obydwu mieszkań. Kręcone schody pomysłowo zaprojektowane, wykorzystujące niewielką przestrzeń, wiodą z jednego kąta kuchni do sypialni i łazienki na piętrze. Na poddaszu mieści się gabinet Maurice'a.

Mniejsza część domu, należąca do Pauliny, wygląda inaczej. Kuchnia i duży pokój rodzinny mieszczą się równolegle po obydwu stronach maleńkiego przedpokoju, z którego na piętro prowadzą autentyczne, stare schody; niepokojąco spadziste, nazbyt strome, mają bardzo wąskie stopnie. Paulina kazała dorobić poręcze po obydwu stronach, mimo to jednak musi ostrzegać gości idących na górę. Niekiedy żałuje, że schody nie zostały zerwane podczas przebudowy, ale wówczas wydawały jej się wzruszające i stanowiące na swój sposób integralną część domu, a teraz nie może już zawracać sobie głowy następnymi przeróbkami.

Cały dom jest oczywiście oświetlany elektrycznością i ma centralne ogrzewanie. Mnóstwo w nim tykania i potakiwania różnych mechanizmów regulujących czas działania i zdalnie kontrolujących pracę urządzeń. Zielone cyferki mrugają z tablic rozdzielczych. Telefony gotowe do użytku. Pełne oczekiwania komputery i faksy stoją w gabinetach Pauliny i Maurice'a. Oboje mogą wstukiwać się w sieć światowej komunikacji, oboje mogą wywoływać źródłowe informacje z odległych bibliotek. World's End to wilk w owczej skórze i jest zakorzeniony w czasie i przestrzeni nie bardziej niż pokład boeinga 747.

Dziwna nazwa dla domu - World's End. Kiedy Paulina kupowała go dziesięć lat temu, określenie to wydawało jej się zagadkowe, ale nie znalazła żadnego wyjaśnienia, dopóki Maurice nie przypomniał, że w ostatnim stuleciu często nazywano tak miejsca położone wśród pól, a przeznaczone na mieszkania dla robotników rolnych - nowe osiedla z dala od wsi i odpowiednio określane, miejsca, które zdawały się odległe czy też (jak na ironię) idylliczne. World's End; Botany Bay; Tasmania; Utopia Cottages; Paradise Row - Maurice wyrzucał z siebie te uwagi od niechcienia, na oczekaniu, stojąc na dojazdowej drodze, kiedy po raz pierwszy tu przyjechał, zanim jeszcze ożenił się z Teresą, jakby to było coś takiego, o czym każdy wie.

Paulina, która siedzi teraz przy biurku, kreśląc kolejną krótką uwagę na czyimś rękopisie, spogląda znowu na drogę i dostrzega cień Maurice'a rzucającego tamte uwagi. Maurice zerka przy tym na Paulinę z pewną dezaprobatą, jak to często czyni, kiedy udziela komuś informacji, a ona jest zarazem zaciekawiona i lekko zirytowana. Przez moment także Teresa miga jej przed oczami, gdy z Maurice'em rozmawia o domkach: stoi po drugiej stronie, jest wpatrzona w Maurice'a, głęboko zakochana, usidlona, skazana, zgubiona.

Teresa wciąż jest zakochana w Maurice'u, od trzech lat. To jasne dla każdego, kto na nią spojrzy. Widzi to zwłaszcza Paulina. Widzi to właśnie teraz, widziała, gdy Teresa stała, obserwując samochód Ma-

urice'a; świadczyła o tym jej pozycja, poruszenia głowy, sposób, w jaki niespokojnie ręka wędrowała w dół i w górę, gdy obrywała listki z żywopłotu. A widząc to, Paulina wie z całą dokładnością, co Teresa odczuwa. Mogłaby na moment zająć jej miejsce - nie stając się Teresą, ale sobą, wyczekującą w ten sam sposób na mężczyznę w innym dniu, w innym czasie.

I oto on nadchodzi. Nie prowadzi samochodu na błotnistej drodze, lecz szybko przeciska się przez tłum na stacji Victoria. Paulina widzi z daleka, że nadchodzi, ale nie rusza na spotkanie, stoi w miejscu, gdyż są to najlepsze chwile ze wszystkich: przejmujące szarpnięcie, gdy go identyfikuje, gwałtowne poczucie istnienia, jakby wszystkie zmysły stały się intensywniejsze. Chce przeciągnąć wspaniałe minuty oczekiwania. Potem mężczyzna jest już o kilka metrów, uśmiecha się, macha ręką. A potem ją obejmuje. Czuje go przy sobie, wdycha jego zapach. Harry. Nic temu nie może dorównać, wie o tym - nic na świecie.

Kiedy ten moment wraca do niej z całą mocą dzisiaj, w World's End, to doznanie jest jeszcze ostrzejsze, daleko jaśniejsze niż wszystko, co widzi, niż hala dworcowa, niż twarz Harry'ego. Sam Harry został zredukowany do podpowiedzi, stał się cynglem, za pociągnięciem którego wróciło do życia uczucie.

Paulina czyta kolejną stronę redagowanego maszynopisu. Poprawia ortografię, taktownie zwraca uwagę na powtarzające się słowa. Przesuwa maszynopis na brzeg biurka, ziewa, przeciąga się i siedzi przez kilka minut, obserwując, jak kończy się majowe popołudnie. Zmienacka zrobiło się ciepło po chłodnej, szarej wiośnie. Wyraźnie już się odczuwa, że lato może nadejść. Chyba po raz pierwszy otworzyła okno podczas pracy. W sąsiedztwie także musi być otwarte okno: słychać hałasy Luke'a - mnóstwo bezsłownych, nagłych próśb - i odpowiedzi Teresy. Słychać też Maurice'a - pomruki nie do odszyfrowania; widocznie telefonuje. Maurice często telefonuje.

World's End ma jakieś sto siedemdziesiąt lat. Paulina ma pięćdziesiąt pięć, Teresa dwadzieścia dziewięć, Maurice czterdzieści cztery.

Miejsce to Paulina mogła nabyć dzięki temu, że odziedziczyła dom po rodzicach, kiedy jej matka zmarła w dwa lata po ojcu. Pracowała wtedy na całym etacie jako redaktorka w jednym z londyńskich wydawnictw. Teresa była w szkole pomaturalnej. Żadna z nich nie знаła wówczas jeszcze Maurice'a, a tym samym nie wchodził w grę. Maurice był zajęty wyrabianiem sobie reputacji jako młody niezależny autor książek o pokrętnych, dziwacznych aspektach historii. Pochlebiali one czytelnikowi, bo były jednocześnie naukowe i zachęcające: błyskotliwa relacja o przemyśle tytoniowym, kontrowersyjna książka o marketingu w krajowym handlu. Teraz Maurice pracuje nad historią turystyki - śmiały projekt omawiający sposoby, jakimi można się posłużyć w celu wykorzystania dla celów komercyjnych środowiska naturalnego i stworzonego przez człowieka. Maurice jest w częstym kontakcie z wpływowymi producentami filmowymi. Mówi się poważnie o serialu w TV opartym na jego książkach. Te dyskusje wywierają nieunikniony wpływ na wydawcę Maurice'a, który entuzjastycznie odnosi się do jego pracy. Z pozycji interesującego autora ekscentrycznych książek Maurice awansował do kategorii potencjalnych cennych nabytków.

Właśnie ostatnia książka spowodowała, że Maurice i Teresa znaleźli się tej wiosny w World's End. Zanim zostali małżeństwem, Paulina wynajmowała większą część domu, zatrzymując dla siebie mniejszą.

Kiedy Teresa wyszła za Maurice'a, Paulina oddała jej większe mieszkanie na wyjazdy weekendowe. W tym roku jednak Maurice oznajmił, że spędzą tutaj całe lato, żeby nic mu nie przeszkadzało, bo chce pracować nad książką, której pierwszy szkic jest już ukończony. Oczywiście, od czasu do czasu będzie musiał pojechać do Londynu, żeby sprawdzić dane, a jego redaktor, James Saltash, będzie wpadał do World's End na weekendy, żeby przejrzeć z Maurice'em maszynopis. Tego lata World's End stanie się niemal wydawniczym mocarstwem.

Paulina zrezygnowała z posady pięć lat temu. Teraz wykonuje swój zawód w domu jako wolny strzelec, ponieważ jest poszukiwaną, szeroko znaną i wysoce kwalifikowaną redaktorką. Bierze więcej lub mniej pracy, tyle, ile jej się podoba, i usiłuje ratować autorów od skandalicznych pomyłek semantycznych i beztroskich, twórczych smaczków. Przedziera się przez powieści, sprawdzając, czy oczy bohaterki nie zmieniły się po drodze z niebieskich na szare, czy wiosna nie ustąpiła nagle miejsca zimie, czy niedziela nie następuje po poniedziałku. Kwestionuje niezgrabne konstrukcje zdaniowe i taktownie zwraca uwagę, że przecinka i średnika nie można używać wymiennie. Maszynopisy, nad którymi się biedzi, usiane są maczkami jej zwięzłych i bezstronnych komentarzy, pytają o sens pokrętnych akapitów, zwracają uwagę na literackie klisze. Autor czy autorka i tak, rzecz jasna, obierze swoją własną, miłą sercu drogę. Wielu z nich zaakceptuje niektóre lub nawet wszystkie zmiany Pauliny, opierając się im w mniejszym lub większym stopniu. Kilku nieprzejednanych będzie walczyć do ostatniego przecinka, wyznając zasadę nieomyślności autora. Paulina poniekąd lubi taką wymianę - przekazywanie sobie informacji z różnych słowników i literackich precedensów, oczywiście w jej wypadku może to robić tylko w takim stopniu, w jakim autorzy sobie życzą zagłębiać się we wszystkie rażące gafy i błędy gramatyczne. To przecież nie jej sprawa. Robi swoje, i robi to chętnie, pracując przy biurku pod oknem przez długie, spokojne dni, od czasu do czasu podnosząc wzrok, aby spojrzeć, jak wraz ze zmianą położenia słońca zmienia się światło na dworze, albo unosząc się z krzesła, żeby sięgnąć po potrzebny słownik lub zrobić sobie filiżankę kawy.

Paulina zna doskonale otaczającą dom przestrzeń, rozpiętość jej nastrojów i barw, zmiany zależne od pór roku. Na polach rośnie pszenica, zimowa pszenica, która teraz, w maju, wygląda jak bujne zielone futerko. To duże pole - przyniesie sześćdziesiąt ton pszenicy, jeśli zbiory będą dobre. Tak więc szmaragdowa kołderka, która na wietrze marszczy się srebrzyście, przedstawia wartość około pięciu tysięcy funtów. Paulina dowiedziała się o tym od Chaundy'ego, farmera, od którego kupiła World's End. Chaundy nie jest człowiekiem zbyt przyjaznym, są w stosunku do siebie tylko powściągliwymi znajomymi, niczym więcej, ale niekiedy spotykają się na drodze i wymieniają kilka niezobowiązujących zdań. Przy jednej z takich okazji Paulina zagadnęła go o informację dotyczącą pola.

- Chce pani zająć się uprawą ziemi? - zapytał Chaundy z sarkazmem.

- Ależ oczywiście, że nie. Tylko ciągle patrzę z okna na to pole i pomyślałam, że chciałabym więcej o nim wiedzieć.

Chaundy nie był zainteresowany ciekawością Pauliny. Odpowiadał na pytania niechętnie, zbywająco. Areal. Wydajność. A w ogóle to nie obchodzi go sprawa Pauliny. Jest po prostu kimś, z kim kiedyś

ubił interes, a teraz jest sąsiadem, lecz tylko z nazwy, ponieważ Paulina nie należy do jego środowiska. Nie ma obowiązku stykać się z nią na co dzień. Nie pracuje dla niego ani nie sprzedaje mu nawozu, nie kupuje od niego zboża ani nie dzieli jego trosk. Jeśli zamieszkuje w jego świetle, to tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Chaundy uchodzi za wielkiego farmera. Ma ziemię nie tylko tutaj, ale i w sąsiedniej dolinie. O dziesięć mil dalej prowadzi kemping dla posiadaczy przyczep samochodowych, po drugiej stronie wzgórza ma sady, gdzie można samemu zrywać owoce, a tuż przy nich sklep i restaurację. Jest także właścicielem wielu gospodarstw, gdzie hoduje broilery. Obecnie Chaundy chyba nie musi sobie zbytnio brudzić rąk. Głównie jeździ prawie nowym, ale rozklekotanym peugeotem między jednym a drugim przedsiębiorstwem i wydaje związane polecenia. Sporo ludzi pracuje dla Chaundy'ego, większość z nich zresztą za niewielkie pieniądze.

Wysoko, w lewym rogu pola, gdzie zaczyna się to sąsiedztwo, lśni jaskrawożółty trójkąt, widoczny z daleka nad szczytem wzgórza. To wytwórnia, gdzie wytłacza się olej rzepakowy. Paulina nie jest całkowicie pewna, co ma myśleć na temat tej wytwórni oleju vis-à-vis. Jeśli chodzi o estetykę, opinie są podzielone. Są tacy, którzy uważają, że ta miła barwna plama jest wesoła. Puryści - najgłośniejszy wyrażający swoje zdanie w tej kwestii - ubolewają, że wytwórnia oleju to dysonans, rażąca nuta w subtelnych tonach angielskiego krajobrazu. Została okrzykana jako niepożądany intruz zza Kanału (na skutek polityki rolnej Wspólnoty Europejskiej tłoczenie oleju rzepakowego stało się bardzo opłacalnym zajęciem), stąd też rzepak nabrał grzesznego podtekstu politycznego, nie mówiąc już o jego nieznośnym kolorze. Paulina, patrząc na cytrynowożółtą flagę nad wzgórzem, żywi mieszane uczucia. Czasami rzeczywiście uderza ją wesoła tonacja; myśli wtedy o ciepłym południu, o polach słoneczników. Kiedy indziej wydaje się jej zbyt agresywnym wykrzyknikiem na horyzoncie. Ale przecież nie będzie tu wiecznie. Z końcem czerwca zagaśnie razem z efemerycznymi właściwościami tego krajobrazu.

I to tyle, jeśli chodzi o World's End owego majowego popołudnia, które teraz zmierzcha, przechodząc w wieczór, gdy Paulina porządkuje biurko, opuszcza swój gabinet i schodzi na dół dziwacznymi, stromymi schodami sprawdzić, co ma w lodówce na kolację. Tyle też o Paulinie, Teresie, Maurice'u. Matce, córce, zięciu i mężu. Są krewnymi i sąsiadami, zatrzymanymi na to pracowite lato we własnym towarzystwie.

Rozdział drugi

Jest dziesiąta rano następnego dnia. Paulina, Teresa, Maurice i Luke zebrali się w przestronnej kuchni domku Teresy.

Teresa mówi coś do Luke'a - niewyraźne gruchanie matki do dziecka, niekonsekwentne paplanie dla ucha dorosłego, zrozumiałe odkrycie dla malucha.

- O tak, tutaj - mówi Teresa. - Teraz spodenki. Jedna nóżka... druga... tak. Dzisiaj spodenki czerwone. O, tak właśnie, bardzo dobrze.

I Luke pojmuję, że dźwięki, które słyszy, w tajemniczy sposób są związane z rzeczami, które widzi. „Da - mówi. - Da”. Albo może „ba”, albo „tak”. Dźwięki, które wydaje, nie są jeszcze do niczego przyczępione: ani do przedmiotów, ani nawet do samogłosek czy spółgłosek. Są po prostu dźwiękami. W radiu mówią o wyborach we Włoszech, przerywa to nagły wybuch muzyki; teraz mówią o rzezi w Rwandzie. Paulina czyta list. Spogląda przez stół na Teresę.

- Jane ma mieszkanie w Wenecji - mówi. - Może pojedę tam na jakiś tydzień.

- Och, oczywiście - odpowiada Teresa. - Chcesz banana, Luke? Mmmm... dobry banan?

Maurice wisi na telefonie:

- Zgoda, więc przyjedziecie oboje w sobotę. Znakomicie.

Aha... i przywieźcie może egzemplarz *Tour through the Whole Island of Great Britain*, James, jeśli gdzieś ją znajdziecie. Dzięki.

Prawdziwa zamieć słów trwa w tym pomieszczeniu, bombardują Luke'a, przepływają mu przez głowę jak cząsteczki przez materię. Wrażenia walą w niego ze wszystkich stron, bezbarwny zgiełk mowy, blask widzialnego świata. Ten pokój i ten dzień są dla Luke'a płonąca nowością i objawieniem: czajnik, na którego lśniącej powierzchni tańczy odbicie niebieskich kwiatów w wazonie; krzesło, którego nogi skrzypią na posadzce, gdy ojciec wstaje. Nie rozpoznając niczego, jest zdumiony wszystkim. Istnieje na innym planie niż Teresa, Paulina czy Maurice, widząc to, czego oni nie mogą zobaczyć, słysząc, czego oni nie mogą usłyszeć. Z nich czworga tylko Luke reaguje ze wzmoczoną percepcją na migotanie rzeczy. Siedzi na kolanach Teresy jak przybysz ze świata utraconych zdolności. „Da” - mówi. A Teresa promienieje, nie pojmując.

- Znowu dostał wysypki - oznajmia Paulinie.

Maurice stoi teraz przy oknie, trzymając w ręku filiżankę kawy. Odwraca się, zniżając naczynie.

- Moglibyśmy gdzieś pojechać w niedzielę, jeśli pogoda się utrzyma. James i Carol przyjadą na weekend. James chce raz jeszcze przejrzeć szósty rozdział.

- Zrobię dzisiaj duże zakupy w Hadbury - mówi Teresa. - Może dostanę baranie udo.

Paulina chowa list do kieszeni.

- Carol? - pyta.

Maurice bierze teraz gazetę, przegląda z roztargnieniem stronę tytułową.

- Mieszka z Jamesem - wyjaśnia matce Teresa. - Carol... och, jak ona się nazywa, Maurice? Mniejsza z tym... przyjadą w piątek czy w sobotę?

- W sobotę rano - odpowiada Maurice. Odkłada gazetę, kończy kawę, idzie w kierunku drzwi. - No, trzeba dalej harować.

Patrzy przez ramię na Paulinę z pojednawczym, krzywym, właściwym sobie uśmiechem.

- A co z twoją robotą, Paulino? Coś ciekawego?

- Niespecjalnie. - W głosie Pauliny wyczuwa się odrobinę surowości, pewną ostrość. Może dlatego, że otwiera akurat drugi list i dłubie w rożku przy jakichś spiętych razem papierach, czynność, która zawsze jest nieco irytująca.

Maurice wychodzi z kuchni. Idzie na górę. Kobiety słyszą, jak zamyka drzwi od swego pokoju. Paulinie udaje się rozpiąć papiery i rzuca okiem na potop usprawiedliwień autora, który w ferworze szczepił je razem w niewłaściwej kolejności. Wciąż jednak widzi górującą nad tekstem twarz Maurice'a i jego uśmiech kota z Cheshire i zaczyna myśleć o twarzach, o zapamiętanych wizerunkach. Twarz jest wyobrażeniem tak samo nierealnym, jak sposób poruszania się czy modulacja głosu. Twarzy nie można przetłumaczyć na słowa - najwyżej do pewnego stopnia.

Maurice ma twarz trójkątną, czoło szerokie, oczy szeroko rozstawione, nos cienki i wydatny. Płaszczyzny policzków schodzą ostro w dół ku szpiczastej brodzie. Włosy sterczą mu jak sprężyny: grube i kręcone, lekko kasztanowe. Słowa... które mogą dać pojęcie o tym, jak Maurice wygląda, które mogą stworzyć podstawę do portretu pamięciowego, ale które są tylko słabym odbiciem szczególnej właściwości rysów, właściwości, jaka oznacza, że ci, co dobrze znają Maurice'a, mogą na zawołanie wyczarować jego twarz, a Luke może wyłowić tę twarz z tuzina innych i zawołać: Ta!

Twarz Luke'a jest zbiorem odniesień. Paulina widzi w niej Maurice'a, zwłaszcza w rozstawie oczu. Widzi nos Teresy i zapowiedź jej uniesionego łuku brwi. Widzi także coś z siebie samej, właściwy sobie wyraz twarzy, który chwyta w lustrze, a czasem także u Luke'a, gdy ten odwraca głowę i patrzy na nią. Dostrzega również jakiś przebłysk swojej matki i migotanie twarzy ojca, a raz nawet uchwyciła w niej echo pewnej ciotki, którą słabo знаła, ale której wyraziste rysy wyzierają ze zdjęcia w rodzinnym albumie. Ma wrażenie, że Luke przechodzi proces wypróbowywania raz tego, a raz innego rysu, dopóki nie dotrze ostatecznie do jakiejś możliwej do zaakceptowania syntezy.

Teresa ma twarz owalną, bladą cerę, piwne oczy i grube brwi. Z wysokiego czoła ściąga do tyłu ciemne włosy, przytrzymując je opaską u nasady szyi. Kiedy Paulina na nią patrzy, widzi oprócz tego wszystkiego jej poważny, lekko zatroskany wyraz twarzy. Jednocześnie jednak zauważa także coś innego, co tylko ona dostrzega, a mianowicie tajemnicze, trochę niesamowite echo siebie, jakie rodzice znajdują w dziecku. Teresa nie jest podobna do Pauliny, rysy Pauliny są grubsze, bardziej płaskie, ma większe usta, oczy zielonkawe, a kasztanowe włosy o miedzianym odcieniu przetkane są siwizną. Niemniej to echo istnieje, nieuchwytnie, lustrzane odbicie, nieokreślone, ulotne, lecz nieuchronne. „Oto jest Teresa” - myśli

Paulina. I jestem w niej także ja, nie myśli już, ale po prostu stwierdza. I oto także - co nieuniknione - jest w niej Harry.

- Jeszcze kawy? - pyta Teresa.

- Hmm... dziękuję.

Teresa, Paulina i Luke są teraz w kuchni sami. Wszystko wydaje się nieco inne, jakby wiatr zmienił kierunek. Zmienia się także ton, jakim te dwie kobiety ze sobą rozmawiają. Pewne rezonanse zniknęły, doszły inne. Tylko Luke, zajęty swoimi sprawami, jest wciąż taki sam.

- Lepiej zostaw Luke'a ze mną, kiedy pojedziesz po zakupy - proponuje Paulina.

Teresa się waha.

- Przecież pracujesz.

- Mogę przerwać robotę, nadgonię wieczorem. Teraz mam mnóstwo czasu dla siebie.

- No, to dobrze - zgadza się Teresa. - Dzięki. Może coś ci przywieźć?

- Chleba mi wystarczy. Jakieś owoce. Muszę pomyśleć.

Milczenie, przerywane tylko dreptaniem Luke'a dokoła kuchni, jego uwagami, jego wykrzyknikami.

- Neskę - dodaje Paulina. - I zwykły jogurt. Resztę mam.

- Dobrze. - Teresa robi listę sprawunków. Przerywa pisanie i niewidzącym wzrokiem patrzy w stół.

Może myśli o zakupach. A może nie.

Paulina spogląda na Teresę.

- Na czym stanęli w tej książce? Maurice i ten, jak mu tam, James?

- Saltash. Chyba zaczynają pracę nad drugim brulionem.

- Zdaje się, że Maurice potrzebuje dobrego redaktora.

- Maurice mówi, że James jest bardzo pomocny. I to James rozmawia z facetem od filmu, a muszą być pewni, że Maurice zrobi książkę przyzwoicie, jeśli program w telewizji ma się rzeczywiście udać.

- Aha.

- Luke może dostać jajecnicę na lunch - ciągnie Teresa. - Gdybym późno wróciła.

- A Maurice? Też mam go nakarmić jajecnicą?

- Maurice na pewno chętnie zaczeka - zapewnia Teresa.

Dość przyziemna wymiana zdań. Chociaż pożyteczna: uzgodniono postępowanie, udzielono informacji i otrzymano wskazówki. Pobrzmiwają jeszcze echa i pogłosy, lekkie migotanie na uprzejmej powierzchni. Zwykle słowa są czymś naładowane, może to echa innych wydarzeń, innej wymiany zdań, różnych manifestacji Pauliny i Teresy. Każda zmiana tonacji ich głosów ujawnia cykl nieuniknionych zawiłości. Mówią nie tylko o liście zakupów i lunchu, ale o wspólnej przeszłości.

I Paulina, która obserwuje, jak Teresa zagryza wargi, wbijając niemo wzrok w kuchenny stół, widzi także, jak córka rozplywa się na chwilę w innej Teresie, spoglądającej na inny kuchenny stół w innym domu, by po chwili podnieść głowę i oznajmić:

- Nie wychodzę dziś wieczorem z Donem.

- Ha! - dziwi się Paulina. - Chcesz go wystawić do wiatru, czy tak?

Teresa wygląda teraz na zakłopotaną.

- Nie, właściwie nie. Po prostu... hm, to wszystko jakoś straciło świeżość, więc powiedziałam, że może będzie lepiej, jeśli dziś nigdzie nie pójdziemy.

- To się właśnie nazywa wystawić kogoś do wiatru - wyjaśnia Paulina. - Ale skoro tak sobie siedzisz i nie jesteś w nikim zakochana, to zrób mi tę uprzejmość i zamieszaj to. Za trzy godziny przychodzi do mnie dwadzieścia osób.

Teresa sztywnieje. Czerwieni się ze wstydu. To dobra dziewczyna, w tym cały problem.

- On to przeżyje - mówi Paulina. - Zanim tydzień minie, cała sprawa przyschnie.

- Dzięki - mruczy Teresa, łagodnie obrażona.

- Bo jest młody i zdrowy. A ty zostałam teraz na lodzie w samego sylwestra. Co masz zamiar robić?

- Zostanę na twoim przyjęciu.

- Ach tak, zostaniesz tutaj? W takim razie tym szybciej weź się do roboty. Trzeba tutaj nakryć i musimy jeszcze przygotować coś w rodzaju ponczu.

- A kto ma przyjść? - pyta Teresa.

Jeszcze jedno echo spośród wielu innych, zagłuszone już przez pośpieszną krzątanicę Teresy, która szuka portmonetki, kluczyków do samochodu, torby na zakupy; przez Luke'a, który wyciem wyraża krótki protest, gdy Paulina chwytą go i wyciąga do ogrodu, żeby odwrócić uwagę dziecka od wychodzącej matki.

Ogród w World's End to prostokąt wrzynający się w pola. Składa się z trzech długich, wąskich pasów, które dla poprzednich właścicieli były osobnymi przydomowymi ogródkami - rzadki wówczas gest pozwalający każdej robotniczej rodzinie na posiadanie własnej małej działki, gdzie można było uprawiać trochę warzyw. A także kwiaty, wiejskie, ogrodowe kwiaty, których potomstwo nieustępliwie wzrastało tu rok po roku. Na końcu ogrodu jest sad, gdzie stare jabłunki, których okres świetności dawno przeminął, rodzą zdziczałe, marne owoce. Zapewne są także pozostałością po poprzednich mieszkańcach tego miejsca: były wówczas troskliwie pielęgnowanym, cennym nabytkiem, dziś w tym zaniedbanym miejscu zarosły bujną trawą, której nikt nigdy nie kosi.

Pole otaczające ogród obsadzono nie pszenicą, ale młodą kapustą, całymi rzędami błękitnoszarych sadzonek, które zlewają się w bandaż o delikatnej barwie. To jest mniejszy obszar otoczony żywopłotem. Za nim wznosi się wzgórze pokryte akrami zielonej pszenicy. Ale nie jest to ta sama, nie przerwana niczym zielona przestrzeń, którą Paulina widzi z okna swojego pokoju. Tutaj linię pola przecina w połowie płot, za którym uderza w oczy jeszcze jeden element wnoszący dysonans: obręcz jesiennego złota. Teraz, w maju, kiedy wszystko jest w pełnym rozkwicie, to pole wygląda jak pustkowie pokryte martwą trawą. Wszakże jej kolor jest tym bardziej niepokojący, że nie jest to płowa barwa zimowego uwiądu, lecz nienaturalna ostra żółć, surowy odcień obrzeża wypalonego przez chwastobójcze środki. I to jest właśnie taki przypadek. To pole jest nie do użytku. Jest produktem polityki rządu, który płaci rolnikom, aby nie upra-

wiali ziemi. Chaundy dostaje kilkaset funtów za to, żeby na tym kawałku nic w tym roku nie rosło. To zaś, co przypadkiem wyrosło, zostało opryskane tak, żeby później można było ziemię zaorać. Krajobraz jest pokiereszowany podobnymi pasami, prowokacyjnymi plamami pośród porządnie wytyczonych szeregów pszenicy, jęczmienia, brukselki, porów, owiec, krów i oczywiście pośród kurzych ferm, parkingów na przyczepy kempingowe i gospodarstw, gdzie można samemu zerwać sobie owoce.

- Co za ironia - zastanawia się Paulina - ta ziemia, która starła na proch całe pokolenia zaharowanych rolników, teraz jest zbyt urodzajna. Naruszyła ekonomiczną równowagę, więc dla własnego dobra trzeba ją wyjałowić środkami chwastobójczymi, aby leżała odłogiem.

Paulina czasem myśli o ludziach, którzy byli w World's End przed nią. O prawdziwych jego mieszkańcach, tych, którzy tu żyli na serio, ponieważ musieli tu mieszkać. Wyobraża sobie skarłowaciałych ludzi o skórze zniszczonej przez brud i pogodę. Większość z nich, mając pięćdziesiąt pięć lat - czyli będąc w jej wieku - była już stara; często tracili przytomność, zmierzając do swoich lepierek z torfu, pracując dosłownie w ziemi. Zapewne inaczej patrzyli na srebrny poblask zimowego słońca na zoranych polach, na falujące złoto sierpniowych pól kukurydzy.

„Dla nas to naturalne - myśli Paulina - bawić się w Marie Antoinette, koić znękaną duszę kontemplacją natury. A przecież kiedyś miejsce to było autentyczne”.

Luke zmierza w kierunku wysokiej trawy w sadzie, jeszcze wilgotnej od rosy, gdzie z pewnością przemoknie. Trawa jest prawie tak wysoka jak on. Goniąc chłopca, Paulina przez moment spogląda jego oczami, poznaje zachęcający świat zmysłowych możliwości, zróżnicowaną przestrzeń światła i cienia, rzeczy, które falują, kurczą się i podskakują. Podnosi Luke'a, kieruje go z powrotem w stronę domu i widzi Maurice'a, który wychodzi im naprzeciw przez oszklone drzwi.

Maurice trzyma w ręku kubek kawy. Dla niego kawa jest paliwem, którym podtrzymuje się przez cały dzień.

- Cześć, moja dwójko. Gdzie Teresa? - pyta.

- Pojechała po sprawunki. Macie przecież gości na weekend. Zapomniałeś? Trzeba kupić coś do jedzenia.

Maurice uśmiecha się swoim krzywym uśmiechem. To uśmiech obliczony na odrzucenie na bok wszelkich trudności, także takich jak te, które implikują słowa Pauliny. Patrzy w dół na Luke'a, który obejmuje go za kolana, prosząc, żeby go wziąć na ręce. Gładzi go po głowie. Maurice nie proponuje, że zajmie się Luke'em, kiedy Teresa idzie po zakupy, ponieważ nigdy by mu to nie przyszło do głowy. W gruncie rzeczy chyba nie wziął pod uwagę wyprawy po sprawunki.

- Jak się pisze Gesellschaft?* - pyta.

* Niem. - towarzystwo (przyp. tłum.).

Paulina mu wyjaśnia.

- A ja myślałam, że to książka o brytyjskiej turystyce.

- Bo tak jest. Ale trzeba też zademonstrować trochę kulturalnego eklektyzmu, nieprawda? - podnosi kubek do ust i spoza niego spogląda na Paulinę ze zdobywczym i uprzedzająco grzecznym spojrzeniem, które stanowi główny urok Maurice'a. Ci, których nimi obdarza, czują się pochlebieni i docenieni.

Paulina jednak, oswojona z tym spojrzeniem, pozostaje nieczuła. Widzi Maurice'a przyglądającego jej się badawczo znad biało-niebieskiego porcelanowego kubka w ogrodzie w World's End i naraz ten Maurice ustępuje miejsca innemu Maurice'owi, który opiera się o kominek w londyńskim mieszkaniu Pauliny i podnosi do ust kieliszek wina, patrząc ponad głowami zgromadzonych w pokoju gości.

- A więc to jest córka - upewnia się. Czerwone wino, przez które prześwieca światło, i uważne oczy Maurice'a.

Maurice poddaje się nalegającym pomrukom Luke'a, podnosi go i trzyma niezgrabnie. Nie odznacza się zręcznością fizyczną, co jest zaskakujące u mężczyzny o bystrych i lotnych reakcjach umysłowych. Upuszcza i przewraca różne rzeczy, kiepski z niego kierowca. A jest wprost beznadziejny, jeśli chodzi o takie zajęcia, jak wymiana elektrycznego bezpiecznika lub zmiana opony. Część tej niezręczności przypisuje się temu, że lekko utyka skutkiem jakiegoś wypadku w dzieciństwie. W pewnych okolicznościach lekko ślania się na nogach. Tym jednak nie da się wytłumaczyć niezdarności rzucającej się w oczy teraz, gdy przesuwają Luke'a z jednego ramienia na drugie. Oczywiście, ojcostwo spadło na niego późno. Mając czterdzieści cztery lata, jest za stary, żeby być ojcem małego dziecka. Nie tak łatwo poradzić sobie z nowymi obowiązkami, gdy przekroczy się czterdziestkę.

Starość przeraża Maurice'a. Nie dowierza, iż już się do niego skrada, że proces starzenia się także i jego dotyczy, że nie jest od niego zwolniony. Paulina widuje u niego nagłe napady paniki, zauważa, jak stara się otaczać młodymi ludźmi, w jaki sposób chce utrzymać szalone tempo, stale w ruchu, stale ciekaw czegoś nowego, w pogoni za nowymi pomysłami, nowymi znajomościami. I znowu - to jasne - ludzie o takim usposobieniu często interesują się kobietami o wiele od siebie młodszymi.

Paulina zna Maurice'a od sześciu lat. Przez trzy lata, zanim ożenił się z Teresą, znała go słabo. Jego książki wydawała firma wchodząca w skład wydawniczego konsorcjum, dla którego Paulina pracowała. Poznała go na konferencji dotyczącej obrotu książkami i nawiązała luźny kontakt. Ponownie spotkała go na jakimś przyjęciu i zobaczyła w ferworze dyskusji. Maurice jest czarującym rozmówcą, umie sprawić przyjemność i pobudzić do żywej wymiany zdań. Zadzwoił potem do niej, żeby sprawdzić tytuł książki, o której wspomniała. Znajomość zaczęła się umacniać. Gdy tylko Maurice zobaczył Paulinę na jakimś towarzyskim spotkaniu, podchodził do niej, żeby z nią porozmawiać. Raz czy dwa wstąpili razem na drinka. Paulina zaprosiła go na sylwestrowe przyjęcie.

Znajomi Maurice'a, ci, którzy go dobrze znali i wiedzieli, jak zazwyczaj sprawy toczą się dalej, byli zaskoczeni, gdy się dowiedzieli, że ma zamiar poślubić Teresę. Okres wspólnego zamieszkania był czymś normalnym, ale małżeństwo? Dziwiono się, dlaczego chce się z nią ożenić. Wspaniała dziewczyna - to pewne. Ale małżeństwo? Maurice miałby się żenić?

W tym punkcie Paulina również należała do tego kręgu ludzi.

- Dlaczego? - zapytała Teresę, tkwiąc między niedowierzaniem a niesmakiem. - Dlaczego zaraz wychodzić za mąż?

- Kocham go - powiedziała Teresa promieniejąca szczęściem.

- Przemyśl to sobie trochę - lamentowała Paulina.

- Nie można myśleć, kiedy się kocha - twierdziła Teresa dość rozsądnie.

Właściwie nie można powiedzieć, że małżeństwo z mężczyzną o piętnaście lat starszym niesie ze sobą nieodłączne niebezpieczeństwo. Jeśli ktoś jest głęboko zakochany i odkrywa ku swemu zdumieniu i radości, że miłość ta jest odwzajemniona, propozycja małżeństwa wydaje się naturalnym krokiem.

Teraz Luke wierci się, jakby czuł, że Maurice niezbyt pewnie go trzyma. Maurice stawia go na ziemi, a chłopiec sunie dalej, żeby zbadać kępkę trawy. Zrywa coś i wkłada do ust. Paulina interweniuje, wyciąga źdźbło z różowego pyszczka Luke'a. Maurice przygląda się temu dobrotliwie; kocha dziecko na swój sposób. Trzeba jednak powiedzieć, że uczucie, jakie żywi dla Luke'a, wcale nie przypomina tego, jakie Paulina żywi dla Teresy, ani miłości, jaką Teresa ma dla Luke'a. Luke to coś, co przytrafiło się Maurice'owi po drodze; jest zadowolony, że mu się trafił. Uważa, że dzieciak jest zajmujący. Byłby bardzo zmartwiony, gdyby Luke był poważnie chory albo ranny, a gdyby umarł - byłby głęboko wstrząśnięty. Ale jeśliby mierzyć ojcowskie zaangażowanie skalą Richtera, Maurice nie przekroczyłby trzech stopni. Pomyślałby kto: szczęśliwy Maurice.

- Byłaś kiedy w Bradley Castle? - pyta teraz.

- O, co to, to nie - odpowiada Paulina.

Bradley Castle to odległe o dziesięć mil tereny z wielkimi szesnastowiecznymi budowlami, przemienione w park rozrywki, w którym są przedstawiane zdarzenia z życia Robin Hooda. W sobotnie wieczory można tam więc zobaczyć turnieje, polowania z sokołami i średniowieczne ucztę.

- Myślałem, że moglibyśmy wszyscy pojechać tam w sobotę.

Paulina unosi brwi.

- Wymyśliłabym lepsze rozrywki dla twoich gości.

- Czuję się tu zbyt odizolowany - żali się Maurice. - Muszę trochę popatrzeć na prawdziwych turystów.

- Ach tak, rozumiem. Twoja książka. - Paulina pojmuje, że ta wyprawa nie ma na celu zabawienia gości Maurice'a, ale zostanie wykorzystana w jego książce.

Egotyzm Maurice'a nie rzuca się w oczy. Na pozór nie jest zbyt zajęty sobą. Wcale tak dużo nie mówi o sobie ani o swoich sprawach. Co więcej, próbuje poznać problemy innych ludzi. Wypytuje ich z powściągliwym, rozbawionym wyrazem twarzy:

- Dlaczego pan tak myśli? Co sprawiło, że pan tak postąpił? - Egotyzm w wydaniu Maurice'a jest bardziej subtelny, nieugięcie zmierza do celu. Tylko wtedy, gdy ktoś dobrze go zna, gdy ma okazję przez pewien czas obserwować jego zwyczaje, tylko wtedy rzeczywiście widzi, że stosuje on system bezlitosnej

manipulacji. Wszyscy będący w zasięgu Maurice'a robią to, co on uważa, że powinni robić dla jego większej wygody. To wspaniale przeprowadzane działanie.

- Mnie od razu wykreśl - oświadcza Paulina. Maurice rozważa jej obecność. Patrzy na nią figlarnie.
- Jesteś nam potrzebna, Paulino - przekonuje. - A może będziesz się dobrze bawić, kto wie?
- Zobaczę. Jak przyjdzie pora. Maurice uśmiecha się szeroko.
- Ależ z ciebie uparcie niezależna kobieta. Zawsze byłaś taka?

Pytanie nie jest przypadkowe. Naprawdę go to ciekawi. A Paulina nie ma zamiaru na nie odpowiadać, ponieważ odpowiedź by ją odślaniała, a ona nie ma ochoty obnażać się przed Maurice'em. Zamiast odpowiedzieć, zwraca się do Luke'a. Pokazuje mu, jak zdmuchnąć puch z dmuchawca. Maurice przygląda się temu przez chwilę. Kończy kawę i wraca do domu.

Gdyby ktoś spytał Paulinę, czy jest szczęśliwa, odrzekłaby, że generalnie rzecz biorąc - tak. Jednakże niewielu ludzi odważyłoby się o to ją zapytać. Paulinę uważa się za niezależną, pewną siebie osobę, która dobre mniemanie o sobie w sympatyczny sposób równoważy właściwym szacunkiem dla innych. To rodzaj kobiety, która kazałaby terapeutom uciekać, gdzie pieprz rośnie. Przynajmniej na to wygląda.

Rzeczywiście jest niezależna. Ale tę niezależność zdobyła z trudem i z tego właśnie powodu woli nie odpowiadać na pytanie Maurice'a. Jest kobietą, która żyła samotnie, od kiedy jej córka dorosła i wyszła z domu. No, może nie zawsze całkowicie samotnie. Od czasu do czasu był jakiś mężczyzna, a kilku z nich miało nawet przez krótki okres status stałego lokatora. W zasadzie jednak była sama, wiodąc swobodne, nieco oportunistyczne życie kobiety niezależnej. Nabrała przyzwyczajenia ludzi samotnych - z wyboru bądź z przyczyny takich, a nie innych okoliczności - zmieniała plany zależnie od chwilowego nastroju, umawiała się i odwoływała przypadkowe spotkania. Ma wprawę w towarzyskiej dwulicowości. Takie życie czasem jest lepsze, a czasem gorsze. Życie bogate w starannie pielęgnowane drobne satysfakcje, stanowiące beztrudne zadośćuczynienie za własne samolubstwo; nieskrępowane, bez drażniącej cudzej obecności, która jest za bardzo obecna; życie, w którym wszystko może się zdarzyć, i czasem się zdarza. A także takie, w którym jakiś dzień może nagle stać się zdradziecką próżnią, kiedy o wczesnej godzinie poranka wokół łóżka gromadzą się upiory.

W przeciwieństwie do Maurice'a Paulina nie czuje się oburzona faktem, że się starzeje. Kiedy się nad tym zastanowi, kiedy sobie przypomni, że ma pięćdziesiąt pięć lat, raczej ją to dziwi, niż oburza. Dziwi, że jest tutaj, w tym punkcie, że tak wiele zrealizowała. Długi, nieprzerwany czas dzieciństwa, zamęt młodości, a potem okrutny, szybki bieg wydarzeń. I oto jest tutaj i teraz, i wcale nie uważa tego za najgorsze, choć, być może, w niektórych punktach także za nie najlepsze. Na rękach ma ciemnożółte plamy, zęby wyglądają tak, jakby miały zniszczyć się prędzej niż cała reszta, nie odczuwa też pociągu seksualnego tak jak dawniej, co zresztą ma swoje dobre strony. Ale świat ciągle jest dla niej pełen blasku, a ona pełna oczekiwań.

Luke'a przestały interesować dmuchawce. Znalazł swoją piłeczkę. Rzuca ją, goni, przewraca się, podnosi, znowu rzuca piłkę - rozwijająca się zręczność. Paulina, obserwując go, myśli, że istnieje przecież

także i to zjawisko, które jest czasem Luke'a, procesem przyśpieszonej przemiany; dzięki niej zdaje się, jakby malec nie był związany ze zwykłym rokiem kalendarzowym, lecz został umieszczony na jakimś własnym szalonym torze czasu, który rozmnożył go w całą serię Luke'ów - niemowlę z oczami jak owoce tarniny, machające rozgwiżdżonymi rączkami, staje się najpierw pneumatycznym pełzaczem, a teraz tą figurką na chwiejnych nóżkach kluczącą w pogoni za śliską, plastikową kulą. Luke znajduje się na szybkim torze, nie zsynchronizowanym z dniami Pauliny ani nawet z czasem rodziców.

Zachmurzyło się. Pogoda znowu staje się zdradliwa, kapryśna jak zawsze, jasny poranek ustępuje przed chmurzącym się niebem. Spoza wzgórza podnosi się szary całun, pogłębiając zieleń pól, drzew i żywopłotów. Krajobraz jest oślepiająco jaskrawy. Spadają pierwsze krople deszczu.

Paulina niesie Luke'a do domu.

T L R

Rozdział trzeci

Paulina wspomina, jak pierwszy raz zobaczyła Teresę z Luke'em. Idzie przez salę szpitala między podwójnym rzędem nóg, nóg rozrzuconych bez troski na łóżkach, wystających spod nocnych koszul i szlafroków. Nogi brązowe, nogi czarne, nogi różowe. Całe pola kobiecego ciała ukazywanego niedbale; nogi, uda i piersi, w które wtulają się kędzierzawe główki niemowląt. Nikt tutaj nie dba o przyzwoitość czy pruderię, otwarcie akceptuje się to, co się dzieje. To wszystko dotyczy ciał, kobiecych ciał. A pomieszczenie zalewa tłum ludzi. Pielęgniarki pędzą tam i z powrotem, wokół każdego łóżka akolici: mężowie, przyjaciele, rodzice, bracia i siostry. Są też kwiaty, a nawet okolicznościowa butelka szampana. Je się i pije. Nie przypomina to sali szpitala, już raczej miejski park w popołudnie dnia wolnego od pracy.

„Wspaniale - myśli Paulina - wspaniale”. Przebija się przez aleję porozwalanych nóg, obok rodzin oraz kłębiących się berbeci i partnerów. „Odwiedziny od 3 do 6 po południu” - głosi notatka w windzie. „Partnerzy mogą odwiedzać o każdej porze”.

„No dobrze, ale co się stało z mężami? - zastanawia się Paulina. - Wyszli z użycia. Wymarli. Cóż robić”.

Teraz widzi Teresę. Teresa jest sama. Sama z Luke'em. Paulina podchodzi bliżej, a potem zatrzymuje się na moment, nie zauważona przez Teresę. Widzi, że Teresa jest sama w każdym znaczeniu tego słowa: nieobecna w kipiącym zaspokojeniu. To intensywność doświadczenia. Kołysze Luke'a, trzymając go przed sobą, tak że ma jego buzię na wysokości swojej twarzy. Nie widzi nic prócz synka. A Luke prawdopodobnie nie widzi nic poza nią - jego pierwsze i przełomowe objawienie świata.

„Teraz już wie - myśli Paulina. - Wczoraj jeszcze nie wiedziała. Dzisiaj to wszystko wie”.

Podchodzi do łóżka.

- Cześć! - mówi. - A więc to on.

Podziwiają Luke'a. Taksują go cał po calu: oczy, nos, usta, paluszki u rąk i nóg. Delektują się nim.

- Jak było? - pyta Paulina.

- Strasznie - odpowiada Teresa. - Przerazająco. I wspaniale. Tak i tak jednocześnie. Wiesz przecież.

- Wiem. - Paulina się ożywia.

Wie doskonale. To jedyna rzecz, która zostaje z tobą na zawsze.

Ból chwyta ją w imadło. Ścisną wielką łapą bólu, który skręca ją tak, że zaczyna wyć, a potem nagle puszcza. Nadchodzi znowu. I znowu. Paulina pyta, która godzina. Trzecia rano. Wczesna godzina nocy, która wlecze się bez końca.

Jest sama z akuszerką w niewielkiej sypialni wynajmowanego mieszkania. Harry czeka w sąsiednim pokoju. Od czasu do czasu zerka przez uchylone drzwi, wygląda na zmartwionego. Kobieta uspokaja go i wyrzuca z powrotem. Jest o rok starsza od Pauliny, fakt ustalony wcześniej, kiedy ten rodzaj pogawędki był jeszcze możliwy. Teraz już nie jest możliwy. Paulina czyta w jej twarzy, że sprawy nie idą do-

brze. Akuszerka dzwoni po lekarza. Dla Pauliny strach i ból mieszają się w jedno ohydne, pełne ryku, ponure wydarzenie.

- Nie chcę umierać - mówi.

- Wszystko będzie dobrze - pociesza ją akuszerka, niezbyt o tym przekonana.

To, co się dzieje później, zbija się - zarówno wtedy, jak i teraz - w serię wrażeń i doznań. Mężczyźni wynoszą ją na noszach. Wycie syreny w karetce pogotowia. „To dla mnie - myśli. - To się zdarza mnie, nie komuś innemu”. Wpatruje się w biały sufit, z którego zwiesza się ostre białe światło pod zieloną osłoną. Jakieś twarze nachylają się nad nią, beznamietne, taksujące ją twarze. Ktoś biega tam i z powrotem. Tupot stóp na linoleum.

Na wysokim stole ją myją, a ona wciąż patrzy w sufit. Ludzie zniknęli. Widzi teraz coś w rodzaju wiszącej kołyski, w którą włożono dziecko. Widzi jego twarz i kosmyk włosów. Jego? Jej. Usiłuje myśleć o tym niemowlęciu, tym dziecku, o swoim dziecku, ale jest zbyt słaba, żeby zebrać myśli. Coś jest nie tak, jak powinno być. Ogarnia ją taka słabość, że niemal odpływa. Widzi pokój, biały sufit, światło osłonięte czymś zielonym, niemowlę w kołysce, pielęgniarkę, odwróconą tyłem, stojącą przy umywalce, ale nie może ani myśleć, ani mówić. Wie, że tak nie powinno być, że musi powiedzieć, co się z nią dzieje, ale nie jest w stanie ani przemówić, ani się poruszyć. Leży tak, odpływając.

A potem pielęgniarka wraca, przechodzi przez pokój i patrzy na nią. I znowu szybki tupot nóg i więcej ludzi wokół, więcej twarzy nad nią nachylonych, i głosy, które huczą, które docierają z daleka.

Kiedy Paulina wywołuje teraz w pamięci tamto wspomnienie, jest przerażona. Tak, to ona, ale tak dalece odległa, że nie pozostało nic oprócz tych odgłosów. Odgłosów o tak żywej intensywności, że stale istnieją, jakby dzwoniły przez te całe lata, przywiązując ją do tamtej tajemniczej, obcej osoby. Cienie tkwiące w umyśle, daleko stąd i głęboko wewnątrz.

Płód się zatrzymał. Utknął głęboko w poprzek. Akuszerka nie mogła już sobie dać rady. W tej sytuacji poród w domu, który wówczas był czymś normalnym, nie był wskazany. Stąd karetka pogotowia, szpital, lekarz, któremu raptownie przerwano picie herbaty, biegające w popłochu pielęgniarki. Kleszcze. A Paulina - tamten cień Pauliny - doznała szoku i trzeba było jej zrobić transfuzję. Nie żaden kryzys na wielką skalę; obydwie - matka i dziecko - wyszły z tego bez szwanku. Ale sucha narracja i techniczne wyjaśnienia wydają się nie mieć żadnego związku z wiadomościami od osoby, która tam była. To było tak, mówi cień Pauliny, echo Pauliny: ból przeszywający jak stal, tupot nóg, zielony abażur.

I Harry, który przychodzi i spogląda na leżącą Paulinę.

- Halo - mówi. Bierze ją za rękę.

Ona patrzy na niego niemo. Nie ma mu nic do powiedzenia. Tak, jakby była na jakiejś przerażającej wyprawie, jakby podróżowała tak daleko i tak długo, że przestała już mówić jego językiem.

Teraz, dzisiaj, tego majowego ranka w World's End, Paulina otrzymuje list od Harry'ego. To się czasami zdarza. Mniej więcej raz na rok. Stoi obok wozu pocztowego na drodze na skraju zabudowań i odbiera listy od listonosza, który siedzi w samochodzie i nie wyłączwszy motoru, wygłasza prze-

powiednię pogody, co jest jego specjalnością. Paulina słyszy, że dzisiaj, w piątek, pogoda będzie raczej kiepska, ale na weekend się przejaśni. Paulina rozdziela listy - te dla Maurice'a i dla Teresy, te dla niej - i widzi na lotniczej kopercie znaczek z Kalifornii, co oznacza, że to od Harry'ego. Wsuwa swoje listy do kieszeni, a pozostałe niesie do sąsiedniego domku, gdzie Teresa i Maurice jedzą śniadanie. Przekazuje im przepowiednię pogody.

- Wspaniale - mówi Maurice. - A zatem wszystko gotowe na Bradley Castle?

- Ty nie musisz, mamó - mówi Teresa.

- Oczywiście, że musi - sprzeciwia się Maurice. - Potrzebujemy jej towarzystwa, a jej się tam spodoba.

- Jesteś tyranem, Maurice - stwierdza Paulina. - A ja, gdy przyjdzie pora, zrobię to, co uważam za stosowne.

- Naturalnie - odpowiada Maurice, kierując się ku schodom. - I zupełnie słusznie. Ale przynajmniej zjedz z nami obiad w sobotę. Do tej pory wszyscy będziemy mieli siebie powyżej uszu.

W World's End panuje zwyczaj, że obydwie domki gospodarzą się oddzielnie, jednak tylko do pewnego stopnia. Rzecz jasna, w ciągu dnia panuje ciągły ruch między nimi - ktoś wchodzi, ktoś wychodzi - ale wieczory Paulina spędza sama. Istnieje milczące porozumienie, że bliskie sąsiedztwo ułoży się pomyślnie pod warunkiem stanowczego wzajemnego uznania prywatności. Ale doszło także do nieformalnego porozumienia, że w sobotnie wieczory będą jadali razem. Czasem Paulina ma ochotę zabawić się w kucharkę, czasem to ona jest zaproszona jako gość.

- Okay - zgadza się Paulina. - Bardzo dziękuję. Maurice jest już w połowie schodów.

- Czy mogłabyś przynieść mi kawę na górę za jakąś godzinę, Tereso?

Teresa potakuje. Jej mąż znika.

Maurice nigdy nie używa zdrobnień: kochanie, dziecinko. To przecież, tłumaczy sobie Paulina, nic nie znaczy. Nic zupełnie. Myśli o Harrym, z którego ust spływały nieustanne zdrobnienia: moja najmilsza, kochanie moje, mój koteczku.

- Jesteśmy na nogach od piątej rano - wyjaśnia Teresa. - Luke to ranny ptaszek, budzi się skoro świt. Teraz, oczywiście, jest półprzytomny. Zupełnie zapomniałam, że wieś jest taka hałaśliwa, wieki minęły, odkąd byłam tutaj o tej porze roku.

- Było jeszcze gorzej, kiedy Chaundy trzymał na dużym polu owce i jagnięta - przypomina Paulina. - Zrezygnował z nich jakiś czas temu. Pewnie na rynku spadło zapotrzebowanie na baraninę.

- Maurice twierdzi, że będzie musiał jechać do domu do Camden, żeby mieć trochę spokoju. Ale na pewno tak nie myśli.

- Teraz, gdy oddaje się swojemu nowemu zajęciu, powinien doskonale wiedzieć, że kult wiejskich rozkoszy jest mitem - mówi Paulina.

Po cichu przyznaje, że Maurice ma swój powód do wyjazdu, jeśli nawet nie kilka. Wiosną nagle wystrzały ludzi strzegących zbiorów budzą Paulinę o świcie i utrzymują w czujnym napięciu, kiedy pracu-

je. Maj i czerwiec są stosunkowo spokojne, jeśli nie liczyć wrzawy ptaków w pełnym wigoru okresie godowym. Ale nadchodzi lato i zaczyna się prawdziwa zabawa. Całą okolicę napęnia warkot maszyn rolniczych, rytmiczny odgłos kosiarek podczas sianokosów, hałas olbrzymich kombajnów rozsypujących nawozy na pola pszenicy, zgrzyt towarzyszących traktorów sunących tam i z powrotem. Trzeba jednak przyznać, że w zamian nie istnieje tu groźba pożaru; wypalanie słomy i ściernisk jest teraz prawnie zabronione, tak więc w ciągu sierpnia i września można oddychać świeżym powietrzem. Ale spokojność wiejskiego życia jest wielkomięską legendą. I śmieszne byłoby, oczywiście, oczekiwać tego spokoju. Rolnictwo stało się przemysłem. Przemysł niesie ze sobą hałas i zanieczyszczenie środowiska. Jeśli ktoś mieszka w okręgu przemysłowym, w dodatku z wyboru, musi akceptować konsekwencje.

Teresa ziewa.

- Może trochę się zdrzemnę, póki Luke śpi.

- Masz rację. - I Paulina zmierza ku drzwiom, skupiając się na swoim planie dnia. Telefony do załatwienia. Maszynopis.

Już w gabinecie rzuca listy na biurko i zostawia je tam, bo zdążyła stwierdzić, że nie ma w nich nic, co by wymagało bezzwłocznej uwagi. Patrzy na pole za oknem i natychmiast na zieleń nakłada się twarz Teresy - ziewa, ukazując zdrową, różową jamę ustną obramowaną dobrze utrzymanymi białymi zębami. Teresa ma ładne zęby, bo już dawno temu Paulina zaczęła twardo przestrzegać sposobu jej odżywiania. Kiedy o tym myśli, widzi szczerbatą dziewczynkę, z krótko ostrzyżonymi włosami i postrzępioną grzywką, a potem jeszcze późniejsze Teresy, całą procesję Teres. Nie ma już jednej Teresy, są jej metamorfozy, których kolejności Paulina jest stale niejasno świadoma. A kiedy śni o Teresie, zawsze we śnie pojawia jej się jako dziecko: ma znowu cztery, sześć lub dziewięć lat. Paulina nie jest tym wcale zdziwiona. We śnie przyjmuje tę reinkarnację bez zastrzeżeń i daje się unosić sennej opowieści pełnej niepokoju, opiekuńczości lub strapienia. Następnego dnia przeżywa moment niepewności i zaskoczenia, widząc znowu dorosłą i odmienioną Teresę, jednocześnie tak bardzo bliską i znajomą, a zarazem w jakiś dogłębny sposób całkowicie nieznaną. Jest osobą, którą Paulina zna najlepiej i zarazem nie zna wcale, a ponieważ zna ją tak dogłębnie, niewiedza staje się jeszcze bardziej dotkliwa.

Paulina zaczyna znowu zdawać sobie sprawę z realnego świata za oknem. Lekki wiatr czochra powierzchnię pola, przez młodą pszenicę przepływają cienie. Całe to miejsce jest ćwiczeniem w kolorystyce, kiedy tak pędzi do pełnej dojrzałości. Drzewa są zielonymi płomieniami, a na horyzoncie połyskliwie falują żywopłoty. Stary żywopłot na końcu ogrodu mieni się paletą barw: od kremowej do żółtocytrynowej, od wszystkich odcieni zieleni po morelową, rdzawą i jaskrawoszkarłatną. Każdy ukazujący się nagle liść po większa delikatną różnicę barw w tej gamie. Przez kilka tygodni cały świat jarzy się kolorami.

Wiosna przysłała późno tego roku. W kwietniu trwała jeszcze zima, chłód ścisnął ziemię. Powoli, opieszale na żywopłotach zaczęła rozciągać się zielona mgiełka, tarnina pokryła się lukrem. A potem, pod koniec miesiąca, temperatura skoczyła w górę. Paulinie przychodzi na myśl, że już nie umie sobie dokładnie przypomnieć, jak wyglądał nagi, zimowy krajobraz. Nie może przywołać go we wspomnieniu, tak jak

przywołuje metamorfozy Teresy. To mogłoby sugerować, że świat fizyczny jest o wiele mniej istotny niż czyjaś osoba. A przecież w tym wypadku na pewno tak nie jest. Myśli o zwodniczo trwałym życiu World's End, o jego mieszkańcach, którzy zniknęli i wygaśli.

Sięga teraz po stos listów i znowu go odkłada, bo dzwoni telefon.

- To ja - mówi Hugh. - Nie przeszkadzam?

- Powiedz, o co chodzi, i śmiało przeszkadzaj. I tak wszystko spycham z dnia na dzień.

- Nie sprzykrzyło ci się jeszcze siedzenie w tej głuszy?

- Przecież jest wiosna - wyjaśnia Paulina. - Kukułki. Kwiaty. I cała reszta.

- My też już mamy wiosnę. Jechałem dziś rano autobusem koło Green Parku, wyglądał bardzo ładnie. Kiedy przyjedziesz do Londynu?

- Niedługo, mam nadzieję. Powinam wreszcie kiedyś zobaczyć, co z mieszkaniem. Tylko nie mów, że się za mną stęskniłeś.

- Oczywiście, że się stęskniłem - oświadcza Hugh z irytacją. - Nigdy dotąd nie miałaś ochoty siedzieć tam przez całe lato.

- Nie mogę jakoś skończyć tej roboty. Przyjedź tu na dzień albo dwa.

- Hmm... Bo ja wiem... może i tak.

- Hugh - mówi Paulina. - Jesteś urodzonym mieszczuchem, daję słowo. Wpadasz w panikę, jeśli tylko nie czujesz chodnika pod nogami. No więc... co się z tobą dzieje?

Hugh Follett jest księgarzem - antykwariuszem. To wielki mężczyzna, powłóczy nogami, ma strzechę włosów koloru soli z pieprzem, okrągłą, sympatyczną, różową twarz i grube okulary, stale wymagające porządnego umycia. Paulina jest do niego przywiązana bardziej niż do kogokolwiek innego.

Hugh ma sklep i prowadzi interes. Ma także dom w Henley, gdzie mieszka z żoną, Elaine, cierpiącą na coś strasznego, jakieś schorzenie mózgu, które uczyniło z niej kalekę i zrujnowało życie. Jej choroba nie ma nazwy. Elaine nie umie sobie dać rady z obowiązkami towarzyskimi ani przyjmować gości. Nie może podróżować. Rzadko wychodzi z domu, gdzie istnieje zaszyta w kokon nerwicy. Jeśli ktoś przyjdzie do Hugh'a (ale zazwyczaj nikt tego nie robi), Elaine wycofuje się do swojej sypialni i siedzi tam, póki gość nie wyjdzie. Nie odbiera telefonów. Kiedy Hugh wychodzi, włącza automatyczną sekretarkę.

Kiedy i skąd się to wszystko wzięło, Paulina nie wie. Od czasu do czasu rozmyśla o Elaine i zastanawia się, jaki straszliwy uraz wpędził biedną kobietę w ten stan rozmyślnej izolacji. Chyba nie miało to nic wspólnego z czymś, co zrobił Hugh? Jowialny, przyzwoity, tolerancyjny Hugh. A on zachowuje milczenie na temat Elaine. Całkowite, nieugięte, i, być może, wymowne milczenie. Dość, że zostaje przy niej, że nigdy się nie skarży. Niemal zawsze wraca do domu na noc. Jeśli jest poza domem, melduje się głuchej i martwej automatycznej sekretarce. Paulina miała okazję zauważyć, że raz na jakiś czas Elaine oddzwania i następuje krótka wymiana zdań dotycząca jakiejś praktycznej sprawy: są kłopoty z bojlerem, ktoś miał nadzieję, że zastanie Hugh'a.

Przez krótki czas, dawno temu, Paulina i Hugh byli kochankami. Był nawet pełen wahań, a teraz mglisty już okres, kiedy sprawa o mały włos przybrałaby poważniejszy obrót, gdy stało się wątpliwe, że Hugh, dotąd powściągliwy i opanowany, wytrwa w tym małżeństwie. A potem ten okres minął. Oboje odstąpili od tego, co prawdopodobnie i tak nie było rozsądną decyzją, i ostatecznie nie chcieli już nawet ze sobą sypiać. Była to zresztą zawsze skromna, towarzyska forma seksu, podobna bardziej do seksu małżeńskiego, jak sądziła Paulina, a przynajmniej do tego, jak - w jej wyobrażeniu - wygląda większość małżeńskich stosunków. Zdała sobie sprawę, że Hugh w gruncie rzeczy nie przywiązywał wagi do seksu. Tak więc zgodnie zdecydowali zaprzestać współżycia bez odrobiny żalu z czyjejkolwiek strony i wrócili do wzajemnie ich satysfakcjonującej przyjaźni z odcieniem czegoś więcej. Ludzie, którzy znają ich oboje, zapewne sądzą, że łączą ich stosunki cielesne. W napadzie skruchy Paulina zapytała kiedyś Hugh'a, co czułaby Elaine, gdyby wiedziała o jego wizytach u Pauliny w Londynie i (rzadziej) w World's End. Twarz przyjaciela była pozbawiona wyrazu.

- Elaine nie interesowałyby to nawet w najmniejszym stopniu - odrzekł.

To stwierdzenie wydało się Paulinie niewymownie smutne.

Hugh ma jednak swoje życie, zarówno w pracy, jak i w wolnych od niej chwilach. Życie w pracy skupia się na jednym z tych głęboko specjalistycznych i ekskluzywnych przedsięwzięć, które zniechęcają zwyczajnych pozeraczy książek z powodu minimalnej liczby tomów na wystawie (dwa lub trzy), i wyciszonego wnętrza (dywany, oszklone biblioteczki). Zawodowe życie Hugh'a koncentruje się na sklepie (to słowo wydaje się zbyt potoczne), chociaż nieczęsto w nim bywa, zostawiając go zazwyczaj pod opieką pani Margery pracującej u niego od wielu lat. Jest to pełna werwy kobieta, biegła w lodowatym przyjmowaniu niepożądanych, przypadkowych gości, których natychmiast rozpoznaje, i rozpieszczająca stałych klientów Hugh'a. Dla tych ma zawsze filiżankę kawy i egzemplarz nowego katalogu, nie mówiąc o szybkim telefonie na zapleczu do szefa, jeśli ten jest w klubie lub w domu. Przybywają zewsząd owi klienci: kolekcjonerzy, księgarze, Amerykanie, Niemcy, Japończycy. Hugh także jest ciągle w ruchu, znikając to tu, to tam na nieokreślony czas w interesach związanych z książkami. Nie przedłuża tych podróży. Po prostu znika i wraca. W odpowiednim momencie Paulina się dowiaduje, że był w Los Angeles albo właśnie skoczył na kilka dni do Frankfurtu. Raz czy dwa zostawiła go na Heathrow; stał tam, jeden z wielu pasażerów, w znoszonym płaszczu przeciwdeszczowym, z dużą, sfatygowaną teczką w ręku. Nikt by w nim nie poznał międzynarodowego biznesmena. W teczce są czasami książki. Hugh zanurza rękę i wyciąga pierwsze wydanie Joyce'a albo unikatowego Szekspira. Pewnego razu rozwinął z arkusza „Times'a” maleńki tomik osiemnastowiecznych erotyków z delikatnymi rysunkami par w nieprawdopodobnych pozach. Właściwie to nie jego dziedzina, wyjaśnił z zakłopotaniem, ale tomik wpadł mu w ręce i akurat wiedział, komu go wtrzyć. Paulina napomknęła coś o pięknej oprawie i czarującym drzeworycie na stronie tytułowej.

- O tak - zgodził się Hugh. - Handlarze porno zawsze lubili ładne książki.

Paulina byłaby wyraźnie dotknięta, gdyby się dowiedziała, że Hugh sypia z kimś innym. Irracjonalna postawa posiadacza - sama pierwsza by to przyznała. Ale on chyba tego nie robi. Wie przecież, jaki

proceedzi tryb życia: lunch w klubie, wędrówki po kraju na wyprzedaże urządane przez wykonawców testamentu lub w odwiedziny do klientów, popołudniami szperanie w katalogach i załatwianie korespondencji w biurze na zapleczu sklepu. Oczywiście, może i pozwala sobie na jakieś wyskoki podczas tych nagłych wypadów za Atlantyk czy za Kanał. W końcu przecież Paulina nie może żywić do niego żadnych pretensji. Ani on do niej. Są do siebie przywiązani, ale jeszcze bardziej są przywiązani do swojej obwarowanej niezależności.

- Musiałem skoczyć do Paryża w zeszłym tygodniu - oznajmia Hugh. - Nadzwyczajnie mi się udało. Znalazłem nową knajpkę.

I opowiada ze szczegółami, co jadł na dwa drugie śniadania i jeden obiad. Paulina słucha pobłaźliwie. Nigdy nie umiała dzielić upodobania Hugh'a do dobrego jedzenia. Czasami sądzi, że jest ono dla niego pewną pociechą, rozpaczliwą kompensacją za wszystko, co mu się w życiu nie udało. Albo może Hugh jest tak samo czuły na punkcie eleganckiej kuchni, jak na punkcie dobrze wydanej książki. I nie jest wcale nudny, kiedy opowiada o jedzeniu, wnosi do tematu całą zaraźliwą intensywność swojej obsesji. Paulina znajduje przyjemność w dzieleniu eleganckiego obiadu z Hughem, zdając sobie jednocześnie sprawę, iż pod tym względem nie dorównuje mu ani w połowie, i że on wie o tym.

- Poszedłem także na wystawę rosyjskich ikon - ciągnie Hugh. - Wspaniała. Na pewno by ci się podobała.

- Z pewnością. Szczęściarz z ciebie. Tutaj nie mamy nic poza wiejskimi jarmarkami i wyprzedażą bagażników. Tego lata grożą mi uroczyste wizyty - Maurice pracuje w domu nad swoją książką dla turystów.

- Przyjedź do miasta na weekend. Zobaczą, czy nie uda mi się dostać biletów na *Parsifala*.

- Hmm... Może kiedyś później. Na razie zaaklimatyzowałam się tu na dobre.

- Cóż, kochanie - mówi Hugh. - Jeśli upierasz się przy takim poświęceniu, nie mogę nic na to poradzić. Chyba będę zmuszony tam przyjechać i zabrać cię na jakiś przyzwoity posiłek, jeśli na nic więcej.

Paulina się śmieje. Słyszy w tle głos pani Margery, która dyskretnie o coś pyta. Widocznie Hugh jest w swoim biurze za sklepem.

- Muszę już iść - dodaje. Gawędzą jeszcze przez kilka minut, a potem Paulina odkłada słuchawkę.

Hugh byłby dobrym ojcem. Ale z Elaine nie mają dzieci. Paulina nieraz widywała niewyraźną minę Hugh'a, kiedy była mowa o potomstwie. Lubi młodzież, zawsze darzył Teresę życzliwym zainteresowaniem.

Niewątpliwie byłby dla niej dobrym ojcem.

Teresa jeszcze przez kilka lat potem, gdy skutecznie została pozbawiona ojca, zwykła niekiedy pytać Paulinę:

- Tatusz kiedyś do nas wróci, prawda?

- Nie - odpowiadała Paulina. - Obawiam się, że nie.

I pełna oczekiwania twarzyczka dziecka, rozczarowanego i nie wierzącego matce, gasła.

Minęło sporo czasu, odkąd Teresa jakoś pogodziła się z dezercją ojca, ale wciąż jeszcze ma fatalną skłonność, by spodziewać się tylko tego, co najlepsze. Złośliwość, przebiegłość czy dwulicowość są jej tak obce, że oczekuje od innych, aby zachowywali się tak jak ona, a jeśli tego nie robią, jest zaskoczona i zakłopotana, lecz nie pojmuje, dlaczego tak postępują. Nigdy nie mogła się przystosować do zdradliwych sytuacji. Kiedy wynurzają się skały, ona ich nie rozpoznaje.

Teresa zawsze pozwala, aby jej się coś zdarzało. Już jako dziecko poruszała się jak w transie. W młodości zachowywała się niczym lunatyczka, z jednego dnia przepływając w następny. Paulina, zrozpaczona, usiłowała wpędzić ją w bardziej agresywny stan. Rówieśnicy Teresy, jakby przez kontrast, zdawali się chwytać życie za łeb, starając się wszelkimi siłami dotrzeć do władz uniwersyteckich, by dostać się na studia, oblegając agencje pośrednictwa pracy. Teresa wspomniała, że chciałaby wstąpić do szkoły sztuk plastycznych.

- No to rób coś w tym kierunku - zaklinała ją Paulina. - Wypełnij formularze o przyjęcie. Stań do konkursu. Chyba nie sądzisz, że przyślą po ciebie samochód z szoferem.

Teresa wyglądała na urażoną.

Ale nie jest pozbawiona kręgosłupa. Nie jest także niezdarna, leniwa ani nie brak jej motywacji. Problem leży w jej źle ulokowanym zaufaniu, że wszystko w końcu dobrze się ułoży. Teresa miała zdolności do rysunku i konstruowania, co rozwijało się w niej od dzieciństwa, kiedy pochłaniały ją farby i papier, i zaowocowało umiejętnością robienia dziwacznych konstrukcji z najróżniejszych materiałów. Gdy była dzieckiem, dom był stale pełen uduchowionych rzeźb, stworzonych z domowych śmieci, wspaniałych, ezoterycznych ptaków, architektonicznych fantazji. W szkole spędzała większość czasu w radosnym transie w sali zajęć plastycznych. To właśnie miała zamiar robić w życiu, więc w czym tkwił problem?

Teresa poszła do szkoły sztuk plastycznych i musiała dostosować swoje ambicje do wymagań systemu szkolnego. Jeśli masz zamiar zarabiać na życie, robiąc to, co chcesz i co lubisz robić, musisz także odkryć, jak sprzedać swoje umiejętności. Teresa stoczyła walkę z formularzami o przyjęcie i przebrnęła przez wstępne rozmowy, dostała się do jednej z londyńskich wyższych szkół sztuk pięknych i wynurzyła się stamtąd z umiejętnościami wybitnie nadającymi się do sprzedaży. Zanim spotkała Maurice'a, była szczęśliwie urządzoną, samodzielną projektantką, gotową zarówno udekorować okno wystawowe w pierwszorzędnym handlowym centrum, jak i zaopatrywać teatry w zrobione przez siebie przedmioty potrzebne scenografowi.

Teraz z powodu Luke'a Teresa musiała odłożyć swoją karierę zawodową. Nie wydaje się, żeby była tym nadmiernie zaniepokojona, przynajmniej na razie. „I może - myśli Paulina - będzie miała drugie dziecko. Może”.

Kiedy Teresa oznajmiła Paulinie, że wychodzi za mąż za Maurice'a, powiedziała z absolutną szczerością:

- Nie miałam pojęcia, że można być aż tak szczęśliwym.

Paulina zamarła z przerażenia. Nie tylko z powodu Maurice'a. (Nie znasz go aż tak dobrze, mówiła sobie. Może się okazać, że jest całkiem inny. A różnica piętnastu lat nie ma znaczenia.) Ale także dlatego, że Teresa mówiła to całkiem poważnie. Mówiła tak, jakby została obdarzona dodatkowym zmysłem. Paulina zaś widziała jedynie jej straszliwą bezbronność i wrażliwość na ciosy. Żarliwa nadzieja w twarzy Teresy sprawiła, że wyglądała znowu jak dziecko - dziecko, narażone na zdradliwe niespodzianki.

Gdzieś na dole trzasnęły drzwi. Maurice wychodzi z domu. Paulina obserwuje go, jak kieruje się do samochodu, wsiada, włącza motor, cofa się i wyjeżdża na drogę. Odjeżdża trochę za szybko. Dokąd jedzie? Zapewne nie idzie mu poranna praca. A Maurice jest wiecznie niespokojny. Ma zwyczaj zrywać się nagle, nie mówiąc dlaczego ani po co. Nigdy nie wiem, gdzie on jest, mówi Teresa pogodnie.

Teraz, zgaduje Paulina, jedzie pewnie do wsi po dodatkową gazetę albo żeby zaspokoić jakąś inną zachciankę. Odsuwa od siebie myśl o Maurice'u i wreszcie zabiera się do poczty: rachunek za elektryczność, wyciąg z banku, należność za pracę redakcyjną, dwie prośby o wpłatę na cele dobroczynne, no i ta lotnicza koperta z kalifornijskim znaczkiem.

TLR

Rozdział czwarty

Listonosz jak zwykle dobrze przepowiedział pogodę. W sobotę na niebie nie ma ani jednej chmurki. Jest błękitny i zielony majowy poranek, a rzeński krajobraz aż iskrzy. Wychodząc z domu po śniadaniu, Paulina postanawia zabrać się do pracy i uporządkować frontowy ogródek - niewielki skrawek ziemi przed domem po obydwu stronach ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych. Nie zajmuje się ogrodem systematycznie, zaniedbuje go przez większą część roku, wiosna dodaje jej bodźca. W rezultacie dwie grządki to gmatwanina wyrosniętych roślin: długonogie lawendy, róża wymagająca przycięcia, pięciornik niemal zduszony przez czepną przytulnię, no i wszystko zagłuszający, bujnie rosnący perz. Paulina, zbadawszy sytuację, doświadcza znanego sobie okresowego przypływu stanowczości. Przynosi ogrodnicze narzędzia i zaczyna robotę, mając słońce na karku i wiatr we włosach - praktyczna osoba w sztruksowych spodniach i rozciągniętym swetrze.

Tak się składa, że gdy Paulina jest zajęta ciężką pracą, drogą wiodącą do World's End nadjeżdża błyszczący, wypucowany samochód. Zapomniała zupełnie o spodziewanym przyjeździe na weekend gości Maurice'a. „Oczywiście - myśli - to oni”. Oto i Teresa wychodzi wraz z Luke'em, który macha rączką na powitanie gości. Maurice jeszcze ich nie zobaczył ani nie usłyszał, niewątpliwie jest w gabinecie na górze.

- To pewnie James i Carol - mówi Teresa. - Jesteś zajęta. Ja też powinnam coś zrobić z tym naszym kawałkiem. Chyba że...

Teresa też niezbyt dba o ogródek.

- W porządku - godzi się Paulina. - Jeśli mi tylko starczy pary. I tak nie masz tam prawie nic, co warto zatrzymać. Jeśli to przekopię, będziesz mogła posadzić jakieś jednoroczne.

Samochód podjeżdża. Pasażerowie wysiadają.

- Fiuu! - mówi James Saltash. - Całkowite odosobnienie, powiedział Maurice. Ale nie powiedział, że trzeba jechać pół mili przez pola.

Ma około trzydziestu kilku lat, jest wysoki i nerwowy, czarne włosy opadają mu na jedno oko. Jego towarzyszka sięga mu ledwie do ramienia. Ma proste złote włosy z grzywką przyciętą jak u dziecka. Dobra figura, ładnie podkreślona przez obcisłą czarną górę wsuniętą w długą zieloną spódnicę; sandały związane rzemykami, boscie stopy. Całość trochę zbyt letnia jak na ten dzień, który wygląda na cieplejszy, niż jest w istocie. „Błąd mieszkanki miasta” - myśli Paulina leniwie, przypatrując się dziewczynie. Chciałaby wrócić do swojej roboty, ale byłoby niegrzecznie, gdyby postąpiła tak od razu.

- No, niecałe pół mili - protestuje Teresa, uśmiechając się z lekką wymówką. - Chociaż rzeczywiście trochę tam wybojów. Tak czy tak, znaleźliście nas...

- Wspaniałe miejsce - stwierdza Carol. Przygląda się otoczeniu.

Uśmiecha się promiennie do Teresy, a teraz do Maurice'a, który wynurzył się z domku.

- Cześć, James. Cześć, Carol - wita się Maurice. - To Paulina, matka Teresy.

- Halo - mówi Carol. Promienny uśmiech traci nieco na intensywności. Nie interesuje jej czyjaś matka, to widać.

- A to Luke.

Carol dotyka palcem policzka dziecka. Wygląda na to, że dzieci także jej nie interesują.

- Macie może pod ręką jakiś plaster? - pyta James. - Carol poszła zrobić siusiu w jakimś prymitywnym klo przy stacji benzynowej, gdzie się zatrzymaliśmy, i rozcięła sobie nogę o zardzewiałą rurę.

Carol podnosi spódnicę, żeby pokazać zadrapanie z zaschniętą krwią na łydce.

- Jestem niezwykle dzielna - kokietuje.

- Mam w kuchni coś do zdezynfekowania. - Teresa zwraca się do Pauliny: - Pozwól, mam, mogłabyś potrzymać Luke'a przez chwilę?

Wchodzą wszyscy do środka. Teresa odsuwa krzesło od stołu i Carol siada. Teresa szpera w szafce kuchennej.

- Jest. Plaster. Savlon. Najpierw to trzeba przemyć. Podaje miseczkę z wodą i watę.

Carol jest w centrum zainteresowania. Nawet Luke znalazł się na marginesie i spogląda ostrożnie na nieznajomych zakłócających spokój. Carol wyciąga nogę na drugie krzesło, a James na kolanach wyciera ranę. Carol protestuje, śmiejąc się:

- Auu, James, jesteś okropnym brutalem. Au! Maurice daje krok naprzód. Kuca przed Carol.

- James, pozwól sobie powiedzieć, że okropnie partaczysz tę robotę. Czekaj no...

Teraz Maurice przemywa zadrapanie Carol; dezynfekuje i zakłada plaster. Robi to wszystko nader umiejętnie, pozbywszy się zwykłej nieudolności. James nachyla się nad Carol i z troską namawia na zastrzyk przeciwtężcowy.

- James, przestań mi matkować - protestuje Carol, posyłając uśmiech w stronę Teresy.

Maurice kończy swoje zajęcie. Na chwilę kładzie dłoń na kolanie Carol, nie patrząc na nią, i lekkim tonem uspokaja ją jak dziecko:

- No już, teraz już lepiej. - Odwraca się do Jamesa. - Mam nadzieję, że nie zapomniałeś przywieźć egzemplarza Daniela Defoe?

- Jasne, że nie - odpowiada James. - I jeszcze jedną czy dwie inne rzeczy, które, jak sądzę, mogą ci się przydać. Wniosę nasze rzeczy do środka, dobra?

Mężczyźni wychodzą. Carol zaczyna opowiadać Teresie o nadzwyczajnej kawalkadzie starych samochodów, które mijali na autostradzie, przerywa, woła Jamesa, prosząc, żeby przyniósł jej sweter z tylnego siedzenia auta, wraca do sprawozdania z kawalkady... całe tuziny, czy gdzieś w okolicy jest jakiś zjazd, może byłoby zabawne, żeby tam pojechać? Teresa jakby trochę zeszywniała, ma chłodny wyraz twarzy, co oznacza, że nie czuje się swobodnie. Czy dobrze zna tę całą Carol? - zastanawia się Paulina. Luke wierci się, żeby go postawić na podłodze. Paulina widzi, że ma okazję umknąć, uwalnia Luke'a z ramion, podnosi brew, dając znak Teresie, i rusza w stronę drzwi.

Carol rzuca jej krótki uśmiech.

- Och, prawda.

Paulina wraca do porządkowania ogródka. James Saltash przerywa na chwilę przenoszenie rzeczy z samochodu i podchodzi do niej, mówiąc, że o ile pamięta, spotkali się już kiedyś... zaraz, ale gdzie? Londyńskie Targi Książki, to możliwe? Paulina także przypomina sobie niejasno, że ktoś w przelocie przedstawił ich sobie, gdy stali z kieliszkami w dłoni. Gawędzą przez kilka chwil i Paulina spostrzega jego indywidualność połączoną z niezgrabnie przygarbionym ciałem i niesfornymi czarnymi włosami, rozbrajającą kombinację nieśmiałości i entuzjazmu, jak u psa, niepewnego, jak zostanie przyjęty. „Miły chłopak - myśli Paulina - ale powiedziałabym, że zupełnie różny niż Maurice, nie z jego rodzaju. Ciekawa jestem, czy ceni Maurice'a, czy jest tylko akolitą? Maurice bardzo lubi akolitów. A co myśleć o tej młodej kobiecie? O dziewczynie uczesanej à la Dora Carrington?"

James znika w domku. Paulina wraca do zmaltretowanej róży, która zmieniła się w zdrewniały gąszcz. Przycinając ją i oskubując, zapomina o gościach, myśli teraz, co u niej niezwykle, o Harrym, nigdy właściwie bezpośrednio o nim nie myśli. Ale, oczywiście, przyszedł ten list. Nie zdążyła jeszcze nawet napomknąć Teresie, że przyszedł list od jej ojca.

Kiedy Paulina myśli o Harrym, jest to zawsze Harry z tamtych lat, nie ten, jakim jest teraz. Harry dzisiejszy, nieosiągalny i nie do wyobrażenia, istnieje na innym planie i nie interesuje Pauliny. Gdzieś daleko, na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, Harry spaceruje i rozmawia, wprawiając w podziw amerykańskich studentów swoim odłożonym na bok brytyjskim stylem bycia, wjeżdża lśniąącym autem na podjazd swojego rozłożystego białego domu, wieczorem kładzie się do łóżka z żoną Natalią, która ma trzydzieści dziewięć lat i prowadzi kursy Twórczego Pisania. Paulina nie może pojąć tamtego Harry'ego ani też wcale sobie tego nie życzy. On już jej nie dotyczy. Teresa odwiedziła Harry'ego w Kalifornii, zeszła na ten inny plan egzystencji, przebywała w rozłożystym białym domu i później taktownie wydzielala Paulinie uspokajające bryłki informacji: pałające kwiaty, jakie rosną w ogrodach Kalifornii, wszechobecne baseny kąpielowe, kwaciaste szorty Harry'ego. Postępuje ostrożnie. Paulina zdaje sobie sprawę z baczego wzroku Teresy, jakim taksuje efekt swojego opowiadania. Nie chce sprawić jej przykrości. Budzić w niej zazdrości.

A Paulina jest bardziej wzruszona obawą Teresy niż jakimkolwiek mocnym, dolatującym z oddali zapachem Harry'ego. Chciałaby móc powiedzieć: „Nie martw się, to już nie ma ze mną nic wspólnego. On teraz nie jest. Ani ona. Ona także się nie liczy, jeśli o mnie chodzi. Nie jestem zazdrosna. I nie można mi przypominać o czymś, co nigdy nie przestało się dziać. W złych chwilach to wszystko ciągle się dzieje, wszystko powraca raz po raz. I nie mogę teraz być zazdrosna, ja, która kiedyś byłam ekspertem od zazdrości. Która poznałam każdy najbardziej wyrafinowany odcień zazdrości, każdy jej niuans, każde najbardziej pokrętne, pomysłowe psychiczne skrzywienie tego całego interesu zwanego zazdrością". Ale nie mogła w ten sposób przemawiać do Teresy, ponieważ nigdy tego nie robiła. Zamiast tego z zapalem wypytuje o plaże, centra handlowe, klimat i widzi, że Teresa z ulgą przyjmuje wynegocjowany w ten sposób układ o nienaruszaniu pola minowego.

Dzisiaj głos Harry'ego, jego pismo na kopercie, znaczek pocztowy z kalifornijskim stemplem wzbudzają w niej zaledwie irytację. Nie ma już nad nią władzy, jest pozbawiony męskości, nie istnieje. Zapewne wie o tym i jest stosownie do tego obrażony. Toteż w ten sposób nawiązuje kontakt, próbuje wzmocnić więź, która ich łączyła. Paulina doskonale wie, czego on by chciał. Chciałby, aby ich stosunek był lekko ukrytym, spóźnionym flirtem z odcieniem melancholii. Słyszała taką propozycję w jego głosie, wyczytuje ją między linijkami jego listów. A w niej nie ma już nic więcej poza łagodną obrazą. „Och nie - myśli - och, na litość, tylko nie to!” Widzi teraz Harry'ego jako niedołęzne dziecko, którego ekscesy wzbudzają nużące znudzenie. Stał się cieniem Harry'ego. Ten mocny, silny Harry istnieje już jedynie w jej pamięci. Taki Harry, wiecznie wzruszający Harry, zamieszkał na zawsze w jakiejś szczelinie jej umysłu, aby czasem wynurzać się stamtąd, budzić niepokój i wstrzymywać ją na obranym kursie. Patrzy na nią przez stół przy śniadaniu.

- No tak - mówi. - Zdziwiająca, niespodziewane. - Pochyliła się nad jej łóżkiem i patrzy na nią niewidzącymi oczami. Odwraca się od otwartego okna i dodaje: - Przykro mi, Paulino. To się zdarza. Nic na to nie można poradzić.

Harry odszedł dawno temu, ale stale tam jest.

Róża jest wreszcie ujarzmiona. Paulina wyprostowuje się, przygląda się ogródkowi z satysfakcją i wchodzi do domu. Kawalek należący do Teresy przekopie później. Teresa ma już dosyć na głowie w ten weekend.

Dzień przepływa w popołudnie. Paulina pracuje. Raz tylko wygląda przez okno sypialni i widzi, że Teresa jest w ogrodzie z Carol. Teresa zajmuje się Luke'em; Carol siedzi na pledzie z gazetą w ręku i wystawia twarz ku słońcu. Maurice i James pewnie zamknęli się na górze i pracują nad rękopisem Maurice'a.

Wieczorem Teresa podaje pieczone jagnię, a potem sałatkę owocową. Jedzą w kuchni. World's End migoce i brzęczy wokół nich, wszystkie urządzenia działają znakomicie. Na zewnątrz jest cicho. Tylko szmer wiatru w żywopłocie, a jeśli dobrze nadstawić ucha - odległy szum samochodów na głównej szosie. Zanim zostaną podane sery, Maurice otwiera trzecią butelkę wina.

Teresa ma na sobie to samo, w czym była przez cały dzień (ramiona bluzki poplamione jakimś jędzeniem, świadectwo apetytu Luke'a). Mężczyźni także się nie przebrali. Paulina włożyła inny sweter. Carol zmieniła spodnie na jedwabne w kolorze kremowym, a górę na luźną morelową tunikę; w uszach wiszą srebrne koła kolczyków. Twarz ma zaróżowioną. James patrzy na nią czule poprzez stół.

- Chwyciło cię słońce, wiesz?

- O to mi chodziło. Po to się przecież przyjeżdża na wieś, prawda?

- To wspaniałe miejsce - mówi James do Pauliny. - Od jak dawna pani tu mieszka?

Paulina opowiada, jak nabyła World's End dziesięć lat temu. Do tej chwili rozmowa koncentrowała się na książce Maurice'a, który zabawiał ich opowiadaniem o pewnych poruszanych w niej zagadnieniach. Żartobliwie i prowokacyjnie mówił o tym, jak wyczerpująco przebadał strategię współczesnego muzeum.

Z ożywieniem dyskutowano także, jaki powinno się dać książce tytuł. *Pożytki z przeszłości* wydają się teraz najbardziej odpowiednie.

- I ja chciałbym mieć coś takiego jak wy tutaj - mówi James. - Kiedy człowiek siedzi w Londynie przez cały okrągły rok, nie wie nawet, czy to lato, czy zima.

- Hm... - powiada Maurice. - Ciekawe. Przygląda się Jamesowi uważnie.

- A więc lepiej się czujesz na wsi, tak?

- Ależ tak, oczywiście.

- Dlaczego?

- Świeże powietrze - odpowiada James. - Przestrzeń... To wszystko razem.

- Bliżej natury? James robi się ostrożny.

- Jeśli tak chcesz to ująć. Chyba większość ludzi podobnie czuje w takim czy innym momencie?

- Naturalnie - powiada Maurice. - Wszyscy tak sądzimy. Głębokie uwarunkowanie. Całe wieki zręcznych opowieści na sprzedaż - od Chaucera po Wordswortha.

Carol śmieje się z uznaniem. James wydaje się nieco zmieszany. Nalewa sobie jeszcze jeden kieliszek wina i mówi, że z przyjemnością słyszy, iż nie jest jedynym, który dał się nabrać na uroki natury, i że nadal miałby ochotę na takie miejsce, gdyby zdarzyła mu się okazja.

- Ależ to okropnie nudne, natura - oponuje Maurice. - Proces nużących powtórek. Skrajny konserwatyzm.

Paulina zdaje sobie sprawę, że jest już trochę pijany. Nic w tym niezwykłego. Maurice sporo pije, i to dość często. Carol znowu się śmieje.

- To oryginalne.

Ona chyba także jest wstawiona. W każdym razie dobrze się bawi, to widać.

- Nie - wtrąca się Paulina. - Już ktoś to przedtem powiedział. Antyromantyzm. I to wszystko.

- Jesteś zepsutym cynikiem, Maurice - orzeka przyjaźnie James. Chyba odzyskał dobry humor, jeśli w ogóle go stracił.

Teraz Teresa odwraca się od zlewozmywaka, gdzie wkłada talerze.

- Maurice się popisuje, muszę wam to powiedzieć. Obudził mnie dziś rano i kazał słuchać kukułki.

Jest w tym niezwykła dla niej opryskliwość, zarówno w tonie, jak i w treści. Tylko Maurice i Paulina zdają sobie z tego sprawę. Maurice przyjmuje to obojętnie, jak zauważa Paulina.

- Och, Maurice, ależ z ciebie oszust - mówi Carol. Maurice krzywi się w uśmiechu, nie wygląda na speszzonego. Upija trochę wina i rozgląda się wokół stołu.

- No więc, postanowione, jutro jedziemy do Bradley Castle?

- Koniecznie! - popiera go Carol. - Brzmi fantastycznie. A możemy jechać na „Średniowieczną Ucztę”?

- Bywa tylko w soboty wieczorem, niestety - odpowiada Maurice. - Muszą nam wystarczyć „Przygody Robin Hooda”. Ruszamy o dziesiątej, tak, Paulino?

- Nie, ja dziękuję. - Paulina stanowczo odmawia. Wstaje. - Mam inne plany. Będziecie musieli mi wybaczyć. A teraz idę spać. Dobranoc państwu.

Na dworze przystaje na chwilę na ścieżce. Jest piękna noc, półksiężyc wisi nad wzgórzem, nierzezywisty jak skrawek papieru. W niektórych miejscach niebieskoczarne niebo płonie pomarańczowo tuż nad widnokresem, znacząc najbliższe skupiska ludzkie. World's End stoi samotnie pośród ciemnej masy pól, żarząc się światłem, rozjaśnione, zapraszające. Wokół nie widać innego światła, tylko od czasu do czasu przesuwający się wzdłuż drogi reflektor. Paulina wchodzi do domu i zamyka drzwi.

Kiedy zaczynała korzystać z domu na wsi podczas weekendów i wakacji, martwiła się trochę jego odosobnieniem. Jak dotąd zdarzyła się tylko jedna kradzież: kiedy Paulina była nieobecna, ktoś zabrał z szopy kosiarkę do strzyżenia trawnika. Prawdopodobnie od wszelkiej próby włamania do World's End odstraszał złodziei widoczny z dala system alarmowy, który łączył domki z posterunkiem policji. Policja oddaliła skargę, przypisując kradzież miejscowym chłopakom, a szopa jest od tej pory zamykana na kłódkę.

Alarm antywłamaniowy często zaskakuje gości świeżo przybyłych i uwolnionych od niebezpieczeństw miasta. Tutaj? - nie dowierzają, rozglądając się po spokojnej okolicy. Niektórzy sądzą, że spokój musi odzwierciedlać podobne przytłumienie skłonności kryminalnych. Być może spodziewają się sporadycznych najazdów na jabłka, z czym musi sobie poradzić wiejski policjant na rowerze. Niektórym się wydaje, że wieś jest ciągle zamknięta kratą czasu, że jest łaskawą nirwaną wiecznego lata, podczas którego można spotkać grupkę wędrowców w szortach, urządzających sobie piknik pod stogiem siana, gdy po błękitnym niebie wędrują puchate chmurki z reklamowego plakatu Sheila.

Maurice, naturalnie, z radością rzuca się na owe nostalgiczne, lecz mylne wyobrażenia. Troszczy się jednak o podsycanie tej mitologii w interesie ekonomicznej eksploatacji. Paulinę natomiast interesuje raczej przepaść między wyobrażeniem wsi a rzeczywistością, być może zawsze bardziej zadziwiająca dla tych, którzy mieszkają na wsi z niewłaściwych powodów, bo ich samych prawda wyprowadziła w pole. Wieś to okolica zbrodni z premedytacją i taka była zawsze - to miejsce, gdzie do ptaków i zwierząt się strzela, gdzie się je dusi, ściga lub wykopuje i roztrzaskuje na kawałki. Wieś, jak wiadomo, głęboko tkwi w tradycji, a takie są owe zadawnione tradycje. Można oczywiście być wdzięcznym za to, że dzisiaj żebracy nie umierają w rynsztokach i że nie znajduje się już podrzutków na przykościelnych dziedzińcach. Nieludzkie instynkty wciąż rozkwitają, ale przynajmniej oficjalnie próbuje się zapobiegać rzucającej się w oczy nędzy. Nawet lisy, na które się poluje, i zabijane kijami borsuki mają swoich obrońców, którzy usiłują walczyć o ich prawa, cokolwiek to daje.

W sobotnie wieczory miejscowa młodzież idzie w poszukiwaniu łupu do sympatycznego centrum miasteczka Hadbury. „High St 14 (obecnie Bank Barclaysa) z połowy XVIII wieku z pięknym portykiem, «Gospoda Okrętowa» z końca XVII wieku o oknach dzielonych kamiennymi słupkami, z piękną sztukaterią...” - opisuje Pevsner. Głównie wybijają szyby w samochodach i rzucają puszki po piwie w sklepowe wystawy. W ubiegłym miesiącu grupie młodzieży, zdecydowanej zniszczyć młotkiem fasadę spółdzielni, przeszkodził sześćdziesięcioletni mężczyzna, który był na tyle niemądry, żeby ich upominać. Obra-

zeni młodzieńcy skierowali się przeciw niemu. Pobili go do nieprzytomności, tak że znalazł się w szpitalu z pękniętą czaszką i licznymi obrażeniami.

Paulina czyta o takich przypadkach w lokalnej gazecie, gdzie sąsiadują ze sprawozdaniami ze szkolnych uroczystości i opisami kłótni o zgodę na projektowane budowy. Fotografie roześmianych pędraków w płytkim basenie, ufundowanym przez Klub Rotary, zamieszczono obok zdjęcia kupy zgniecionej blachy, która upamiętnia ostatnią kraksę na głównej szosie, biegnącej przez dolinę World's End - dolinę pszenicznych pól obok wzgórza zwieńczonego rzędem drzew. Szosa jest starą drogą z dwoma jedynie pasmami, za wąską dla ogromnego ruchu, jaki teraz na niej panuje, nie tylko skierowanego na północ do Birmingham czy Coventry, ale również ruchu lokalnego; korzysta z niej na przykład Chaundy, który jeździ od jednego ze swoich przedsiębiorstw do drugiego, i Paulina udająca się do Hadbury po zakupy. Autobusy turystyczne kursują tędy, kierując się do Stratfordu. Rzędy głów poruszają się ruchem obrotowym, kiedy autobus przemierza dolinę, unosząc pasażerów wysoko ponad okolicą, której przyglądają się ze swoich klimatyzowanych pomieszczeń przez przyciemnione szyby. Co oni widzą? Krajobraz, który jest piękny? Albo osobliwy? Albo po prostu obcy? Czy ich uwagę przyciągają zabudowania, czy rosnące zboże, czy też może nazwy na kierunkowskazach albo znaki drogowe lub znak firmowy pobliskiej restauracji „Zadowolony Smakosz”?

Paulina mieszkała w wielu miejscach. Nie uważa, żeby wywodziła się z jakiejś szczególnej miejscowości. W przeciwieństwie do licznych mieszkańców tych stron jej wymowa nie zdradza, skąd pochodzi. Wyrastała na południowym wybrzeżu, w Worthing, gdzie jej ojciec miał praktykę lekarską. A potem kolejno osiedlała się tam, gdzie niosły ją okoliczności. Uniwersytet na północy. Praca w Manchesterze. W latach, gdy była z Harrym, znalazła się znowu na południu, w mieście katedralnym, które zechciało gościć u siebie jeden z nowych wówczas uniwersytetów, gdzie Harry był wschodzącą gwiazdą. Okazało się, że trafił we właściwe miejsce. Akademia stała się nagle niezwykle modna. Nauczyciel akademicki nie był już postacią szanowaną wprawdzie, lecz ogromnie nudną i chodzącą w wyszarzałym ubranku - ale błyskotliwym, bystrym facetem, ulubieńcem mediów, chętnym do brania udziału w dyskusjach w programie telewizyjnym i w chłoszczących artykułach niedzielnych gazet. Rodził się student jako przeciwieństwo ucznia. A Harry był człowiekiem, który umiał uchwycić właściwy moment. Rozkoszował się nim. Był rozrywany. Zapanowała moda na specyficzny kierunek wykładanej przez niego historii ogólnej. Amerykanie musieli o nim usłyszeć, dostał roczny urlop na badania naukowe w Harvardzie, a stamtąd wyjeżdżał na konferencje w Kalifornii. Korzystał z okazji, zonglował ofertami pracy i wspinał się po drabinie awansów. Starszy wykładowca, docent, profesor w wieku trzydziestu ośmiu lat.

W ten sposób Paulina nauczyła się aklimatyzować, mieszkać na pełnym zieleni przedmieściu albo przy miejskiej ulicy, pakować się i przeprowadzać, kiedy zajdzie potrzeba. Jedne mieszkania lubiła bardziej niż inne, ale nie dała się uwięzić cegłom i zaprawie murarskiej. Teraz dzieli czas między mieszkaniem w Londynie a World's End, stosownie do ochoty i wygody. Z łatwością może pracować tu czy tam.

Myśli o tym, leżąc w łóżku i czekając na sen, trochę podniecona winem i rozmową. Zastanawia się nad anachroniczną skorupą, jaka ją otacza, nad przystosowującym się kamieniem, który nieczuły na nic przesuwają się ze stulecia w stulecie. Snuje rozważania o tych wszystkich, którzy czekali na sen w tym pokoju lub - co bardziej prawdopodobne - zapadali w sen natychmiast, zmorzeni trudami dnia. Jest północ, a ona nie może zasnąć, choć nie myśli już ani o tym miejscu, ani o ludziach, ale jest poruszona czymś nie nazwanym, jakimś lękiem, którego nie potrafiłaby zidentyfikować. Zapala nocną lampkę i pokój wypełnia się, i rozgrzewa przyćmionym światłem. Nastawia radio: spiker podaje wiadomości o wydarzeniach w Indiach, w Stanach Zjednoczonych, na Filipinach. Tu, w World's End, Paulina ma cały świat na wyciągnięcie ręki. Czuje go dookoła, dociera wszędzie, w ciemności i w świetle puste przestrzenie i rojne miasta, a wszystko to rozgadane, rozgadane...

Kiedyś, w innej epoce, jechała z Harrym przez całe Stany. Ta podróż trwała chyba całymi tygodniami. Teraz skurczyła się w jej pamięci do sprzecznych wrażeń przestrzeni i intymności. Bezmiarne horyzonty i tamta nie kończąca się droga, znikająca pod maską samochodu i wyślizgująca się ponownie za nim, widoczna w lusterku. I samo auto: bulwiaste i pletwiaste, egzotyczny potwór. Pasma drzew w Nowej Anglii, pola pszenicy wielkie jak niejedno hrabstwo w Anglii, kaniony, góry; twarze i głosy ludzi w motelach i na stacjach benzynowych. Samochodowe radio było ich linią ratunkową, udostępniało im to zdumiewające i tajemnicze miejsce, przez które się wlekli. Głos radia śpiewał i paplał godzina za godziną, i zdawał się oburzający, przemądrzały, absurdalny i nieuchwytny. Czuli się tak, jakby przybyli na inną planetę. Paulina miała dwadzieścia dwa lata, Harry był o rok starszy, robił właśnie doktorat, osiągnięcia i ambicje uderzały mu do głowy. Co wieczór padali na łóżko w jakimś marnym pokoju w motelu i dziko się kochali. Paulina budziła się o dusznym świcie w zmiętej pościeli, cuchnącej seksem i słyszała za oknem głosy dziwacznych ptaków. Pewnej nocy o trzeciej nad ranem, gdzieś w Kolorado, Harry powiedział:

- Pobierzemy się jesienią, dobrze?

Leżał, paląc papierosa po orgazmie, jego dłoń spoczywała przyjaźnie na jej kroczu.

- Oszalałem na punkcie tego kraju - oznajmił. - Pewnego dnia zostanę tu na dobre.

Paulina wyłącza wiadomości czwartego programu i wygasa świat. Teraz jest znowu sama z odgłosami nocy, z odległym hukiem jakiegoś samolotu, z wiatrem w gałęziach jabłoni. Powierza Harry'ego tamtej nocy w Kolorado, przeszło trzydzieści lat temu. Słyszy, że w sąsiedztwie otwiera okno ktoś, kto także nie może zasnąć.

Rozdział piąty

- Przygody Robin Hooda były istotnie idiotyczne - mówi Teresa. - Szło się przez las, a różni przebierańcy wyskakiwali nagle zza drzew i wypuszczali strzały jedni do drugich.

- Trafiali w nich?

- Och, nie. Ale i tak to nie były prawdziwe strzały. James podniósł jedną, miała końcówkę z gumy. Były też konie, co się podobało Luke'owi. No i Maurice, oczywiście, wydawał się zachwycony.

- Pewnie z naukowego punktu widzenia?

- O tak. Całą jedną część poświęca bijącym rekordy turystycznym atrakcyjności.

Paulina jedzie z Teresą do Hadbury. Teresa chce kupić nowy przeciwsłoneczny kapelusik dla Luke'a i coś do gospodarstwa. Paulina musi zaopatrzyć się w papier do faksu. Chce także wymienić pękniętą szklaną półeczkę w szafce w łazience i kupić nowy opiekacz. W Hadbury dostaną wszystko, czego im potrzeba. Luke zasnął sobie wygodnie w foteliku na tylnym siedzeniu, gdy tylko skręcili z bocznej drogi w World's End na główną szosę. Odtąd jadą wzdłuż pól kiełkującego zboża, sadzonek brukselki, rzepaku, rozciągających się ugorów koloru ochry, mijają wioski, stacje benzynowe, bary pod nazwą „Zadowolony Smakosz”, aż w końcu docierają do labiryntu szos i znaków drogowych informujących, że przybyły do miasta, gdzie odbywa się jarmark.

Hadbury jest uchwycone w imadło okrężnych dróg, obwodnic i przemysłowych zakładów. W centrum tego obszernego układu - objazdów, dwupasmowych dróg dla ciężarówek i całych akrów parkingów - przykucnęło samo miasto ze swoją dzielnicą handlową, dwoma kościołami, główną ulicą zadbanych osiemnastowiecznych domów, z których większość zajmują teraz banki lub towarzystwa budowlane. To jądro jednak zostało usunięte w cień przez satelitę - imperium, starannie poprzedzone drogowskazami na każdym oddalonym objeździe: Willow Way Industrial Estate, Oxpens Hypermarket, Meadowlands Trading Estate. Przestronnie tu, dużo miejsca - błyszczące sawanny parkingów okrążone farmerskimi magazynami: Tesco, Allied Carpets, Comet, Homecare. Jak gdyby pierwotne miasto zostało teraz otoczone ochronnym *cordon sanitaire* handlu, zakonserwowane jako osobliwość, jakkolwiek opatentowana przeszłość nie jest towarem na sprzedaż.

To do tego zdyskredytowanego centrum zmierza Paulina, ignorując wabiące sawanny parkingów. Znajduje miejsce do zaparkowania. Luke zostaje przeniesiony z samochodu do wózka i kobiety wyruszają do firm Businessline i Mothercare, które zostały wchłonięte przez rozrastający się Buttermarket. W Hadbury panuje ożywiony ruch nawet w poniedziałkowe przedpołudnie. W samym centrum ulice zamknięte dla ruchu kołowego roją się od przechodniów. Większość z nich to kobiety, w większości młode, wiele z nich pcha wózki. Paulina i Teresa doskonale się tu wpasowują, wszędzie dokoła podobne grupki: matka, córka i małe dziecko na zakupach. Ze wszystkich stron niemowlęta w wózekkach śpią z rozrzuconymi rączkami, osłonięte przed słońcem, spoglądają władczo znad poduszek ozdobionych falbankami albo zwi-sają w szelkach na ramieniu matki, podczas gdy większe płaczą się po chodniku.

- Myślałam, że mamy właśnie problem z malejącym przyrostem ludności - zauważa Paulina.

Teresa zgadza się, że w Hadbury tego nie widać.

- Może na wsiach jest inaczej.

- Aha - potwierdza Paulina. - Znowu klęska wielkowiejska.

Bo wygląda na to, że coś się dzieje z rozrodczością. Stan liczebny spermy u europejskiego mężczyzny wyraźnie się obniżył. Młode kobiety nie zachodzą już w ciążę w rezultacie jednego ciepłego spojrzenia. Przynajmniej niektóre młode kobiety. Znajome Teresy między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia żeglują bezdzietnie, a wpadają w panikę, kiedy stuknie im trzydziestka. Płodne lata odpływają, a teraz, kiedy dojrzały do macierzyństwa, nic się nie dzieje. Miesiąc za miesiącem, a one nie zachodzą w ciążę. Najwyraźniej to wina pigułki. Świetnej, wspaniałej pigułki, która obnażyła zęby i okazała się niebezpieczna dla kobiet, choć niegdyś je chroniła.

- Słuchajcie - mówi Paulina do Teresy i jej znajomych - sądźcie, że macie problemy? A możecie sobie wyobrazić, jak to było z nami? Zawsze jak na rozżarzonych węglach, żeby nie zająć w ciążę. Sprawdzaj majtki co pół godziny, bo period spóźnił się o jeden dzień. A potem przyszła pigułka i od razu zaczęło się mamrotanie, że spowoduje zakrzepy i umrzecie przed czterdziestką. Trzeba było więc wybierać między dzieckiem a wczesną śmiercią. Niektóre z nas nigdy nie brały pigułki.

A one patrzą na nią bezmyślnie. Paulina widzi, że atmosfera niepokoju jest tak zmienna jak kra- wiecka moda. Nie mają nawet pojęcia, jaką wagę miały niegdyś słowa: jestem w ciąży. Bojaźliwie wyszeptane przyjaciółce. Wyznane ojcu dziecka. Trzeba było przyznać się w klinice i lekarzom w gabinecie. Teraz młode kobiety, kiedy są w ciąży, mówią o tym głośno i wyraźnie. To forma fizyczna, nie stan umy- słu.

- Jestem w ciąży - mówi Harry'emu.

Harry patrzy na nią. Z wyrazu jego twarzy nie może odgadnąć, co myśli lub czuje. Równie dobrze mogła mu oznajmić, że wychodzi do sklepu na rogu.

- Jesteś w ciąży? - powtarza Harry. - No, no, no. Co się stało?

Są małżeństwem od jedenastu miesięcy.

- Co się stało! Na miłość boską, co masz na myśli?

- Przecież używałaś diafragmy, prawda?

Patrzy na niego zdumiona. Nagle zdaje sobie sprawę, że ona mówi o jednej sprawie, a on o drugiej.

- Czasami zawodzą, chyba wiesz? - przypomina. - Niezawodne w osiemdziesięciu procentach, i to wszystko.

- Taak - powiada Harry. - A to niespodzianka!

Sięga po dzbanek z kawą, napełnia sobie filiżankę i pytająco kieruje dzbanek w jej stronę. Po chwili Paulina oznajmia:

- Noszę w sobie dziecko, Harry. Dziecko!

Teresa manewruje wózkiem przy otwartych drzwiach działu „Macierzyństwo”. Idą teraz przez las maleńkich ubranek, rozmiary niemowlęce, pasiaste koszulki jak do gry w rugby, miniaturowe eleganckie fraczki, obszyte futerkiem kurteczki jak dla lalek. Dzieciństwo to dzisiaj sprawa poważna. Za ubrankami gąszcze najrozmaitszego ekwipunku: łóżeczka, wózki, wysokie krzeselka i kojce.

- I jeszcze jedno - przypomina sobie Paulina. - Co się stało z tymi, co dokonywali aborcji? Całą profesję zmiotło z powierzchni. A w swoim czasie wszędzie było ich pełno.

Teresa przystanąła, żeby obejrzeć stoisko z kapelusikami od słońca. Rzuca Paulinie spojrzenie pełne wyrzutu. Jakaś babunia z Hadbury obserwuje je przez stelaż z miniaturowymi dresami.

Paulina odrobinę zniża głos.

- Były dwa rodzaje takich facetów. Tacy, co brali niedrogo, gnieździli się w mieszkankach na południe od rzeki lub częściowo w Enfield i Hackney. Tanio i ohydnie narażałaś życie. Która tylko mogła, która wygrzebała skądś sto funtów albo więcej, szła do zaufanego lekarza. Mosiężna tabliczka i adres na West Endzie. Sto funtów wtedy to była cholerna suma. Świat roił się od ludzi, którzy kręcili się jak szaleni i rozpaczliwie próbowali zebrać stówę. Gotówką, na miejscu, w funtowych banknotach i w zwykłej koperacie. Zaraz po przyjściu wręczyć asystentce.

Teresa podnosi wzrok znad okrągłej, przypominającej kask czapeczki z niebieskiego drelichu, którą właśnie ogląda.

- Boże mój... - A potem: - Skąd ty to wszystko wiesz, mamó?

- Och, wszyscy o tym wiedzieli - odpowiada Paulina. - Ale nie możesz włożyć czegoś takiego Luke'owi. To się nadaje raczej dla gracza w baseball, a nie dla dziecka.

Wreszcie znajdują odpowiednią czapeczkę. I kilka koszulek gimnastycznych nie zeszpeconych miśkami czy sportowym logo. Płacą i wychodzą znowu na Buttermarket.

Idą do ciągu sklepów z gospodarstwem, gdzie Paulina robi zakupy. Tymczasem Luke zaczyna kapryścić i trzeba mu zamknąć buzię buteleczką soku; kobiety siadają na ławce w samym centrum terenów handlowych.

- Zapomniałam ci powiedzieć - mówi Paulina. - Dostałam list od Harry'ego.

Nazywają go tak między sobą od wielu lat. „Twój ojciec” brzmi albo oskarżająco albo nie do zniesienia formalnie. A Teresa zarzuciła nazywanie go „tata” dawno temu.

Teresa znów zajmuje się Luke'em, któremu trzeba wytrzeć nos. Wyraźnie ma się na baczności.

- Ma zamiar latem tu przyjechać. Będzie w Londynie przez kilka tygodni. Ma nadzieję, że się z tobą zobaczy. Píše, że zadzwoni, kiedy ustali już datę przyjazdu.

Teresa trochę się krzywi.

- Kiedy naprawdę mamy zamiar siedzieć tu całe lato. Nie w Londynie.

Paulina zataiła, że Harry próbuje także i ją delikatnie wybadać co do jej planów. Delikatnie i ostrożnie. Może udałoby ci się przyjść na jakiś obiad albo kolację, kiedy tam będę? Paulina oczywiście zignoruje tę aluzję, pozwoli jej przyschnąć, tak jak pozwoliła przyschnąć innym delikatnym aluzjom, wy-

suwanym przez Harry'ego niby badawcze czułki. Nigdy się nie nauczy ten cały Harry. Albo też, być może, wciąż wierzy w swoją niezawodną siłę perswazji.

- To lato jest dla Maurice'a decydujące - tłumaczy Teresa matce. - Musi jeszcze wszystko przepisać, sprawdzić adnotacje, potem opracować wstęp i bibliografię, jeśli zdoła to zrobić, jesienią będą mogli oddać całość do druku. Tak, to lato jest dla niego istotnie bardzo ważne.

- Hmm - mruczy Paulina. I dodaje: - Przecież to tylko książka.

Teresa jest oburzona.

- No wiesz - zaczyna. - Sądziłam, że ze wszystkich ludzi ty powinnaś...

- Przeciwnie - odiera Paulina. - Ja nie mam żadnego szacunku dla druku. Wiem, skąd się bierze.

Mina Teresy wyraża głęboki sceptycyzm, a Paulina zaczyna się śmiać.

- Nie martw się, kochanie, zachowam dla siebie te herezje. Czy ci dwoje znowu zjadą do nas na weekend?

- Nie wiem jeszcze. Przypuszczam, że chyba dopiero za dwa tygodnie.

- Też dobrze - mówi Paulina. - Chyba nie chcesz mieć ich na karku przez cały czas tutaj.

Teresa gotowa bronić przyjaciół Maurice'a.

- Nic mi to nie przeszkadza. Lubię ich. Zresztą inaczej Maurice musiałby jeździć do Londynu. A tak zaoszczędza wiele czasu i pieniędzy.

- Zaczynasz już chytać ten przeraźliwy żargon - gdera Paulina.

Podejrzewa, że to głos Jamesa, sympatycznego Jamesa. Maurice nigdy by się do tego nie zniżył. Jest zbyt wybredny. Unika wszystkiego co modne i osiąga w ten sposób własną, swoiście wyczuloną elegancję, która cokolwiek przekracza oczekiwania współczesnego sposobu bycia.

- Lepiej, żeby Maurice nie słyszał, że mówisz w ten sposób - dodaje Paulina.

Ale Teresa ma już dość tej rozmowy. Wsadza znowu Luke'a do wózka, przypina go i proponuje, żeby załatwiły, co mają do załatwienia.

Teresa nigdy nie rozmawia z Pauliną o Maurice'u, chyba że o najbardziej praktycznych sprawach, takich jak podejmowane decyzje, opinie, działania. „I słusznie - myśli Paulina - komu dziś potrzebna ta straszna, tradycyjna, kobieca konspiracja? Choć bez wątplenia w całym Hadbury wszystkie młode kobiety skarżą się teraz na swoich mężczyzn wobec starszych, w zamian wysłuchując tamtych, prześcigających się w oskarżeniach”. Przez chwilę Paulina wspomina swoją matkę, z którą nigdy nie rozmawiała o Harrym. Z wyjątkiem jednego razu. Jednego jedyne go razu.

A Teresa jest zakochana, oczywiście. Ilekroć Paulina sobie o tym przypomni, przechodzą ją ciarki. Czuje się tak, jakby sama stała na jakimś bezpiecznym brzegu i patrzyła, jak Teresa walczy z falami. Obserwuje jej zachowanie i rozpoznaje w nim ten straszliwy, znany sobie stan. Wie, co Teresa czuje, i wie, że ani przez moment nie chciałaby odczuwać inaczej. Teresa jest szczęśliwa, cudownie szczęśliwa. To naturalne, że nie może mówić o Maurice'u. On nie jest osobą, jest atmosferą. Jest poza komentarzami czy krytyką.

- ...mrożony jogurt? - pyta Teresa.

- Co mówisz?

Są teraz u Marksa i Spencera, w dziale żywności.

- Pytam, czy próbowałaś kiedy mrożonego jogurtu? Zamiast lodów.

Omawiają pokrótce mrożony jogurt. Luke nieustannie protestuje. Ma już dosyć tej wyprawy. Wierci się, krzyczy i płacze. Myślałby kto, że jest duszą poddaną torturom, a nie kimś, kto czuje się po prostu znudzony i zmęczony. Paulina myśli ze zdumieniem o tym zapomnianym już wrzącym wirze uczuć. Oto Luke, który dzieli z nimi codzienność, żyje gdzie indziej, w miejscu wybuchowej wrażliwości, gdzie uderka wypiera ekstazę minuta po minucie. Jak to można przetrwać, przeżyć tę zmienność doznań? A może to dopiero gwałtowny trening przed tym, co ma nadejść? Brutalna edukacja, frenetyczna, przyśpieszona wersja tego, co jest przed nim.

Paulina nagle sobie uświadamia, że nie płakała już od lat. Hm, może jakaś przypadkowa, sentymentalna łza. Ale nie prawdziwe, gorzkie, krwawiące łyzy bólu. Nie szlochała aż do krańcowego wyczerpania, nie widziała swojej twarzy czerwonej i napuchniętej, nie czuła słonego smaku nieszczęścia. Od wielu lat. Ale czy to znaczy, że jest bez przerwy zadowolona? Że jedzie z wyłączonym biegiem, na luzie, w stanie uczuciowej neutralności? Jasne, że nie. Ani też nie znaczy, że ognie wygasły. Znaczy to po prostu, że z latami coraz rzadziej się płacze.

Luke nagle zasnął. Prześliznął się z pasji w zapomnienie, zapadł się w swoim wózek. Paulina i Teresa mogą dokończyć zakupy we względnym spokoju i wracać do domu.

Maurice jest przed domem, kiedy przyjeżdżają. Widzą go z daleka stojącego z komórkowym telefonem. Na dojeździe wysoka teraz trawa szoruje podwozie z odgłosem rwącej wody. Samochód płynie między młodą pszenicą i dociera do wyspy, do portu, nad którym zawieszony skowronek niewidzialnie porusza skrzydłami w błękitnym powietrzu przedpołudnia. Paulina wyłącza motor, a wtedy jest już tylko skowronek.

I Maurice, który pyta:

- Dobrze się bawiłyście, dziewczyny?

Ma świetny humor, to widać, a mówi tak, żeby im dokuczyć. Ani Teresa, ani Paulina nie chwytają przynęty. Teresa kieruje spojrzenie na telefon.

- Czy ktoś dzwonił?

- Ludzie stale dzwonią - odpowiada Maurice. - Czy jest kiedyś taki czas, że nikt nie dzwoni?

Stoi, a dobre samopoczucie aż z niego bije. Wreszcie Teresa proponuje, żeby pomógł wnieść do domu zakupy. Natychmiast się do tego zabiera, pełen usługowej gotowości. Kładzie telefon na ogrodowym murku i rzuca jej uśmiech wyrażający skruchę, przeprosiny, uczucie - uśmiech mający za zadanie rozbroić i rzeczywiście rozbraja. Paulina widzi, że Teresa się odpręża. Jest odwrócona do niej tyłem, Paulina nie może zobaczyć wyrazu jej twarzy, ale wie, jak córka teraz wygląda, jak jej rysy nabierają miękkości, a oczy stają się coraz większe, gdy wchłania uśmiech męża, gdy się w nim pławi.

Paulina zbiera swoje sprawunki, wyjmując z wozu, wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. Kładzie torby na stole kuchennym i zastyga w bezruchu, jakby czegoś nasłuchiwała. Zdawałoby się, że nie przebywa już w World's End. Dosięgło do niej jakieś długie ramię i wciąga gdzie indziej, a to, co widzi i słyszy, sprawia, że jej oblicze tężeje w napięciu.

Stoi tak pośród spokojnych odgłosów kuchennych, a potem ten moment mija i Paulina powraca, rozpakowuje nowy toster, chowa jedzenie do lodówki. Zielone cyferki na tarczy kuchenki przesunęły się o kilka sekund, to wszystko. Nic się tutaj nie wydarzyło, minął jedynie ułamek czasu, a do Pauliny dotarło echo skądinąd.

Murarze, którzy patroszyli World's End, wydobyli rozmaite szczątki jakichś rzeczy i zostawili do obejrzenia: lulkę glinianej fajki, skorupy wiktoriańskiej porcelany, metalowe guziki. Szczątki te leżą teraz w miseczce na kuchennym kredensie, pokryte warstewką kurzu i zadziwiająco trwałe. Nie do pomyślenia byłoby je wyrzucić, a jednak ktoś kiedyś to uczynił. Wyrzucone, zgubione w samym środku czynnego życia. I tkwiące dzisiaj z uporem w małej miseczce z włoskiej majoliki na środkowej półce sosnowego kredensu Pauliny.

Kredens został kupiony od handlarza, który podróżował po Irlandii i od wieśniaków nabywał po minimalnej cenie niemodne meble. Kredens rozebrany na kawałki zanurzono w jakiejś silnej chemicznej kąpieli, zmontowano z powrotem i przystrojono nowymi mosiężnymi uchwytami. Jest to przedmiot użyteczny i miło na niego patrzeć, ale w Paulinie nie wywołuje specjalnego oddźwięku, poza ceną, jaką za niego zapłaciła, i wysiłkiem, jaki kosztowało wstawienie go do wnętrza. Co innego majolikowa miseczka. Majolikowa miseczka należy do Pauliny od blisko czterdziestu lat.

Kiedy Paulina skończyła osiemnaście lat i jesienią miała zacząć studia na uniwersytecie, wybrała się z przyjaciółką na lato do Włoch. Ani ona, ani jej koleżanka nie odbywały przedtem zagranicznych podróży bez rodziców; Paulina była jedynaczką. Okres jej dorastania z niepokojem nadzorowała matka, która zresztą nie miała nic innego do roboty. Paulina rzadko widywała ojca, zapracowanego lekarza, a jej stosunki z matką obfitowały w denerwujące spięcia. Matka podchodziła do życia z głęboką ostrożnością i niedowierzaniem. Cała jej energia była skierowana na zapobieganie złości losu. Unikało się niepotrzebnej jazdy samochodem z obawy o możliwy wypadek. Szpikowało się bez litości zapobiegawczymi lekami. Należało być ostrożnym w stosunkach z ludźmi, bo można przecież natrafić na takich, którzy będą się czegoś domagać albo okazać się niepożądanym towarzystwem. Takie stanowisko doprowadzało do rozpacz Paulinę ośmioletnią, a irytowało osiemnastoletnią. Dlaczego nie mogę? - płakała przez wszystkie dziecinne lata. Dlaczego nie powinnam? Jej wysiłki koncentrowały się na przechytrzeniu matki, na znajdowaniu sposobów, aby obejść narzucone ograniczenia, na życiu, a nie na powstrzymywaniu się przed życiem.

Podróż do Włoch poprzedziły nie kończące się dyskusje i negocjacje. Wreszcie matka Pauliny skapitulowała, wymusiwszy wpierw rozmaite obietnice: żadnych wędrówek autostopem; gotówkę i dokumenty przez cały czas trzymać przy sobie w bezpiecznie umocowanej torbie; nigdy się nie rozłączać.

Kiedy jechały na południe, czuły się dorosłe i odprężone. Zanim dotarły do Neapolu, były opalone i tryskające zdrowiem, szalały, upojone słońcem, jedzeniem, tanim winem, własnymi pulsującymi hormonami i pełnymi zachwyty spojrzzeniami młodych mężczyzn. Przyjaciółka Pauliny, którą w szkole uważano za nieco lekkomyślną, powiedziała:

- Chyba nie potrafię myśleć o niczym innym tylko o seksie.

Paulina przytaknęła. Później nie było już o tym mowy, ale obydwie się rozumiały. Pozwalały się podrywać - początkowo dość ostrożnie, później z coraz większym brakiem powściągliwości. W Pompei flirtowały z kilkoma niemieckimi studentami, ale stwierdziły, że są nie dość pociągający, i porzuciły ich. Potem na plaży zaprzyjaźniły się z dwoma Włochami. Czarującymi. Uprzedzająco grzecznymi, którym nie sposób było się oprzeć. Przez dwa dni cała czwórka flirtowała i staczała ze sobą potyczki w morzu i na plaży, w miejscowych kawiarenkach, na schodach taniego hoteliku, w którym dziewczyny mieszkały. Trzeciego wieczoru, za milczącym porozumieniem, rozdzielili się na dwie pary.

Paulina była dziewicą. Jej przyjaciółka sądziła, że chyba także nią jest, nie bez pewnych jednak wątpliwości. Później nie porównywały swoich zapisków, ale spędziły resztę wakacji na pełnym strachu oczekiwaniu na okres. Gdy przyjaciółka pierwsza odetchnęła z ulgą, wybiegając w podskokach z toalety ekspresu jadącego do Mediolanu z okrzykiem „Okay, wszystko dobrze! Jest!”, Paulina prawie ją znienawidziła. Orzekła, że seksualna inicjacja jest doświadczeniem przynoszącym rozczarowanie, jak tego wymagała tradycja, ale czuła, że to doświadczenie ma określone możliwości rozwoju. Była rozdarta między tym podniecającym spostrzeżeniem a paniką, z jaką oczekiwała menstruacji. A ta zjawiała się pierwszego dnia po powrocie do domu, właśnie w chwili, kiedy ustawiała na swojej toalecie majolikową miseczkę - pamiątkę od młodego Włocha, którego rysów już nie pamiętała.

A zatem miseczka z majoliki, która jakoś przyłgnęła do niej na całe życie i w której przechowywała spinacze i gumki, a teraz te archeologiczne drobiazgi, zawsze już będzie jej się kojarzyła nie tyle z pełnym wigoru młodym Włochem, ofiarodawcą, ale z tamtą falą ulgi, kiedy pojęła, że jej się udało, że nie zaszła w ciążę, że nie będzie musiała za tamto zapłacić. Przyjechała do domu niemal w stanie histerii, z trudem zdobywała się na to, żeby porozmawiać z matką, która przyglądała jej się przenikliwie, przeczuwając, że coś się stało. A następnego dnia uczucie ulgi promieniowało z Pauliny, była nową kobietą, radosne życie stało przed nią otworem. Czy matka dziwiła się, czy coś odgadywała?

Teraz Paulina rozumie uczucia matki. Rozumiała je już dawno, w momencie zadziwiającej intuicji, gdy trzymała w ramionach własne dziecko i zdała sobie sprawę, że istnieją inne wymiary miłości. To spostrzeżenie nie zbliżyło jej do matki, której przypuszczenia i oczekiwania były tak dalekie od jej własnych, że stworzyły przepaść nie do przekroczenia. Ale teraz była zdolna pojąć, dlaczego jej matka zachowywała się tak a nie inaczej, dlaczego żyła w stanie ciągłego strachu. Te włoskie wakacje musiały ją wiele kosztować. I rzeczywiście jej najgorsze obawy sprawdziły się, jak to zapewne podejrzewała. No, może jeszcze nie najgorsze obawy. Bywają większe katastrofy niż utrata dziewictwa.

Dzisiaj w World's End miseczka z majoliki nie jest jedynie echem, które zatrzymuje Paulinę w jej drodze, lecz przede wszystkim ciągłym, niskim pomrukiem. Jest to uporczywy, podświadomy szum fizycznego przedmiotu, który przetrwał od wtedy aż do chwili obecnej i nie przestaje wydawać cichego dźwięku. Paulina rejestruje ten dźwięk, kiedy podnosi miseczkę w poszukiwaniu klucza do okiennego zamka, który także powinien być tutaj, na środkowej półce. I rzeczywiście, jest, przyczajony za pocztówką z San Francisco wysłaną przez Hugh'a, który na początku roku wybrał się na jedną ze swoich ekspedycji związanych z książką. Paulina otwiera okienko w bocznej ścianie, którego jeszcze w tym roku nie otwierała, i z dworu potokiem wdziera się śpiew skowronka razem ze zwiastującym śmierć zawodzeniem policyjnego wozu na głównej drodze i dygotaniem niewidocznego traktora gdzieś poza szczytem wzgórza. Kuchnia rozbrzmiewa od wewnątrz i od zewnątrz, kiedy Paulina krząta się, przygotowując sobie coś na lunch, myjąc sałatę pod zlewem, krojąc pomidora, nie myśląc ani o majolikowej miseczce, ani o traktorze, ale o maszynopisie na biurku, nad którym dziś po południu musi popracować.

TLR

Rozdział szósty

- To dziwne widzieć Maurice'a jako *père de famille* - mówi James.

- Jeśli on w ogóle nim jest - wymyka się Paulinie. Jadą do Worsham.

Towarzystwo się rozdzieliło, bo wszyscy nie zmieściliby się w jednym samochodzie. Paulina przyłączyła się do wycieczki bez entuzjazmu. Zna już Worsham, ten prawdziwy lep na muchy przyciągający turystów, co oczywiście jest powodem, dla którego Maurice chce mu się przyjrzeć. Ale nie opuszczała World's End niemal przez tydzień, wstał piękny dzień, a Maurice jest podstępnie przekonujący. Ma w sobie dziwną potrzebę otaczania się ludźmi. Lubi towarzystwo - im liczniejsze, tym lepiej. A kiedy tłoczyli się przy autach, usadzając Luke'a w foteliku, ustalając, kto będzie prowadził, Maurice zdecydował, że Paulina powinna jechać z Jamesem, ponieważ zna drogę.

- No tak, jedno dziecko jeszcze nie czyni *une famille*.

Wprawdzie Paulina nie to miała na myśli, ale uwagę pomija milczeniem.

- Wie pani, ja sam także zaczynam myśleć o dzieciach - zwierza się Paulinie James. - Może nie od razu, ale w swoim czasie.

„O biedaku - przebiega przez głowę Paulinie. - W takim wypadku lepiej byś pomyślał o zmianie partnerki. W swoim czasie”.

Zaczyna odczuwać sympatię do Jamesa i z żalem podejrzewa, że jest niewiniątkiem, co znaczy, że w swoim zawodzie może jeszcze dobrze dostać w skórę, i to porządnie, nim upłynie rok. Pracuje jako kierownik redakcji w wydawnictwie, któremu patronuje jedno z wielkich zjednoczeń.

- Nie ma co się śpieszyć - ciągnie James z zadowoleniem. - Oczywiście, z Maurice'em to co innego. W końcu ma już czterdzieści cztery lata.

- O ile wiem, samiec ludzkiego rodzaju zdolny jest jeszcze do reprodukcji dobrze po siedemdziesiątce.

James zerka na nią z ukosa, niepewny, jak ma to przyjąć.

- A jednak większość z nas woli nie odkładać tego na później.

Tej niedzieli w samym środku lata na drogach panuje tłok, stracili z oczu samochód Maurice'a, który ich wyprzedził. Okazuje się, że tłum ludzi krąży po okolicy w poszukiwaniu rozrywki. Wszędzie wzdłuż drogi widnieją transparenty i tablice reklamowe, oznajmiające, co jest do zaoferowania: wiejski jarmark, strzelanie do glinianych gołębi, własnoręczne zbieranie truskawek. Najwidoczniej połowa ludności zarabia na życie zapewnieniem drugiej połowie jakiegoś zajęcia. Paulina zwraca na to uwagę Jamesa, który zgadza się z nią entuzjastycznie.

- Właśnie. I dlatego książka Maurice'a jest nadzwyczaj na czasie. To będzie jeden z naszych wydawniczych przebojów na jesień. Pod warunkiem, że oddamy ją w porę do produkcji. Jeśli TV ją rozreklamuje, to będzie ważna publikacja. Dlatego tak siedzę Maurice'owi na karku tego lata. Żeby mieć pew-

ność, iż dotrzyma terminu. Maurice ma skłonności do rozpraszania się, gotów pomknąć za czymś nowym, co go zainteresuje.

- Zauważyłam to - potwierdza Paulina.

- To część jego uroku, oczywiście. Ta zdolność do rzucania się z entuzjazmem na najbardziej nieoczekiwane rzeczy, żeby potem napisać o tym dowcipną książkę. Coś nam mówi, że Maurice ma przed sobą przyszłość.

Paulina pyta Jamesa, od jak dawna zna Maurice'a. Widzi, że wyraźnie jest pod jego urokiem.

- Przyszedł do nas porozmawiać o książce jakieś trzy lata temu, kiedy ten pomysł zaczynał w nim dojrzewać, a myśmy się naturalnie na to rzucili. Praca z Maurice'em to najlepsze, co mogło mi się przydarzyć.

- Niech pan skręci w prawo - przerywa mu Paulina. - Już prawie dojeżdżamy.

James skręca w boczną drogę i włącza się w kolejne ruchliwe pasmo.

- Harper i Collins przygotowują to w Stanach. Są naprawdę dobrzy. Amerykańska część książki jest świetna, zawiera pierwszorzędny materiał dotyczący historii rezerwatów. Bardzo dowcipny, bardzo w stylu Maurice'a. Będzie to naprawdę obrazowa, świetna książka, jestem pod wielkim wrażeniem.

„Och, książki, książki - myśli Paulina. - Zgubne przedmioty”.

- Kiedyś chciałam spalić pewną książkę, nawet już zaczęłam - mówi. - W maszynopisie.

James patrzy na nią z ukosa, zaskoczony.

- Proszę, niech pan nikomu o tym nie piśnie, bo będę skończona w moim zawodzie.

- Przysięgam. Ale dlaczego tylko pani zaczęła?

- Głębokie uwarunkowania wzięły górę.

- Czyja to była książka?

- Mojego męża. Mojego eks-męża.

- Och... - James jest wyraźnie rozczarowany. - Myślałem, że to był jeden z pani autorów.

- Lepiej, żeby pan teraz skręcił - radzi Paulina. - Zdaje się, że tu jest parking. - Przyjechali już bowiem do Worsham i muszą stanąć przed problemem, jak oderwać się od samochodu i stać się bardziej ludźmi niż ulicznym ruchem. James nie będzie teraz słuchał o paleniu książki. - Tam są nasi - wskazuje. - Też tędy jadą.

Wcale nie tak łatwo spalić książkę. Bierze pierwszą stronę - pierwszą stronę pierwszego rozdziału - i zgniata ją w pięści. Kładzie ją na kratę malutkiego wiktoriańskiego kominka, który stanowi motyw dekoracyjny w odnowionym, centralnie ogrzewanym, szeregowym domku w małym katedralnym miasteczku. Zapala zapalną i przykłada ją do papierowej kulki, która zajmuje się płomieniem. Kilka piórek zwęglonego papieru sfruwa na dywan. Paulina podchodzi do stołu i wyciąga stronę drugą z kupki maszynopisu, zgniata ją, wkłada do kominka, zapala następną zapalną.

Za każdym razem, ilekroć wraca do tej sceny, staje się ona holenderskim wnętrzem. Patrzy na nią z zaciekawioną obojętnością: cichy pokój, w poprzek którego leży klin słonecznego światła, wpadającego

przez otwarte drzwi, za nimi widać w ogrodzie wózek, w którym śpi niemowlę, młoda kobieta pochyla się przed kominkiem, czyniąc coś z papierem i zapalkami.

To scena, którą zobaczył Harry, gdy wszedł do pokoju. Tylko że ona siedziała już wtedy przy stole. Zatrzymuje się, czując, że coś jest nie tak.

- Co robisz?

- Palę twoją książkę - odpowiada mu.

Harry blednie. Nigdy dotąd nie widziała nikogo, kto by tak zbladł. Na jej oczach twarz mężczyzny się zmienia, odbarwia się, jakby odpłynęła z niej krew. Harry nie może przemówić. Stoi, wpatrując się martwo jak widmo w kominek, w czarny kopczyk w jego wnętrzu, na zwęglone strzępki na dywanie. A potem zwraca spojrzenie na stół. Widzi stertę papieru, maszynopis wystający spod gazety. Wyciąga rękę.

- Nie martw się - mówi Paulina. - Nie mogłam dobrać do końca. Jestem zbyt dobrze wychowana.

Harry gorączkowo wertuje maszynopis. Widzi, że brakuje tylko dwóch pierwszych stron. Krew znowu napływa mu do twarzy.

- Ale zaczęłam to robić - mówi Paulina. - W duchu tego chciałam. To ciało mnie zawiodło.

Teraz zamiast na maszynopis patrzy na nią.

- Dlaczego? Dlaczego, na litość boską? Spogląda mu w oczy.

- Ty wiesz - odpowiada.

Worsham spełnia wszystkie oczekiwania Maurice'a; przelewają się przez nie tłumy. Chodniki szerokiej głównej ulicy aż się roją od ludzi, sunących powoli wzdłuż antykwariatów, galerii obrazów i pubów z ukwieconymi frontonami. Maurice wpada do Ośrodka Informacji, żeby wziąć kilka broszur, choć posiadana przez niego kolekcja osiągnęła już chyba wagę państwową. Carol popłynęła za nim. Teresa podaje Luke'owi jakiś sok.

- O czym była ta książka pani męża? - pyta James. Może uważa, że takie pytanie będzie bardziej taktowne niż to, dlaczego chciała spalić książkę. A może kieruje nim zawodowa ciekawość. Stoją przed sklepem z dziełami sztuki, przyglądając się bez zainteresowania drogim wyrobom garncarskim i dziecięcym zabawkom z polerowanego cisu.

- Z historii demografii. Analiza trendów ludności w siedemnastym wieku.

- Aha - mówi James.

- No tak. Właściwie interesująca książka. Był w tym okresie w awangardzie akademickiej mody.

Teraz Maurice przyłączył się do nich i kartkuje przyniesione broszury.

- Na prawo. Pierwszy przystanek: Wzorowa Wieś.

- Wzór jakiej wsi? - chce się dowiedzieć James.

- Byle jakiej. Apokryficznej, idealnej wsi. Wszystko w skali, piszą tutaj, ale na wysokość pasa, a przez okna można obejrzeć znakomicie odtworzone dziewiętnastowieczne wnętrza.

- Musimy to zobaczyć? - pyta Teresa. - Tam jest okropna kolejka. Widziałam to już poprzednim razem.

- Myślę, że ty i Luke możecie sobie darować. - Maurice kładzie dłoń na jej ramieniu w geście odpuszczenia. - Idź i kup sobie lody.

- Mnie też wykreśl - oznajmia Paulina.

James i Carol wybierają się z Maurice'em. Cała trójka znika w poszukiwaniu kolejki czekającej na wejście do Wzorowej Wsi, a Teresa i Paulina wędrują w górę głównej ulicy.

- Nie żadne lody - prostuje Paulina. - Porządną filiżankę herbaty. W jakiejś pierwszorzędnej speluncie z obrusami i sitkiem na herbatę.

Worsham robi dobre interesy. Zgarnia, ile może. Każdy z odwiedzających najpewniej wyda jakieś pieniądze, chociażby tylko na orzeźwiające napoje i pocztówki. Spora część da się namówić na kubek rzekomo domowego ostrego *chutney*, na suszone kwiatki oprawione w ramki lub na poduszkę zszywaną z kolorowych kawałków. Nabywanie to jeden z celów wycieczki; ostatecznie nabywanie nowych widoków zostaje podparte czymś bardziej dotykającym. A Worsham liczy już całe stulecia doświadczeń handlowych, było i jest ośrodkiem handlu, odkąd istnieje, chociaż do tradycji należało raczej handlowanie podstawowymi artykułami niż suszonymi kwiatami. Ale mniejsza o to, przynajmniej wykazało ekonomiczną łatwość przystosowania się, a zarazem godną naśladowania zdolność do zarabiania na tym, co posiada. Wapienne budynki, ciągnące się wzdłuż High Street, są starannie utrzymane, nie ma w nich żadnych rażących elementów współczesnych. Worsham wie doskonale, co ma na sprzedaż.

- Straszne miejsce - mówi Teresa, sadowiąc Luke'a w należącej do wyposażenia herbaciarni eleganckim wysokim krzeselku z sosnowego drewna. - Wolalabym już mieszkać w Brixton.

- Cii - szepce Paulina. - Doczekasz się, że nas stąd wyrzucą. Czy zaszalejemy i weźmiemy grzanek z anchois, a potem domowe ciasto z Dundee? A wiesz, że właściwie to ty całkowicie harmonizujesz z tym otoczeniem.

Teresa ma na sobie sięgającą do pół łydki ciemnoczerwoną suknię z rękawami i krótkim bolerkiem. Sama uszyła ją z pary zasłon, kupionych w sklepie Age Concern. Ten strój w połączeniu z długimi włosami związanymi na karku nadaje jej nieuchwytnie wiktoriański wygląd. Stanowi uderzający kontrast z większością innych młodych kobiet wokoło, ubranych w spodnie, podkoszulki, bawełniane spódnice i „topy”. Carol włożyła beżowe płócienne szorty z zaprasowanym kantem, odpowiednią do nich kamizelkę, a pod nią białą koszulę. Teresa zawsze jest ubrana niemodnie, woli strój, który sama wykombinowała albo na który natrafiła przypadkiem, często bowiem odwiedza jarmarczne kramy i bywa na wyprzedażach. Nie jest to bynajmniej zapobiegliwość, lecz raczej odrzucenie standardowego ubierania się: Teresa woli wyszukać coś i wybrać, by uzyskać specjalny *sui generis* efekt. Żywi także upodobanie do ezoterycznych faktur i wzorów. Czerwone zasłony były z surowego jedwabiu w drobne gruzełki, które od razu ją zafrapowały.

Uwaga Pauliny wprowadziła ją w zakłopotanie. Patrzy na swoje odbicie w oknie herbaciarni, a potem poza nie, na ulicę: dziewczyna à la Kate Greenway unosi się ponad fasadą sklepów Beatrix Potter. Teresa przybiera urażoną minę.

Paulina czuje skruchę.

- Tylko jeśli chodzi o powierzchowność. Nie powinnam była tego mówić, teraz gotowa jesteś przestać nosić suknię, którą akurat bardzo lubię.

Podają im herbatę. Luke odkrywa smak tostu z anchois. Milknie, pochłonięty nowym doznaniem. Kobiety mogą sobie pozwolić na niczym nie przerywaną rozmowę. Paulina jest ciekawa, czy Teresa jednak nie zechciałaby pójść na wystawę miejscowej sztuki.

- W żadnym wypadku! - oburza się Teresa. Paulina zwraca uwagę na fakt, że idzie wszystko, co się uda pokazać.

- Ludzie z pewnością kupią wszystko, co tam jest. Dlaczego mieliby ograniczać się do kuchennych łapawic i ręcznie malowanych kubków? Chcą właśnie czegoś, co im wcale w tej chwili nie jest potrzebne. W swoim czasie robiłaś bardzo sympatyczne rupiecie. Co się stało z tymi twoimi ptaszkami z *papier maché*, którymi ozdabiałaś okna wystawowe u Selfridge'a?

- Siedziałam nad nimi całymi godzinami - tłumaczy Teresa. - A przy Luke'u nie mam w ciągu dnia nawet chwili dla siebie.

Paulina przyznaje, że to prawda.

- Zresztą jesienią znowu wrócimy do Londynu.

- Tak mi tylko przemknęło przez myśl - mówi Paulina. - Mniejsza o to. Zaraziłam się tym całym kupowaniem i wydawaniem pieniędzy i zdawało mi się, że powinnyśmy się w to włączyć.

- Właściwie myślę o tym, że kiedy Luke będzie dość duży, żeby iść do żłobka, wezmę znowu jakieś zleczone prace. Mogłabym pracować chociaż na pół etatu. Chyba że będę miała drugie dziecko.

Paulina patrzy na nią uważnie.

- Chyba że... - przyznaje niezobowiązująco.

- Wolalabym mieć dwoje dzieci niż jedno, serio.

Paulina się zgadza, że dwójka to niezły pomysł. Teresa spogląda teraz ostrożnie na matkę. Jest między nimi coś niedopowiedzianego, wisi w powietrzu coś, co być może już dawniej było niewyrażone.

- Czy ty kiedyś... - zaczyna.

- Łuups! - wykrzykuje Paulina. Luke upuścił kawałek tostu z anchois. Popłakuje. Spływa na niego ulewa pocieszających słówek i dostaje w zamian coś innego. Tamta chwila minęła.

A jest już czas, żeby spotkać się z resztą towarzystwa. Paulina i Teresa wychodzą z herbaciarni. Luke zostaje ponownie wpakowany do wózka mimo protestów, ma najwyraźniej inne plany, i zaczyna się szamotać, gdy Teresa go przypina. Idą z powrotem w górę ulicy prowadzącej do umówionego miejsca, gdzie mają się spotkać przed pawilonem z wytworami z drewna. Stoją tam kilka minut, aż wreszcie Maurice, James i Carol zjawiają się szeroko uśmiechnięci, najwyraźniej bardzo zadowoleni.

- To naprawdę był straszny kicz - oświadcza Carol. - Okropnie mi się podobał. Jak domki dla lalek, chciałoby się tam wejść i zamieszkać. Na stolikach oliwne lampeczki i mały magiel z wkręconym prześcieradłem, i miniaturowa wanna. Boskie!

- I to właśnie miałeś odczuwać - mówi Maurice. - Zgadza się w zupełności, to całkowicie wystarczy. Doskonały przykład zminiaturyzowanej przeszłości dla celów turystycznej eksploatacji. W tym przypadku najzupełniej dosłowny.

Carol chichocze.

- Mnie to naprawdę wyeksploatowało. Była tam partia krykieta - opowiada Teresie i Paulinie - miniaturowe leżaki dla widzów i małe figurki w białych flanelowych spodniach.

- Nie zapominaj o kijach do krykieta wielkości czterech cali - przypomina James. - I o piłce. I o prawdziwej trawie.

- Gdzie jest Luke? - pyta naraz szorstko Paulina. Wózek jest pusty.

Rozmawiając, stali całą grupą. Teresa odwrócona do wózka tyłem, przytrzymywała go jedną ręką. Obok nich przechodziła właśnie, rozpychając się, grupa dzieci z francuskiej szkoły. Chodnikiem ze wszystkich stron płynie tłum.

Teresa cierpnie. Potem zaczyna się szaleńczo przedzierać. Paulina idzie za nią. Słyszy, że Maurice woła:

- Pójdziemy szukać w drugą stronę!

Paulina znów spogląda na pusty wózek. Widzi, że odpięte paski wiszą luźno, i przypomina sobie poprzednią szarpaninę, podczas której zapewne Teresa nie sprawdziła, czy zapięcie zaskoczyło z powrotem. Pasek musiał być nie dość dobrze zapięty, na skutek czego Luke mógł wydostać się z wózka.

Mija dobra minuta, nim wreszcie dostrzegają chłopca. Długa, pełna minuta. Luke stoi między dwoma zaparkowanymi samochodami, trzymając się mocno zderzaka. W momencie, kiedy go spostrzegli, puszcza zderzak, przewraca się na kolana, podnosi i chwiejnie wychodzi wprost na szosę, którą płynie nieprzerwany strumień samochodów.

Jest o jakieś piętnaście jardów od nich. To nie Paulina i nie Teresa go chwytają, ale jakiś mężczyzna, który wystrzela nagle z chodnika, nieznajomy w średnim wieku. Chwyta Luke'a za ramię w chwili, kiedy wymija go pędzący tuż obok samochód. Kiedy tam dobiegają, Luke płacze, a mężczyzna podnosi go i niezgrabnie trzyma na ręku. Pierwsze jego słowa to „przepraszam”, pewnie z powodu wrzasku Luke'a.

Teresa bierze od niego chłopca. Cała się trzęsie, tak że nie może wykrztusić słowa. Paulina za nią mówi wszystko, co trzeba powiedzieć nieznajomemu. Ten odżegnuje się, wzdraga, nie chce, żeby z tego zrobić wielką sprawę.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - powiada. A potem się ulatnia.

Wracają spieszenie tam, skąd przyszły. Paulina widzi plecy Maurice'a. Woła go. On się odwraca. Idzie ku nim. James i Carol także skądś nadchodzą.

- Och, świetnie, że go znalazłaś! - woła Carol.

Maurice jest wstrząśnięty. A raczej to nim wstrząsnęło, wyraźnie wstrząsnęło. Ale teraz, kiedy widzi, że wszystko jest w porządku, natychmiast wraca do siebie.

- Jak to się stało? - pyta Teresę. - Nie mów mi tylko, że nauczył się odpinać paski.

Teresa nie odpowiada. Stoi, trzymając Luke'a, i nagle wszyscy widzą, że płacze. Jej oczy lśnią, usta krzywią się od płaczu.

Maurice gładzi ją po ramieniu.

- No, no... - pociesza. - Już jest w porządku, nic się nie stało.

Po twarzy Teresy płyną łzy.

James i Carol stoją i patrzą na Teresę. Są zażenowani, a przynajmniej James jest zażenowany. Odwraca wzrok. Odgarnia włosy z czoła, bawi się kluczykami od samochodu i udaje, że nie widzi, jak Teresa płacze. Carol po prostu się przygląda. Nie tyle jest zakłopotana, ile zdziwiona. Zastanawia się, o co Teresie chodzi, dlaczego tyle zamieszania. Jest całkowicie pozbawiona uczucia empatii. Carol nie ma pojęcia, co Teresa czuje, ani też, co Teresa przeżyła przez ostatnie cztery minuty. Widzi osobę, która bezsensownie płacze nad czymś, co się nie stało.

- Sądzę, że chyba wszyscy mamy już dość Worsham - mówi Paulina z ożywieniem. - Proponuję, żebyśmy wracali.

Nikt nie protestuje. Kierują się w stronę parkingu. Teresa pcha wózek Luke'a, nic się nie odzywając, wreszcie zaczyna krótko odpowiadać Jamesowi, który usiłuje przerwać milczenie pogawędką. Paulina idzie obok, zachęcając Jamesa do rozmowy i obserwując Teresę, która z wolna - jak widać - wypływa na powierzchnię, wynurza się z ujrzanego w przelocie piekła przerażenia. Maurice i Carol wyprzedzają ich o kilka kroków. Urywki ich rozmowy dolatują do Pauliny, uspokajające, nienaganne.

U wejścia na parking następuje przegrupowanie. Carol siada z boku na murku, żeby poprawić sandał. James nadal opowiada Paulinie i Teresie jakąś anegdotę, zaimprovizowaną najpewniej przez uprzejmość, by je rozerwać i zabawić. Teresa słucha, teraz już z półuśmiechem, ale patrzy wciąż na Luke'a.

Maurice stoi w pobliżu, najwidoczniej czekając. Paulina odwraca wzrok od Jamesa i widzi, że spojrzenie Maurice'a spoczywa na Carol, która wciąż jest zaabsorbowana sandałkiem. W jego spojrzeniu jest pewna koncentracja, intensywność, jaką już poprzednio widywała. W oczach Maurice'a nad kieliszkiem czerwonego wina. W czyichś innych oczach, kiedy indziej. Paulina zarazem widzi to spojrzenie i odczuwa je jak przejmujący lodem cień.

- Maurice - mówi - teraz ty zabierasz Teresę. Ja pojedę z Jamesem i Carol. - Mówi to głośno, tak żeby wszyscy ją słyszeli.

- Dobrze - zgadza się Maurice, wyrwany z odrętwienia jej tonem. Próbuje się uśmiechnąć do niej, do Teresy.

Carol wstaje.

- Właściwie myślałam... - zaczyna. - Och, okay, niech będzie.

I tak wracają do World's End, razem i oddzielnie. Paulina stwierdza naraz, że jest całkowicie wyczerpana, rozbita tak jak Teresa na skutek tego, co się nie stało. Siedzi za kierownicą i prawie nie słyszy, co mówią tamci, widzi tylko Luke'a wytaczającego się na rwącą jezdnię i twarz owego przypadkowego przechodnia, który zapewnia: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”. James i Carol rozmawiają, ponie-

waż byłoby niegrzecznie milczeć podczas jazdy samochodem ze znajomymi, więc Paulina włącza się od czasu do czasu, niekiedy bez związku. Carol opowiada o mieszkaniu, o tym, że zamierzają z Jamesem wspólnie je kupić. Ich związek trwa ponoć dopiero od roku, ale zmierza w kierunku poważniejszego zaangażowania. Mówi o swojej pracy. Pracuje także w wydawnictwie, w jakimś podrzędnym charakterze i bez wielkiego zapędu, jak to wykrywa Paulina. Rozpoznaje Carol. Nie tę Carol jako osobę, lecz jako gatunek. Musi obracać się w kręgu literatów, to jedna z tych kobiet, które jak pijawki przysysają się do pisarzy, przechodząc z rąk do rąk między poetami, i dla których publikacja i pewien stopień sławy jest równoznaczny z seksualnym magnetyzmem. Paulina pracowała z wieloma takimi kobietami jak Carol. Często zmieniają pracę, gdyż brak im umiejętności i ambicji, są w tym środowisku tylko dla podrywania. Nie chcą iść do łóżka z książką, ale z kimś, kto ją napisał.

- Co pani teraz redaguje, Paulino? - pyta Carol.

Jej stosunek do Pauliny zaczyna się zmieniać. Od zdawkowej, niedbalej grzeczności (w średnim wieku, czyjaś matka) przechodzi do lekkiej niechęci, złagodzonej pewną ostrożnością. Zaczyna pojmować, że Paulina może być siłą, z którą trzeba się liczyć.

Paulina pokrótce omawia maszynopis, jaki ma w tej chwili na biurku; w gruncie rzeczy stanowi on pewne kuriozum: powieść osadzona w średniowieczu z elementami fantazji, dziwne połączenie mitu i realizmu.

- Czy to dobre? - pyta Carol z zawodowym ożywieniem.

- Nie wiem - odpowiada Paulina. I to prawda.

- A pani się podoba? - pyta James. Paulina zastanawia się przez chwilę.

- Podoba mi się pomysł. Czasami mam wątpliwości co do języka. Autor jest bardzo młody.

Carol straciła już zainteresowanie. Przechodzi teraz na inny tor. Zaczyna się troszczyć o Teresę. Bogu dzięki, dziecku nic się nie stało. Nie miałam pojęcia, że dzieci mogą się tak szybko ruszać, wyznaje. Był już przecież prawie w połowie jezdni, prawda? Mówi o Luke'u z pełną ciekawości obojętnością, jak gdyby był rodzajem nieznanego zwierzęcia.

- Moja siostra ma też jedno - opowiada - trochę starsze, tak mi się przynajmniej zdaje, ono jest takie samo. Chcę powiedzieć, że trzeba na nie uważać przez cały czas. Ja bym tego nie wytrzymała - zapewnia - po prostu nie mogłabym.

- Potrzeba jest matką wynalazków - odpowiada Paulina - pewnie tak jest.

- Co? Ach tak! No cóż, być może. Tak czy tak, ja po prostu wiem, że byłabym beznadziejna. Właściwie - Carol robi się naraz skłonna do zwierzeń, konfidencjonalnie przypoehlebna - byłam raz w ciąży, kilka lat temu, James wie o tym, to było, jeszcze zanim się poznaliśmy, kiedy byłam z kimś innym. W końcu nic z tego nie wyszło. Ja... no, poroniłam.

- A to pech - zauważa Paulina.

- Hm... kiedy tak naprawdę to mi ulżyło, chociaż, oczywiście, jest to zawsze pewien uraz. Ale ja zwyczajnie nie byłam na to gotowa. Nie wtedy. Może kiedyś. W każdym razie tak to było.

„Tak to było - myśli Paulina. - Łatwo przyszło, łatwo poszło. Godna podziwu elastyczność. Bardzo zdrowa. Zastanawiać się nad tymi sprawami to duży błąd”.

Duży błąd.

Idzie wzdłuż zasypanej liśćmi ulicy w północnej części Londynu i ma mdłości. Dokoła wybucha wiosna, nie powstrzymana, nienasycona; drozdy krzyczą w ogrodach, drzewa kipią kwiatami. Paulina idzie, szukając adresu, który ma w torebce, wypisany na kartce. Sprawdza co jakiś czas, czy jest tam także koperta, koperta wypchana pięćofuntowymi banknotami. Uczyniła bowiem coś, czego lepiej było nie robić, i teraz musi za to zapłacić. Cena wynosi sto funtów. Na początek, jako pierwsza rata.

Potem trzeba będzie jeszcze płacić wielokrotnie. W nieregularnych odstępach. Będzie zrywanie się w ciemności przed świtem, widmo dziecka stojące w milczeniu przy łóżku, wiecznie obecne i wiecznie w przerażający sposób nieobecne. Nie-dziecko, które rośnie nie tak, jak rosą zwykle dzieci, ale jako wieczna nieobecność. Które przez całe lata przesłaniało Teresę, nie znane Teresie, ale zawsze znane Paulinie. Tamto dziecko, starsze dziecko, które Paulina stale widzi jak w lustrze w innych oglądanych dzieciach. Które teraz byłoby podobne do tego albo do tamtego.

I które na chwilę wypływa dzisiaj na powierzchnię jak nie to widmowe odbicie w postaci Luke'a. Luke'a, który nigdy nie może zaistnieć. Paulina wzdryga się. Znow ten znajomy chłód, niezmienny od lat, osobisty, nie do przekazania, intensywny. A potem chwila mija, widmo odchodzi. Paulina opanowuje się i odpowiada na pytanie Jamesa:

- Tak, proszę jechać tędy, a potem następną w prawo.

Rozdział siódmy

- Chris Rogers?

- Tak, to ja.

- Paulina Carter. Redaktorka pańskiego tekstu.

- Ach tak. Czy może pani chwilę poczekać?

W tle słycać hałasujące dzieci, tupot stóp, radio. Część tych odgłosów zostaje uciszona i Chris Rogers wraca do telefonu. Paulina nic o nim nie wie oprócz tego, że to jego pierwsza książka i że mieszka w środkowej Walii. Wyjaśnia mu, że jest w połowie pracy nad maszynopisem i że w tym stadium dobrze byłoby wyjaśnić pewne kwestie. Pyta go, czy ma faks.

- Nie mam - odpowiada Chris Rogers. Z pogardliwego tonu, w jakim odrzuca samo przypuszczenie, można by wnosić, że pyta go, czy ma karabin Kałasznikowa.

- Nie szkodzi. Wyślę panu poleconym.

- Tak, wtedy może dojdzie.

- Mieszka pan w ładnych stronach - mówi Paulina zachęcająco.

- To miały być tanie strony - odrzuca Chris Rogers. Wyjaśnia, że wraz z żoną wynajmują domek, którego nikt inny nie chce, pół mili pod górę podłą drogą w pustej dolinie. - Ale jak obliczyłem, życie na wsi wcale nie jest tańsze - dodaje.

To chyba ma być powód do dumy.

- Ale za to jest malownicze - podsuwa Paulina.

- Malowniczość można sobie darować - odparowuje Chris. - Już wolałbym być w samym śródmieściu Manchesteru. Ale minie dużo czasu, zanim tego dopnę. Teraz moje aspiracje nie sięgają dalej niż do Swansea. Nie przypuszczam, że bym się na tej książce mógł wzbogacić, prawda? Paulina wie, że to słuszne przypuszczenie. Waha się.

- No cóż, trudno przewidzieć...

- Nie ma zmartwienia. W każdym razie zapłaciłem właśnie pięćdziesiąt kawałków za opał na zimę. Ale do rzeczy. Jak pani idzie z książką? Czy w ogóle ma jakiś sens? Czy dużo tam błędów ortograficznych?

Paulina wymienia kilka zagadnień, które chce z nim poruszyć.

- To wszystko będzie w notatkach, które panu przyślę. Mam drobny problem z imionami postaci. Talusa, na przykład.

- Wszystkie sam wymyśliłem.

- Tak, oczywiście, domyśliłam się tego. Ale czasem pisze je pan przez jedno l, a czasem przez dwa.

- A jak pani woli? - pyta Chris.

Hałas w tle wzrósł ponownie do nieustannego wrzasku.

- Przepraszam na chwilę, muszę tylko zamordować jedno z dzieci - oznajmia Chris.

- Proszę sobie nie przeszkadzać. Wyślę to panu jeszcze dzisiaj, a potem, za jakiś tydzień, porozmawiamy.

Kończy rozmowę. Domek w Powys znika, wygaszony przez odłożenie słuchawki. Paulina wkłada notatki w dużą kopertę. Listonosz już był, więc będzie musiała zabrać ją z sobą do wsi, żeby zdążyć nadać z drugą pocztą. Miękkim piórem i dużymi literami wypisuje na kopercie nazwę POWYS, a potem wygląda przez okno na swój własny odcinek krajobrazu, uderzona zmienną naturą przestrzeni. Tamten wiejski, rojący się dom i nieznany młody mężczyzna są jednocześnie tutaj, na wyciągnięcie ramienia, i oddaleni o sto mil. Kiedy z nim rozmawiała, na odgłosy bawiących się dzieci Chrisa nakładało się dudnienie traktora na szosie u wylotu World's End. A kiedy go słuchała, na pamięć nasunął jej się obraz Teresy jako małej dziewczynki przykucniętej na zaśmieconej zabawkami podłodze i patrzącej w górę na Harry'ego, który stoi przy oknie z głową przytkniętą do czarnej słuchawki telefonu. Czas i przestrzeń stopiły się na moment w jedno.

Traktor zatrzymał się teraz dalej na drodze, traktorzysta rozmawia z Chaundy, który patroluje posiadłości swoim pogruchotanym peugeotem. Ten traktor to okręt admirałski floty Chaundy'ego, lśniący, szkarłatny potwór, w którym kierowca siedzi wysoko w kabinie z przyciemnionego szkła, całkowicie odizolowany od otoczenia. Może krążyć po polach w stanie absolutnego oderwania, jak astronauta w swojej kapsule. Mówią, że niektóre z tych pojazdów są wyposażone w telewizory, chociaż Paulina nigdy nie miała okazji tego sprawdzić. Obserwuje, jak Chaundy kończy wydawanie instrukcji i wsiada do peugeota. Traktorzysta wspina się do swojej kapsuły i odjeżdża z łoskotem w kierunku głównej szosy. Chaundy przejeżdża wolno obok World's End, zapewne w kierunku hodowli kurcząt poza szczytem wzgórza. Nikt pracujący w tej okolicy nie wędruje pieszo. Jedynymi przechodniami, którzy mijają World's End, są pochodzący skądinąd włóczędzy, z którymi Chaundy toczy wojnę, dyskutując o swoim prawie do drogi i wznosząc zapory z drutu kolczastego.

Paulina wsiada do samochodu, żeby jechać do oddalonego o jakąś milę miasteczka. Czasami chodzi tam pieszo, ale nie jest to zbyt wygodne, raz - że zajmuje zbyt wiele czasu, a dwa - że jedyna trasa prowadzi wzdłuż głównej szosy niezbyt przyjemną ścieżką dla pieszych. Tak więc jeździ tam samochodem, parkuje wóz przed filią sklepów Mace'a, gdzie mieści się zarówno sklep, jak i urząd pocztowy. Miasteczko zostało pozbawione wielu udogodnień. Szkołę zamknięto kilka lat temu. Mówi się, że Mace walczy z trudnościami, nie wytrzymując konkurencji z nęcącymi domami towarowymi w Hadbury. Tylko pub przetrwał, ponieważ awansował z poprzedniego miejscowego, zwykłego pubu i stał się polecanym lokalem. Znalazł się w *Przewodniku po dobrych barach* i u Egona Ronaya. Serwuje *kuskus*, *gravadlas* i *gazpacho*. Fronton pubu ukwiecony jest kaskadami petunii, lobelii i fuksji rozrośniętymi na superfosfacie do monstrualnych rozmiarów.

Paulina spędza jakiś czas u Mace'a, prosząc o zważenie przesyłki, kupując znaczki i zaopatrując się w kilka innych rzeczy, aby zaoszczędzić sobie jazdy do Hadbury. Wychodząc z poczty, przystaje na schodku i widzi Maurice'a, który wyłania się z budki telefonicznej naprzeciwko.

Zatyka ją ze zdumienia. Nie zauważyła jego samochodu, musiał dopiero co przyjechać, kiedy była w sklepie. Ale dlaczego używa tutejszego telefonu? Jeśli nawet ich aparat był zepsuty, mógł zadzwonić od niej.

- Cześć - mówi Maurice. - Mogliśmy się wzajemnie podwieźć.

- Czy coś się stało z waszym telefonem?

- Nie, nie. Przyjechałem po znaczki i naraz sobie przypomniałem, że powinienem gdzieś zadzwonić. Chodźmy na kawę - wskazuje ręką na bar.

Siedzą na dworze. Jest piękny poranek zapowiadający porządny upał.

- Wiesz co... - mówi Maurice. - Grozi nam piękne lato, jeśli idzie o pogodę.

- Na to wygląda.

- Warte ładne kilka milionów dla Brytyjskiego Urzędu Turystyki. Korzystnie wpłynie na mylne wyobrażenia o naszym klimacie i sprawi, że na przyszły rok będziemy mieli spory napływ cudzoziemców.

- Chyba tak.

Maurice porzuca temat, widząc, że Paulina jest roztargniona i nie wyraża zainteresowania. Jest wrażliwy na nastroje innych. Chociaż nie jest to wrażliwość, która każe mu koniecznie zmienić kierunek rozmowy. Jednak teraz wybiera inną taktykę i porusza temat, który przyciąga uwagę Pauliny.

- Gdzie mieszkałaś, kiedy Teresa była w wieku Luke'a?

I rzeczywiście udaje mu się osiągnąć cel, ponieważ w tajemniczy sposób pytanie ogniskuje się na tym, co i ją ostatnio trapi. Podaje więc nazwę miasta, w którym mieszkała z Harrym, kiedy wspinał się po szczeblach akademickiej drabiny. Miasta, w którym próbowała spalić książkę. Nie powie jednak o tym Maurice'owi, gdyż zbyt by go to zainteresowało.

- Dlaczego pytasz?

- Ciekaw byłem, czy to było w mieście, czy na wsi. Teresa skarżyła się dziś rano, że nigdy przedtem nie mieszkała na wsi.

- Tak było, z wyjątkiem wakacji od czasu do czasu. Ja też nie mieszkałam. Zresztą tak naprawdę to żadne z nas tutaj też nie mieszka. Przesiadujemy tu jak na grzędzie.

- Zgadza się.

Ale najwyraźniej nie ma to być dyskusja o *rus* kontra *urbe*. Maurice musi teraz znaleźć coś innego.

- Czy uważasz, że macierzyństwo cię zmieniło?

Paulina patrzy na niego bystro. Wygląda na to, że Maurice rzeczywiście chce to wiedzieć.

- Dlaczego mam ci to powiedzieć?

- Teresa się zmieniła.

- W jaki sposób?

- Jest bardziej... dokładna - wyjaśnia Maurice. - Bardziej skoncentrowana. Nie... nie rozprasza się tak.

- Mówisz o niej tak, jakby była chemicznym doświadczeniem.

Maurice uśmiecha się krzywo.

- Ale rozumiesz, co mam na myśli, jestem o tym przekonany. To interesujący proces - obserwować, jak ktoś dobrze ci znany stopniowo się zmienia. Czy naprawdę nie pamiętasz, jak to było z tobą? W zasięgu katedralnych dzwonów? Czy nie mieszkałaś w zasięgu katedralnych dzwonów?

- Nie - odpowiada Paulina. Nie jest jasne, na które pytanie odpowiada. Albo też czy w ogóle odpowiada na jakieś pytanie, czy po prostu ucina kierunek, w jakim Maurice prowadzi rozmowę.

Maurice pojmuje, że trafił na kamienisty grunt. Rzuci Paulinie spojrzenie - pogodne, lise spojrzenie, które jej sygnalizuje, że się zorientował, iż nie ma sensu ciągnąć dalej tej rozmowy, że przyznaje, iż ona ma wszelkie prawa zamknąć się w skorupie, jeśli tak chce, ale że on zauważył jej opór i jest nim zaintrygowany. Paulina jednocześnie jest zirytowana i czuje się w niejasny sposób wymanewrowana. Maurice opowiada teraz, że w ubiegłym tygodniu zwiedził nową turystyczną atrakcję: odtworzoną miejscowość przemysłową w Black Country. Robi trafne uwagi i opowiada zabawnie. Paulina jest rozbawiona wbrew sobie. Maurice zadaje sobie wiele trudu, żeby sprawić jej przyjemność, a ją to cieszy, także wbrew niej samej. Kończą picie kawy, siedząc w słońcu przed pubem, obok starej drewnianej taczki pełnej doniczkowych roślin i koła od wozu, z którego kaskadą spada lobelia i afrykańskie nagietki.

- No, dobrze - mówi Maurice. - Lepiej pójdę kupić te znaczki, zanim zapomnę, po co przyjechałem.

Rozchodzą się. Paulina wsiada do samochodu. Widzi, jak Maurice wchodzi do składu Mace'a. Spogląda znowu na wiejską budkę telefoniczną. A potem jedzie z powrotem do World's End.

Paulina nieczęsto myśli o tamtym mieście. W rzadkich chwilach wspomnień widzi je jako dwa oddzielne miejsca. Są tam spokojne uliczki, na których kobiety takie jak ona pchają dziecinne wózki. Jest tam majestatyczna obecność katedry, przywodząca na myśl nieczułą ciągłość. Jest tam uniwersytet Harry'ego; miasteczko uniwersyteckie na przedmieściu, zaprojektowane przez modnego architekta - stylowa cegła i beton - wypełnione jasnymi szwedzkimi meblami, ażurowymi zasłonami i ciemno ubranymi, chodzącymi rozkołysanym krokiem studentami, którzy sprawiają, że dwudziestosiedmioletnia Paulina czuje się, jakby była po czterdziestce. Jest tam dom, wiktoriański domek z małym ogródkiem na zapleczu i cichymi pokojami, w których zajmuje się Teresą i czeka na powrót Harry'ego.

Miejscowość bez zarzutu. A nawet niewinna. Kiedyś, kilka lat temu, znalazła się w pobliżu i zбочyła z drogi, żeby przejechać przez miasto. Wszystko było na swoim miejscu: sklepy wzdłuż ulic, wielki, zadufany gmach katedry. Ale było tam także inne miejsce, które stale ma w pamięci, miejsce, które dawno temu opuściła, ale które zawsze tam tkwi. Miejsce, w którym przykłada zapałkę do zmiętego arkusza maszynopisu i w którym Harry stoi w oknie, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu i odwraca się do niej, gdy wchodzi do pokoju.

Obraca się ku niej i jednocześnie odkłada słuchawkę.

- Kto to był? - pyta Paulina.

- Pomyłka.

- Przecież rozmawiałeś.

- Naturalnie - odpowiada Harry - mówiłem, że to nie ten numer, prawda?

Patrzą na siebie. A raczej Paulina przygląda się mężowi. Harry po prostu patrzy, uprzejmy, nieco zmieszany.

- O co ci chodzi, kochanie? - pyta.

- O nic - odpowiada wreszcie Paulina. Schyla się i podnosi Teresę. Idzie do kuchni, żeby dać jej drugie śniadanie. Ma mdłości, ale nie przypuszcza, żeby była w ciąży.

Harry niezbyt często bywa w szeregowym domku. Kręci się to tu, to tam, przebywa wszędzie, ale najmniej w domu. Jest na uniwersytecie, wciągnięty w wir rozkładu zajęć, seminariów, wykładów i zebrań. Wyjeżdża do Londynu na jakąś dyskusję w BBC albo wyrusza na dzień do British Museum czy do archiwum (musi bowiem śledzić ukazujące się książki i artykuły, żeby na bieżąco orientować się w swoim zawodzie). Bywa na konferencjach. Kiedy wraca do domu, często przywozi kogoś ze sobą, kolegów, którzy w rozmowie są błyskotliwi i zmienni, lub grupę studentów, którzy siadają na podłodze po turecku i dla których Paulina musi przyrządzać całe kadzie spaghetti. Czasem palą trawkę, czemu Harry się nie sprzeciwia. W gruncie rzeczy chętnie by się do nich przyłączył. Studenci za nim przepadają. Uważają, że jest inteligentny, skandaliczny i prowokujący. Większość z nich chciałaby wyrosnąć na takiego Harry'ego. To istotny znak czasu. Dziesięć lat temu studenci nie chcieli wyrastać na profesorów akademickich. Chcieli być dziennikarzami albo radiowcami w BBC, albo agentami reklamowymi (i tymi najczęściej większość z nich została).

Paulina żyje na marginesie tego wszystkiego. Czasami, jeśli znajdzie opiekunkę do dziecka, idzie z Harrym na przyjęcie, gdzie wykładowcy demokratycznie mieszają się ze studentami i gdzie ona znajduje się w głupim położeniu, nie dość młoda i nie dość stara. Większość żon kolegów Harry'ego jest w tej samej sytuacji, często więc przystaje do ich grupy i rozmawia o dzieciach. Wszystkie czytają Bowlby'ego o pielęgnowaniu dzieci i wierzą, że ich pociechom stanie się niepowetowana krzywda, jeśli zostawią je choćby na pięć minut. Czytają także Spocka, który im wyjaśnia, że dzieci mają zawsze rację, tak że teraz są zarazem niespokojne i nieufne. Są młode, a młodość teraz właśnie jest górą, ale żadna z nich nie czuje się specjalnie młoda. Zupełnie inaczej niż ich mężowie i studenci: oni wszyscy wydają się porwani nieustannymi uroczystościami, beztroscy i wyzwoleni, prawdziwi panowie stworzenia. Kiedy Paulina wychodzi z domu do miasta z Teresą w wózku, widzi, że ona i podobne do niej kobiety znajdują się na marginesie życia tak jak emeryci, którzy także telepią się pomiędzy rzeźnikiem a sklepem warzywnym.

Nie jest jeszcze niezadowolona, chociaż przyjdzie dzień, kiedy będzie. Klimat tamtych czasów nie ujawnił jej jeszcze, że powinna być niezadowolona; w każdym razie jest szczęśliwa. Ma męża, którego kocha z wzajemnością, i upragnione dziecko. Czasami jej się nudzi. Chciałaby robić coś, co obecnie jest niemożliwe: czytać książkę, nie będąc zmuszoną przerywać czytania, iść do kina, podróżować, robić coś, na co jej akurat przyjdzie ochota. Ale to nie ma nic wspólnego z prawdziwym niezadowoleniem. Jest przecież Teresa, przez cały dzień i każdego dnia. Jest także Harry - czasami.

Pewnego razu jakaś studentka powiedziała do Pauliny (co jej zdaniem było impertynencją): - „Boże, jaka pani szczęśliwa, że jest pani żoną Harry'ego”.

Pauliny nie obchodziło ukryte znaczenie tych słów: że z całego szeregu osiągalnych kobiet Harry z jakichś niewytłumaczonych powodów wybrał właśnie ją, Paulinę. Tak się składało, że Paulinie nie brakowało wielbicieli. Zanim poznała Harry'ego, łączył ją ścisły związek z pewnym amerykańskim studentem, prowadzącym prace badawcze; konsekwencje tego miały pozostawić niezatarty ślad. Otaczali ją także inni. Kiedy po raz pierwszy spotkała Harry'ego, była zajęta ich wspólnym znajomym, który ich sobie przedstawił. Uważała, że Harry jest zuchwały. A potem zrobił na niej zupełnie odmienne wrażenie. Zuchwałość stała się oryginalna i dodająca siły. Wspólny znajomy okazał się przy nim całkowicie bezbarwny. Harry oznajmił, że ma zamiar spędzić lato w Ameryce na wędrownie w poprzek całych Stanów.

- Jedź ze mną! - powiedział. Czy też rozkazał. Pojechała.

Tak, to miasto z katedrą zostało dla niej na zawsze zamknięte w określonym czasie, tak że teraz Paulina jest wstrząśnięta, iż znajoma High Street rozgałęziła teraz się na Waterstone i Ryman. Było coś nieuchwytnie zdradliwego w tej mutacji, jak gdyby wszystko powinno zostać nie zmienione, żeby mogła to powierzyć przeszłości, jak powierzyła jej lata z Harrym. Gdyż teraz Paulina postrzega lata z Harrym jako czas traumatycznej choroby, okres utrapienia, długą, nie wykorzystaną erę, podczas której cierpiała na niepojętą dziś dolegliwość: miłość do Harry'ego. Miłość? „Nie - myśli, zestawiając ją z tym, co czuje dla Teresy, dla Luke'a. - To nie miłość. Straszliwa, wyzerająca potrzeba. Nierozumna obsesja. Zniewolenie”.

Po powrocie do World's End Paulina spotyka Teresę i Luke'a na drodze w pobliżu domu. Jest tam wielka błotnista kałuża, którą Luke wielce sobie upodobał; wrzuca do niej zbierane patyczki. Teresa pilnuje go i jednocześnie spogląda na drogę. Podchodzi teraz do samochodu i mówi przez okno:

- Maurice wyjechał całe wieki temu. Pojechał tylko do wsi po znaczki.

- Spotkaliśmy się i wypiliśmy razem kawę. Pewnie już wraca.

Na twarzy Teresy widać ulgę. Wyobrażała sobie jakąś katastrofę. Paulina wie o tym, bo sama przez to nieraz przechodziła, och, nie raz, lecz wiele, wiele razy. Teresa natychmiast znowu rozkwita. Na świecie znów jest wszystko w porządku, zwraca spokojną twarz ku Paulinie i zaczyna mówić o czymś innym. Opowiada jej, że traktorzysta Chaundy'ego podniósł Luke'a i wsadził do swojej kabiny, co było oczywiście emocjonującym przeżyciem. Rozmawiają o rosnących wzdłuż drogi polnych kwiatach, których nazwy żadna z nich nie zna.

- Wyka - twierdzi Paulina. - Wszystko to wyka.

- Lnica pospolita - wnioskuje Teresa.

A Paulina, patrząc na nią, przypomina sobie uwagę Maurice'a i widzi, że istotnie zaszła w niej zmiana. Paulina przywykła do tej zmiany, dlatego też zaledwie ją zauważa. W Teresie jest jakaś nowa głębia, coś wyciszonego i uporządkowanego. Sprawia teraz wrażenie nie tyle starszej, ile dojrzałszej. Rozwinęła się jak owoc. Paulina jest zaskoczona tą kolejną metamorfozą, której niemal nie dostrzegła.

Stoją w słońcu w pobliżu World's End, rozmawiając, jak zapewne stały przedtem inne kobiety, pozwalające sobie na chwilę wytchnienia od wymagań zwykłego dnia. A obok nich, w swojej własnej, odseparowanej kapsule czasu tkwi Luke, zamknięty w jednościi z błotnistą kałużą, ucząc się, co znaczy wilgoć, co miękkość, a co twardość, co to jest zdolność do unoszenia się na powierzchni i siła ciężenia, i refleks, i porowatość. A teraz także, co to ból, kiedy przewraca się i rozbija kolano o sterczący ostry kamień. Wyje. Wystraszone ptaki wylatują z żywopłotu. Teresa pociesza chłopca. Podnosi go.

- Popatrz - mówi. - Zobacz, kto przyjechał.

I oto samochód Maurice'a znowu przebłyskuje wśród zielonej powierzchni pszenicy. Luke przestaje płakać i zdobywa się na łzawy uśmiech. Teresa promienieje.

TTLR

Rozdział ósmy

Jest piętnasty czerwca. Środek roku, środek tygodnia, środek przedpołudnia. World's End tkwi w środku bujnego krajobrazu. Na skraju drogi soczyste barwy czerwonych firletek, niebieskich chabrów, pienne zasy leśnej trybuły. Żywopłoty są nabite kremowymi blaszkami czarnego bzu. Ma się poczucie dopełnienia, jakby nieustanny, stopniowy wzrost mają osiągnął szczyt, a teraz trwa zawieszony w swojej bujności. Tylko pszenica wciąż jeszcze rośnie. Zielone futerka stały się głębokim morzem, które faluje na wietrze. Paulina z uznaniem patrzy na to wszystko z okna nad biurkiem. To miejsce jest inne każdego dnia, przekształcane przez pogodę i jej własny, nieubłagany program. Paulina szczególnie ceni sobie niebo, czasami podparte kolumnami rozżarzonej chmury, czasami marszczące się mlecznymi cirrusami, a niekiedy tworzące półkoliste łuk o barwie pierwiosnka, podświetlony zachodzącym słońcem. Zmiany pogody to spektakl, który Paulina ogląda z zaciekawieniem, kiedy przewraca kolejną stronę maszynopisu, otwiera książkę lub sięga po telefon.

Przychodzi jej na myśl, że jest chyba pierwszą mieszkającą tutaj osobą, dla której pogoda jest rodzajem estetycznej rozrywki. Ci, którzy byli tu przed nią, od pogody uzależniali plan dnia; to ona decydowała, czy będą mokli, marzli, piekli się w słońcu, czy kostnieli z zimna. Być może istnieli i tacy, którym pomimo to udawało się zauważyć oświetlenie chmury czy lśniąca zmarszczkę wiatru na pszenicy, ale dla większości z nich pogoda była zapewne ponurym i kapryśnym dyktatorem. Za Paulinę deszcz czy słońce decydowały jedynie, czy wstanie od biurka i skusi się na przechadzkę wzdłuż drogi i dalej ścieżką do konnych przejażdżek, biegnącą górskim grzbietem, czy też tylko po lunchu usiądzie na chwilę w ogrodzie i spędzi cały dzień przy pracy.

W ciągu ostatnich tygodni pogoda stale ją zaskakuje - jej zmienność i wspaniałość efektownego działania. W miastach pogoda jest czymś ubocznym. Także czas zaskakuje Paulinę. W World's End ma on dwa odgałęzienia. Istnieje tu kontrolowany i wymierzony czas błyszczących zielonych cyfr na akcesoriach i urządzeniach, czas nadanego faksu czy kartek jej dziennika. Jest też czas, który płynie za oknem, który rozwija się w kategoriach liści, kwiatów i zielonych pędów pszenicy, w kategoriach rosnącej temperatury - prymitywna i elementarna forma czasu nie ujarzmionego ani przez Greenwich ani przez kalendarz gregoriański.

I teraz nagle jest połowa czerwca, a Paulina już od sześciu tygodni nie była w Londynie. Powinna zapłacić za mieszkanie. Powinna osobiście załatwić parę spraw urzędowych. Musi iść do fryzjera, chciała by też odwiedzić znajomych. Zwłaszcza Hugh'a. Bierze za słuchawkę i umawia się w najrozmaitszych sprawach.

Kiedy później oznajmia Teresie, że w przyszłym tygodniu jedzie na kilka dni do Londynu, Teresa wyraża zadowolenie:

- O, w porządku, zatem Maurice już wróci, zanim wyjedziesz.
- Maurice wyjeżdża?

- Musi też jechać do Londynu. Potrzebuje kilku książek, chce też zrobić wywiad z kimś z Ministerstwa Turystyki.

- Dlaczego z nim nie pojedziesz? - pyta po chwili Paulina.

- Nie warto, naprawdę. I tak na pewno będzie cały czas zajęty. Równie dobrze mogę tu zostać. - Najwyraźniej Teresa nie ma nic przeciw temu. Przenosi Luke'a na drugie biodro i ciągnie dalej: - Zresztą dobrze być tutaj, jak pogoda jest taka ładna.

- No tak - zgadza się Paulina. Istotnie, z każdym dniem słońce zaczyna przypiekać coraz mocniej, niekiedy przymglone, niekiedy ostre i jaskrawe.

Świeci też następnego dnia, gdy Paulina przygląda się, jak Maurice wyjeżdża. Nie bierze z sobą nic oprócz zniszczonej gladstonowskiej torby, która służy mu jako teczka. Torba ta, nabyta zapewne w jakimś antykwariacie, jest czymś typowym dla Maurice'a. Wskazuje na pogardliwe odrzucenie standardowego konsumpcjonizmu: żadna tam elegancka teczka czy gustowna i praktyczna podręczna torba. To nie dla Maurice'a. Gladstonowska torba waży tonę i musi być strasznie niewygodna. Paulina przypomina sobie, że zobaczyła ją po raz pierwszy wkrótce po poznaniu Maurice'a, kiedy on był dla niej jeszcze dorywczą i ujmującą znajomością. O mało nie zostawił torby w winiarni, więc ją wzięła, żeby mu podać, i wykrzyknęła:

- Boże święty, co pan tam ma takiego?!

- Książkę - odparł Maurice. - No, może jeszcze jakąś gazetę. - I uśmiechnął się uśmiechem, który przyznawał niepraktyczność torby, jednocześnie po cichu się nią pyszniąc.

Teraz Maurice wkłada torbę do bagażnika. Samochód to ciemnoniebieski vauxhall astra. Paulina zna markę, gdyż ostatnio odkryła, że Maurice nie ma pojęcia, jakim jeździ samochodem, musiał o to zapytać Teresę w trakcie wypełniania jakiegoś formularza. To, że nie zajmują go sprawy budzące powszechne zainteresowanie, także jest typowe dla Maurice'a. Większość ludzi interesuje się swoimi samochodami instynktem posiadaczy, ale właśnie dlatego Maurice nie ma do nich upodobania.

Maurice całuje Teresę. Całuje Luke'a, który wpatruje się w niego z wyrazem zakłopotanego zdumienia, jak gdyby go nigdy przedtem nie widział. Prawdopodobnie Luke znajduje się na jakiejś tajemniczej i niepojętej płaszczyźnie postrzegania. Maurice włącza motor, macha dłonią i samochód rusza powoli wzdłuż traktu, aż w końcu połyka go pszenica. Teresa wciąż stoi i patrzy. Paulina widzi to z okna. Myśli o Maurice'u i dociera do niej fakt, że ten, którego zna obecnie, jest nieodwołalnie oderwany od Maurice'a, którego znała niegdyś, a który wydaje się w retrospekcji postacią bez znaczenia, po prostu kimś, na kogo się natknęła i kto wydał jej się sympatyczny - ani mniej, ani więcej. Z nowym Maurice'em zbyt wiele się kojarzy: nic z tego, co mówi lub co czyni, nie może być traktowane jak kiedyś.

Zaczęła zdawać sobie sprawę z tego już na ślubie. Maurice i Teresa brali ślub w urzędzie stanu cywilnego. Obecni byli dwaj przyjaciele jako świadkowie i Paulina. Matka Maurice'a, wdowa dobrze po siedemdziesiątce, mieszkała w Carlisle i uważała, że taka podróż byłaby dla niej zbyt uciążliwa. Ich niewielka grupka wyglądała niesłychanie ubogo w poczekalni Urzędu Miasta Finsbury, gdzie inne weselne pary przychodziły i wychodziły wystrzałowo wystrojone, otoczone stadami druchen w powiewnych sukniach. Maurice był oczarowany. Siedział tam, rozprawiając o socjologicznych implikacjach takiej okazji. Zwrócił im uwagę na fakt, że najbardziej kwieciste i ekspresyjnie przedstawiają się Afrykanie z Karaibów lub Azjaci, a także, iż na weselach przedstawiciele średniej klasy orszak ślubny jest znacznie skromniejszy, a uczestnicy uroczystości gorzej ubrani, jak gdyby byli zakłopotani całą procedurą. Sam Maurice miał na sobie dokładnie to samo, co zwykł nosić na co dzień. Teresa włożyła wieczorową suknię z lat dwudziestych, kupioną na aukcji, i wyglądała jak zablakana postać ze sztuki Noëla Cowarda.

Weselne przyjęcie zgromadziło tłumy. Dziesiątki ludzi wypełniły trzy piętra obszernego domu na Onslow Square, którego użyczył jeden z wysoko postawionych przyjaciół Maurice'a. Ludzie wysypali się do ogrodu i stali tam roześmiani, nie zważając na deszcz padający z przerwami. Siedzieli na schodach, pijąc szampana. Zaskoczona Paulina z trudem torowała sobie drogę w poszukiwaniu znajomej twarzy. Odczuwała osobliwą konsternację, jakby odsłaniało się przed nią całe poprzednie, nie znane jej życie Maurice'a w obecności tych nieznajomych. Małe stadko przyjaciół Teresy trzymało się razem w kącie; wyglądali bardzo młodo. W pewnym momencie Paulina znalazła się w grupie, w której była pani domu; oparta o kominek, z wyrozumiałością przyglądała się tłumowi.

- No, no - powiedziała - czyż to nie zadziwiające?! Maurice, że też właśnie on, któż by to pomyślał!

Ktoś przedstawił jej Paulinę i kobieta skierowała na nią swoją uwagę z czymś w rodzaju lekkiego rozbawienia.

- To pani córka? Gratuluję! Jest urocza.

Później mąż tej pani, mocno wstawiony, powiedział:

- Wiadomo, Maurice to stara flama Shirley, na długo przedtem, zanim wyszła za mnie. - Zaśmiał się pobłaźliwie. Paulina spojrzała w głąb pokoju i zobaczyła Maurice'a, jakby go nigdy przedtem nie widziała: mężczyznę, którego prawie nie znała i z którym była teraz nierozwiązalnie połączona. Teresa stała obok niego i wyglądała na szczęśliwą i otumanioną. „I ja to uczyniłam - pomyślała Paulina. - Nie miałam tego zamiaru, ale uczyniłam to”.

Teresa i Luke wracają do domu. Kiedy wchodzi, Teresa spogląda w górę i widzi Paulinę. Macha ręką i gestami pyta:

- Kawy? Paulina potakuje.

Na kuchennym stole u Teresy leży list ze stemplem Kalifornii.

- Miałaś rację - mówi Teresa. - Harry chce się ze mną spotkać, jak tylko skończy załatwiać swoje sprawy. Chyba będę wtedy musiała pojechać do Londynu. Ale to dopiero w sierpniu.

Patrzy na matkę. Teresa jest samą delikatnością, gdy chodzi o Harry'ego. Delikatność jest nieco zabarwiona poczuciem winy, jak gdyby to Teresa była bezpośrednio odpowiedzialna za Harry'ego, a raczej za to, co się z nim kojarzy.

- Naturalnie, że musisz jechać - odpowiada Paulina surowo. - Stanowczo powinien zobaczyć Luke'a.

W gruncie rzeczy wiadomo, że Harry jest przeczulony i niechętnie myśli o tym, iż został dziadkiem. To etykieta, którą najwyraźniej uważa za żenującą; nie zdawał sobie sprawy, że doszedł już w życiu do takiego punktu, a przyjemność z istnienia Luke'a jest pomniejszona przez uczucie pewnej konsternacji. Toteż Paulina tym bardziej nalega na utrzymanie więzów rodzinnych.

Harry wyraził życzenie, żeby zaproszono go na ślub Teresy. Ale ona postawiła weto, za co Paulina była jej wdzięczna. Wobec tego Harry tylko raz spotkał Maurice'a na lunchu, który Teresa opisała jako niezbyt udany. Kiedy Paulina chciała się czegoś więcej dowiedzieć, odpowiadała wymijająco. Nie, to nie to, żeby się sobie nie spodobali, było raczej tak, że nie chcieli, aby tak było.

- Nie umiem tego wyjaśnić - powiedziała, ucinając całą sprawę. - Ale nie chcę, żeby się ponownie spotkali, i myślę, że Maurice także jest tego zdania.

I Paulina rozumiała. Widziała tę scenę, jakby oświetlił ją snop światła: ich troje przy stole, Teresa między dwoma mężczyznami, którzy przypatrują się sobie i widzą nieprzyjemne własne odbicie.

Harry jest o dwanaście lat starszy od Maurice'a, ale trzyma się dobrze pod każdym względem. Maurice mógł w nim widzieć niepożądane przypomnienie, że on sam, Maurice, nie zalicza się już do młodych, że przekroczył pewną granicę, że należy raczej do pokolenia Harry'ego niż do pokolenia Teresy. Może doznał jednego z przyływów paniki. Chciałby zachować dystans w stosunku do Harry'ego, odsunąć na bok niemiły, dotkliwy fakt. Paulina, chociaż jej powiązania z Teresą są tego samego rodzaju co Harry'ego, nie wywołuje u Maurice'a tych samych refleksji, ponieważ jest kobietą, a także kimś, kogo już znał poprzednio. Wiek Pauliny w jakimś sensie nie ma takiego znaczenia. Maurice zapewne mówił dużo i kwiecście, żeby stłumić swoje przerażenie.

A Harry, patrząc przez stół na Maurice'a, mógł zobaczyć własne odbicie, jakie zostawiał za sobą, tego Harry'ego, który wciąż ma mocne oparcie w młodości, który jest nadal czymś w rodzaju *enfant terrible*, utrapieniem dla rodziców, elementem wywrotowym. Mogło mu przyjść na myśl, że w krótkim czasie, na Boga!, może nawet zostać dziadkiem. Mógł także mówić dużo i kwiecście, a niewątpliwie w trakcie rozmowy z Maurice'em znalazłby wspólny język, gdyż obydwaj są inteligentni i wrażliwi. Mogliby się ze sobą zbliżyć i albo uznaliby wzajemne powinowactwo, albo się z niego wycofali.

- To dopiero za dwa miesiące - mówi Teresa pogodnie. - W sierpniu. Nie mogę jeszcze myśleć o czymś, co ma się wydarzyć w sierpniu. Mamy przed sobą całe lato.

Dwa dni później Paulina obserwuje powrót Maurice'a: uśmiechnięty wyłania się z samochodu, całuje Teresę, która wyszła, żeby go przywitać, wciąga do domku swoją gladstonowską torbę, teraz najwyraźniej jeszcze cięższą. A dwa dni potem Paulina wsiada do swojego wozu i kieruje się na drogę dojazdową.

Jazda z World's End do centrum Londynu zajmuje około dwóch godzin. Paulina przemierza tę trasę tak często, że nie uważa już tych nagłych zmian za coś dziwnego. Co prawda, jak wszyscy inni podróżnicy dwudziestego wieku, oburza się na opóźnienia - męczące objazdy z powodu robót drogowych, irytujące czółganie się w ulicznych korkach. Boczna droga z World's End prowadzi do głównej szosy, która omija Hadbury, wiedzie obwodnicą złożoną z okrężnych szos i objazdów, aby w końcu wystrzelić na pętlę prowadzącą na autostradę. Paulina jedzie nią tak długo, aż krajobraz zaczyna się zagęszczać drogami i zabudowaniami, ruch kołowy znowu powolnieje i Paulina zostaje połknięta przez miejskiego molocha. Pewnego razu, wertując książki w biurze Hugh'a, wygrzebała jakieś wydanie Ogilby'ego i zobaczyła tę samą podróż przeniesioną na wzruszający rysunek siedemnastowiecznego dziennikarza: pełna zakrętów droga biegnie przed siebie, obramowana starannymi oznaczeniami kościelnych wież, które mają służyć za punkty orientacyjne, schematycznych drzew i wzgórz dla zaznaczenia terenów leśnych lub wzniesień, rzek i mostów. Były w tym implikacje czasu i przestrzeni. W stylizowanych podobiznach wsi czy wzgórz kryły się drogi pełne wybojów, pustacie niebezpiecznych wrzosowisk, kurz, błoto i deszcz.

Dzisiaj nie pada, przeciwnie - słońce nagrzewa samochód tak, że robi się nieznośnie gorąco. Paulina reguluje dopływ powietrza i odsuwa dach. Przelatuje przez radiowe kanały, rezygnuje z nich, zakłada taśmę. Mozart wypełnia wnętrze samochodu. W takim kokonie przemyka przez wieś, okrąża Hadbury, mknie obok pól pszenicy i siana, odległych krów i owiec wyglądających jak zabawki, obok stacji benzynowych obwieszonych plastikowymi chorągiewkami i gąszczy znaków drogowych. Wkrótce wypada na autostradę, całkowicie oderwana od krajobrazu, który przepływa po obydwu stronach. Paulina jest częścią innego żywiołu, nie kończącego się pasa ruchu, w który teraz została wciśnięta, zmuszona do pertraktacji z jakimś autem czy jakąś ciężarówką: wyprzedza, zwalnia, przyśpiesza. Zielone i błękitne przestrzenie ponad i poza nie mają z nią nic wspólnego, zajmuje ją teraz tylko szosa i jej użytkownicy.

I tak niepostrzeżenie przesuwa się ze wsi do miasta, prowadzona jedynie zachowaniem innych kierowców i przejściem od koncertu na obój Mozarta do kwartetu Ravela. Tunelami wjeżdża do Londynu i wysiada z wozu przed swoim wiktoriańskim domem, którego górną połowę zajmuje jej mieszkanie. Oto miasto: ludzie inaczej tu wszystko robią, chociaż nie zawsze jest to widoczne.

Przed dziesięcioma laty, kiedy ukończono renowację World's End, Paulina wynajęła wóz meblowy z kierowcą i pracownikiem firmy, żeby przewieźć na wieś rozmaite meble, które zgromadziła. Kierowca zmylił drogę i zatrzymał się we wsi spytać o kierunek. Gdy w końcu wóz dotarł na miejsce, obaj mężczyźni pękali ze śmiechu. Siedzieli w kuchni na spakowanych skrzyniach, pijąc herbatę kubek za kubkiem i zapluwając się z uciechy, ponieważ - jak się okazało - ich londyńska gwara, *cockney*, była całkowicie niepojęta w wiejskim sklepiku. Musieli powtarzać pytanie po kilka razy, zanim ich wreszcie zrozumiano. Pau-

lina nie dowierzała ich opowieści, ale byłoby grubiaństwem psuć ich rozbawienie tym, co najwyraźniej uważali za wiejską ciasnotę poglądów. Siedzieli w niechlujnych podkoszulkach, przepelnieni zadufaniem i zadowoleniem z siebie i śmiali się dobrodusznie. Na zewnątrz, najwyraźniej nie tak daleko, traktor Ch-aundy'ego ryczał, przemierzając pole tam i z powrotem, prowadzony przez kierowcę, który wyglądem bardzo przypominał przybyszów z Londynu.

Paulina otwiera drzwi wejściowe i wchodzi na schody, przystosowując się, tak jak to zawsze czyni, przyjmując miasto, jakby zmieniała spódnice. Mieszkanie wita ją potopem jaskrawych, śliskich ulotek na słomiance, wykrzykujących o dostawach pizzy i o hinduskich potrawach na wynos. Jest gorąco. Kurz gotuje się w promieniu słońca. Paulina otwiera okna, zmiata martwe owady z kuchennego stołu, wsypuje lepy na muchy do kosza na śmieci, przenosząc się żywo z pokoju do pokoju, sprawdzając zegarek. Przystawiała się na inny tryb życia bez wysiłku i prawie nie zauważając, że to czyni. Jest na innym torze, w mocy list i zapisków w kalendarzu. World's End odrzucony, odłożony na bok, zawieszony gdzieś na końcu autostrady, poza zasięgiem wzroku i umysłu.

Bywali już poprzednio w tej restauracji, ale nie tak często, żeby można było przewidzieć, iż znów tam pójda, co byłoby nudne. Hugh lubi krążyć między różnymi ulubionymi restauracjami. Paulina patrzy na niego czule ponad stołem i myśli, że być z nim to tak, jakby nałożyć na siebie ulubiony, dobrze znany strój, w którym natychmiast czujesz się wygodnie i swobodnie. Tego uczucia w najlżejszym nawet stopniu nie zabarwia seks, ma jednak pewien tajemniczy związek z faktem, że Hugh jest mężczyzną. Paulina nie pamięta już o seksie, który z nim ją niegdyś łączył; w tym, co odczuwa, nie ma erotyzmu, jedynie łagodna intymność. Tamto doświadczenie nie miało też żadnego związku z pożyciem z Harrym i zapewne dlatego Paulina może teraz siedzieć tu z Hughem w doskonałej komitywie. Tego, co istnieje między nimi, nie za-ostrza seksualne napięcie, toteż nie może ulec korozji.

- Co myślisz o romantycznej miłości? - pyta Paulina. - Nigdy nienasyconej miłości, której nie można się oprzeć?

Hugh zajęty czytaniem menu, spogląda na nią spoza karty dań.

- Zaczekaj chwilę. - Kończy przeglądać jadłospis, zdejmuje okulary i kładzie kartę obok talerza. - Jak u Heloizy i Abelarda? Romeo i Julii? Dydony? Coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju.

- Mam nadzieję, że nie ty cierpisz z tego powodu - upewnia się Hugh. - Mówiono mi, że całkowicie pozbawia sił. Ale to chyba ciebie nie dotyczy, co?

- Redaguję powieść o takiej miłości.

- Bogu dzięki! Czułbym się zobligowany do szukania rady u jakiegoś profesjonalisty. Czy teraz nie chodzi się po prostu do jakiegoś terapeuty lub kogoś takiego?

- Nie bądź taki nonszalancki - strofuje go Paulina. - To poważna sprawa, zawsze była poważna. Czasem się zdarza. I dlatego właśnie ludzie o tym piszą, jak ten mój facet.

Hugh wzdycha.

- Na pewno masz rację. Już mi ktoś mówił, że temperatura moich uczuć jest zaniżona. Może dlatego tak lubię jeść. A właśnie - zamówimy coś? Łosoś wygląda interesująco. Albo potrawka z gołębich piersi, nigdy jeszcze na nią nie natrafiłem. Myślę, że się dam na to namówić.

Zamawiają. Hugh pogrąża się w miłym błogostanie. Nakłada znowu okulary i z uwagą przygląda się Paulinie.

- Muszę ci powiedzieć, że wyglądasz nadzwyczajnie. Nabrałaś takiego kawowego kolorytu jak po-
zółkła książka. Bardzo ci z tym do twarzy.

- Dziękuję. A więc nie akceptujesz romantycznej miłości?

- Nigdy tego nie powiedziałem. Nie podpisuję się pod żadnym religijnym wyznaniem, ale to nie znaczy, że odrzucam pojęcie religii. Jest zbyt mocno udokumentowana w przeszłości. Czy to dobra powieść?

- Nie jestem pewna. Rzecz dzieje się w średniowieczu, choć nie w jakimś określonym czasie. Jest tam Dama i Rycerz, który ją zdradza, porzuca, ona go szuka i w końcu się zabija. No i są też smoki, jedno-
rożce i wilkołaki.

- Chyba to nie mój ulubiony rodzaj powieści - mówi Hugh.

- Mój także nie, w żadnym wypadku. Ale na szczęście nie zatrudniono mnie po to, żebym wyrażała swoje zdanie. A jednak nie mogę się od książki oderwać. Jest smutna, nawet się popłakałam. A nieczęsto człowiek płacze nad maszynopisem. Zbyt pochłania go pełzanie słowo po słowie.

Hugh rozważa ten punkt widzenia. To jedna z jego sympatycznych właściwości, że jest człowiekiem serio i słucha tego, co się do niego mówi, a zwłaszcza tego, co mówi Paulina. Roztrząsa ten problem, jednocześnie zajmując się sałatką z owoców morza, którą zajada. W końcu oznajmia, że nie może komentować tego, ponieważ maszynopisy do niego nie trafiają, ale należy przyjąć, iż jeśli słowa mają pewną wagę, to będą ją miały niezależnie od środka przekazu. Nie ma powodu, dla którego maszynopis nie miałby oddziaływać tak samo jak druk. Hugh pyta, czy Paulinie smakują kraby w kokilce.

- Pyszne. Ale druk naprawdę jest bardziej przekonujący. Ma większe znaczenie. To dlatego, że wiesz, iż maszynopis można jeszcze zmienić. A moja praca polega na wprowadzaniu zmian.

- Pewnie tak. Mogę odrobinę spróbować? Mam na myśli kokilkę.

Paulina podsuwa mu swój talerzyk. Hugh nabiera sobie sporo na widelec.

- Mmm. Bardzo smaczne. Powiniennem być też to wziąć, znudziła mnie już trochę sałatka z owoców morza. Aha... jak się ma Teresa?

- Znakomicie - odpowiada Paulina.

Hugh przygląda jej się badawczo, jakby ta odpowiedź go nie zadowalała.

- Wszystko dobrze, tak?

- Jak najbardziej. Pogoda jest wspaniała. W weekendy jeździmy oglądać turystyczne atrakcje wchodzące w zakres pracy naukowej, pracy Maurice'a, oczywiście.

- O raju! - wzdycha Hugh. - Naprawdę uważam, że powinnaś wrócić do Londynu.

Paulina potrząsa przecząco głową. Nie, zostanie tam. Z różnych powodów. Zresztą wydaje się, że to lato będzie jednym z niewielu naprawdę ładnych.

- Stanowczo coś się z tobą stało - twierdzi Hugh. - Nigdy dotąd nie słyszałem, żebyś mówiła o pogodzie.

Paulina się śmieje.

- Wobec tego wznies rozmowę na wyższy poziom i powiedz mi, co teraz robisz.

Hugh był za Atlantykiem, odwiedzał klientów. Opowiada Paulinie o podróżach do Yale i do Toronto, gdzie negocjował sprzedaż rzadkich książek dla dużych bibliotek, a także do Nowego Jorku, gdzie występował jako dostawca wybranych smakołyków dla pewnego gościa, który kolekcjonuje współczesne pierwsze wydania.

- Wypełniłem największą lukę na jego półkach - chwali się Hugh. - Dostarczyłem mu *Ulissesa* w pierwszym wydaniu.

- I on czyta te książki?

- Oczywiście, że nie, przecież one nie są do czytania!

- Nigdy nie zrozumie bibliofilów - zauważa Paulina.

- Nikt ich nie rozumie. Na szczęście jest ich całkiem sporo dokoła, inaczej nie miałbym co robić. Masz do czynienia z ludźmi, którzy mają na tym punkcie bzika. Pod innymi względami całkowicie normalni. Ten facet w Nowym Jorku to makler giełdowy. Pienośko bogaty i straszliwy nudziarz. Zabiera mnie na niesamowicie dobry obiad, ale konwersacja raczej kuleje.

Paulina wyobraża sobie Hugh'a w tych podróżach, wędrującego po północnoamerykańskich miastach w wyświechtanym ubraniu, z przeciwdeszczowym płaszczem przerzuconym przez ramię, z jakimś tajemniczym skarbem w teczce. Widzi go, jak siedzi i pertraktuje w klimatyzowanych biurach, jak jada z apetytem w starannie wybranych restauracjach, jak kładzie się spać w hotelowych pokojach.

- Gdzie się zatrzymujesz? W Nowym Jorku, na przykład?

Hugh wygląda na zaskoczonego, a potem mówi z lekkim zakłopotaniem:

- Hm, jeśli o to chodzi, w Nowym Jorku zatrzymuję się u pewnej pani. Znam ją od... och, od jakichś dziesięciu lat, a może i więcej. To zadawniony układ.

Paulina wytrzeszcza oczy.

- Widzisz, rzecz polega na tym - ciągnie Hugh - że ona przyrządza zadziwiająco dobre śniadania. To Włoszka, która ma delikatesy na Upper West Side, a także prowadzi mały, całkiem niezobowiązujący hotelik ze śniadaniem dla kilku stałych klientów. Jej naleśniki to po prostu marzenie.

- Uwielbiam cię, Hugh - oświadcza Paulina.

- Ja też cię ogromnie lubię. Czy ten łosoś da się zjeść? Bo to danko z gołębia jest bardzo interesujące.

Paulina składa kurtuazyjne wizyty w różnych wydawnictwach, dla których pracuje jako redaktorka. Spędza też pewien czas na pogawędce z niegdysiejszą koleżanką z redakcji, w której kiedyś też siadywała

codziennie po kilka godzin; bada sama siebie, czy odczuwa nostalgię za pracą w zespole, i stwierdza, że nie.

- Jakże się ma nasz Maurice? - pyta koleżanka.

- O ile wiem, Maurice ma się dobrze.

- A jak się posuwa praca nad wielkim dziełem?

- Chyba świetnie.

- James Saltash rozpuszcza wieści, że wiele szumu narobi ta książka o turystyce. Kontrowersyjna.

Nie dopuszcza żadnej krytyki.

- Nie wątpię - mówi Paulina.

- Ciekawy gość z tego Maurice'a - dorzuca koleżanka po chwili. Przygląda się Paulinie i zmienia temat. - To co, zakopałaś się w tej głuszy na całe lato?

- Właśnie. Patrzę, jak rośnie pszenica na polu.

- To musi być coś takiego jak życie Riley'a*. To nie to co nasze...

* Amerykański poeta 1853-1916 (przyp. tłum.).

Koleżanka z upodobaniem zaczyna opowiadać o szumnych zabawach w ich środowisku, zapewne, by ukazać, ile Paulina traci, siedząc na wsi.

- A jeśli chodzi o pracę, co teraz robisz?

- Wstawiam przecinki w powieści o jednoroźcach - mówi Paulina i zabiera się do odejścia.

„Nie - myśli, zjeżdżając na dół windą. - Nie, bawcie się sami. Wszystko na łapu-capu, w biegu, wciąż krażyć, dążyć, nie móc zdążyć. Ploteczki, tak, tego mi brakuje. Na stałej pensji też można było bardziej polegać niż na dorywczych pracach na zlecenie. Mimo to bawcie się sami”.

Wychodzi z gmachu, jest wolna. Ma przed sobą mnóstwo pracy. Po jednoroźcach czeka na nią olbrzymia relacja z prac przemysłu naftowego na Morzu Północnym i książka podręcznicza o Kaukazie.

Niemal dwadzieścia lat temu weszła do tego gmachu, a raczej do tego, gdzie poprzednio mieściło się wydawnictwo, i po raz pierwszy w życiu podjęła stałą pracę. Zajmowała podrzędne stanowisko, a budynek mieścił się w zupełnie innym miejscu. Był to skromny dom przy jednej z ulic zachodniego Londynu, w tym czasie prawdziwy dom firmy wydawniczej, która teraz zniknęła we władczym uścisku wielkiego konglomeratu. Ten gmach poprzedza zielona szklana kolumna z hallem wejściowym, obficie wysłanym dywanami, niewielu kolegów Pauliny wciąż tu pracuje. Ale wówczas, po raz pierwszy idąc do pracy, miała wibrujące uczucie wolności. Nie wiedziała dobrze, czego ma się spodziewać, i była ciekawa, czy temu podoła, ale wiedziała, że ten dzień jest dla niej przełomowy. Koniec zależności w każdym znaczeniu tego słowa. Odchodziła od Harry'ego, wchodziła w nowy kraj.

Harry wyjechał do Kalifornii, a Paulina poszła do pracy. W rezultacie odkryła, że nie tylko daje sobie świetnie radę, ale nawet jest lepsza niż większość pracowników. Niedługo zajmowała podrzędne sta-

nowisko. Dorastała. Szła naprzód i odchodziła zarazem. Lata z Harrym odpadały, odsunięte w jakiś inny wymiar, gdzie dotąd istnieją jako opowiadanie; wiele szczegółów z niego zginęło, a przetrwała tylko garść pełnych mocy momentów, z którymi nic nie można zrobić.

Budząc się w nocy w swoim londyńskim mieszkaniu, Paulina jest zdezorientowana. Słysząc za oknami jakąś wrzawę, której nie powinno być. Wtedy zdaje sobie sprawę, że nie jest w World's End, że jest w mieście, a miasto przemawia dniem i nocą. Ludzie krzyczą na ulicy, bezładne, wrzaskliwe przekleństwa, które nie ustają, najpierw jeden głos, potem drugi, niepojęta ulewa wzajemnych wymysłów. Paulina podchodzi do okna i widzi, że hałas wzniera grupa młodych dziewczyn, nastolatek, które kotłują się na chodniku, wrzeszcząc na siebie wzajem, skupiając się i rozlatując jak stado ptaków. Jest pierwsza po północy. Paulina przygląda im się z niesmakiem, słuchając sprośnych słów i histerycznych oskarżeń. Czy są pijane? Pod silnym wpływem narkotyków? W końcu znikają za rogiem i schodzą jej z oczu; wrzaski odpływają i Paulina wraca do łóżka, całkowicie rozbudzona i pozbawiona poczucia bezpieczeństwa. Te opętane jakąś manią dzieciaki wywołały i w niej nienazwany niepokój, tak że nad ranem odczuwa nieodparty przymus, żeby zatelefonować do Teresy, choć przecież ma wrócić do World's End następnego dnia.

- Cześć! - mówi. - Słuchaj, bądź tak dobra i sprawdź, czy nastawiłam moją automatyczną sekretarkę? - A potem: - Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym - odpowiada Teresa zaskoczona. Wyczuła w głosie Pauliny ów cień niepokoju. - Dobrze się czujesz?

- Znakomicie - uspokaja Paulina. - Do zobaczenia jutro.

Rozdział dziewiąty

Paulina wygląda przez okno - okno w World's End. Trzyma na rękach Luke'a, który wskazuje coś majestatycznym gestem, całą dłońią: „Ta” - zauważa. Tam jest mój ojciec, oznajmia. I rzeczywiście, w słońcu na dojeździe stoi Maurice i rozmawia z Carol. Maurice trąca stopą trawę i mówiąc, gestykułuje. Prawdopodobnie ma atak typowej dla siebie wylewności, zajęty jednym ze swoich długich i często zniewalających przemówień. Carol leniwie wyluskuje ziarno ze źdźbła zboża, zielonego źdźbła zboża Chaundy'ego, kryjącego miękkie, młeczne ziarna. Słońce spływa blaskiem ze złotego kasku dobrze utrzymanych włosów. Carol odrzuca głowę do tyłu i śmieje się.

Ktoś mógłby pomyśleć, że to wyjątkowa scena. Po chwili nadchodzi James, a w następnej minucie Teresa, i wszyscy czworo stoją w przedwieczornym słońcu, a potem ruszają do samochodów. Jadą do baru na drinka. Paulina ofiarowała się wykapać i położyć Luke'a spać, gdyż sprawi jej to przyjemność, ponadto wcale nie pragnie im towarzyszyć.

Przygląda się, jak cała czwórka wsiada do samochodu. James prowadzi. Maurice i Carol siadają z tyłu. Wóz rusza, kieruje się na drogę dojazdową. Paulina widzi, że Maurice ciągle mówi. Obrócił się twarzą do Carol, a jego ramię spoczywa na oparciu siedzenia tuż za nią.

Paulina niesie Luke'a do łazienki i przygotowuje kąpiel. Robi i mówi, co trzeba zrobić i powiedzieć: napuścić wodę, rozebrać Luke'a, nieustannie komentować wszystko, co konieczne, aby Luke był zadowolony i chętnie pomagał. Luke siedzi w wannie i wrzuca do wody plastikowe pojemniczki. Paulina klęczy obok na macie, opierając ramiona o brzegi wanny, i demonstruje mu fizyczne właściwości wody: to, że można ją wzburzyć, wlewać do naczynia, pluskać się w niej. Ale czyniąc to, nie myśli ani o tym, ani w gruncie rzeczy o samym Luke'u, ale o innym dziecku w innym czasie.

Wanna w tamtym domu w katedralnym mieście była z lanego żelaza z nóżkami w kształcie łap opatrzonych pazurami. Z łapami lwa. Lew to było jedno z pierwszych słów Teresy. Oznaczał kąpiel. Część stała się całością. Przeddyluwialna wanna. Paulina zauważyła, że obecnie znowu zaczyna się produkować takie wanny, i że wystawione w centrach handlowych, sprzedających wyposażenia łazienek, są opatrzone metkami z bardzo wysoką ceną. W tamtych czasach posiadacz takiej wanny był napiętnowany. Młoda para z polotem, pnąca się w górę, dążyła do posiadania kompletu łazienkowego i wanny w kształcie awokado.

Paulina nie aspirowała do kompletu łazienkowego. Inne sprawy zaprzętały jej umysł w wiktoriańskim domu z wanną o lwich łapach.

Pochyla się nad niewygodnym, wysokim brzegiem wanny i namydla plecy Teresy. Czuje delikatne skrzydełka jej łopatek, a dalej ząbkowanie żeber. Zna każdy cal ciała Teresy, każdą płaszczyznę, każdy rowek, każde zagłębienie. Jeśli coś jest nie w porządku, jeśli znajdzie jakieś zadrapanie, siniak, wysypkę, odczuwa natychmiastowy niepokój. W niewytłumaczony sposób ciało Teresy należy do niej bardziej niż jej własne. Jak gdyby było przedłużeniem jej samej, bardziej podatnym na zranienia, więc należy je chronić przed każdym zagrożeniem, które ciało i skóra Pauliny nauczyły się znosić.

Bada zadrapanie na ramieniu Teresy, różową nitkę. Widzi i rejestruje zadrapanie, a także to, że jest nieistotne, ale nie poświęca temu ani myśli, ani uwagi. Nie potrafi myśleć ani skupić uwagi z powodu tego, co czuje, z powodu zimnej pustki w żołądku, z powodu słów, które raz po raz przelatują jej przez myśl.

- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, Paulino - mówi Louise Bennett, żona kolegi Harry'ego, Teda Bennetta. - O Harrym. Otóż chodzi o to, że najwyraźniej... (Ted mówi, że każdy na wydziale to zauważył), w każdym razie chodzi o to, że on i Myra są wciąż razem. Wiesz, ta Myra Sams z Wydziału Zagranicznego. Ted mówi, że ona stale przesiaduje w jego gabinecie. I że zawsze są razem w stołówce. Mam na myśli... ale może ty już o tym wiesz...

Głos Louise odpływa. Paulina lubi Louise. A przynajmniej lubiła ją aż do tej chwili. I w ciągu trzech sekund przestaje ją lubić. A także Teda Bennetta. I wszystkich innych na wydziale. Tylko o tym może myśleć w tym momencie: jak bardzo nie lubi Louise. Reszta przyjdzie później. Och, przyjdzie niezawodnie.

- Tak - odpowiada. Całkiem spokojnie, całkiem naturalnie. - Tak, spodziewam się, że tak jest. Pomaga mu w przygotowaniu książki. Mówił mi o tym któregoś dnia. Ona ma sporo wiadomości o studiach nad ludnością Francji w dziewiętnastym wieku, a to mu się bardzo przydaje.

- Ach tak, rozumiem - mówi Louise. - No tak...

Odwraca wzrok. Pośpiesznie zmienia temat. A Paulina nie słyszy ani słowa z tego, co tamta mówi. Ani jednego słowa. Potrafi myśleć tylko o nich. O niej i o nim. O nim i o niej. Jak rozmawiają o książce. Uśmiechają się do siebie. Śmieją się. Robią to wszystko, cokolwiek robią razem.

Myra Sams. Pierwsza z wielu. To znaczy pierwsza, na ile to dotyczy Pauliny, prototyp, sprawczyni. Ta, od której wszystko się zaczęło, której imię po raz pierwszy pobudziło ową lodowatą strużkę, ów wkra-
dający się wstręt.

I gdzie jest dzisiaj Myra Sams? Zniknęła, przyćmiona, zgubiona. Nie ma jej ani tu, ani tam, istnieje tylko w głowie Pauliny jako wywołujący emocję dźwięk. Myra Sams. W istocie to nawet nie jej nazwisko wywołało echo tamtych lat teraz, kiedy Paulina w World's End pochyła się nad wanną, żeby podnieść i postawić Luke'a. Echo, ukłucie, jak duch bólu zęba, kiedy prawdziwy ból już minął.

- Wstań teraz - poleca Luke'owi. - I wychodź. Tak, tak. Do góry i z wanny.

Podnosi go. Otula ręcznikiem. Gawędzi, podśpiewuje. Nie, myśli. Nie, nie, nie. Już więcej nie. Niech się to już nie powtórzy.

Patrzy ponad stołem na Harry'ego.

- Chciałam spalić twoją książkę - oświadcza.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Dobrze wiesz dlaczego - odpowiada.

Ach, książki, książki... - opowiada Luke'owi. Straszna rzecz - książki. Nie przynoszą nic oprócz kłopotu. Trzymaj się od nich z daleka, młodzieńcze. Zajmij się handlem. Albo zostań chirurgiem kardiologiem. Albo konstruktorem instalacji olejowych.

Kładzie Luke'a do łóżeczka. Chłopczyk protestuje. Przynosi mu butelkę i mały powraca do okresu niemowlęcego. Leży i pije przez smoczek, powieki zaczynają mu opadać, a potem znowu nagle otwiera oczy, gdy Paulina ukradkiem zmierza ku drzwiom. Upuszcza butelkę i popłakuje. Paulina wraca do niego, podaje butelkę, mruczy zapewnienia, skrada się do drzwi i dociera do kuchni w samą porę, żeby znowu usłyszeć popłakiwanie Luke'a.

Powtarza się to kilkakrotnie. Wreszcie Luke ucicha. Paulina włącza dziecinny alarm i usadawia się w pokoju. Poddaje dokładnemu badaniu stertę książek leżących na stole i odrzuca je na korzyść gazety. Przez chwilę czyta. Nie może jednak skupić uwagi, rozgląda się po pokoju, który nosi wyraźne ślady obecności jego mieszkańców. Słomkowy kapelusz Teresy wisi na oparciu krzesła. Piłka Luke'a potoczyła się pod stół. Na półce nad kominkiem leży obca para okularów przeciwsłonecznych w pozłacanej oprawce, na pewno należą do Carol. Kremowy sweter robiony na drutach przewieszony przez oparcie kanapy musi być własnością Jamesa, nawet przez chwilę nie można przypuszczać, że mógłby go nosić Maurice. Ale przybrudzona bawełniana marynarka rozdarta na rękawie oczywiście należy do Maurice'a.

Paulina czeka na ich powrót. Zna ten pokój dokładnie. Ale dzisiaj nie jest taki jak zawsze. Jest w nim podmuch czegoś dzikiego, czegoś, co niepokoi, co także jest pogłosem w mózgu tamtego ciągłego „gdzie indziej”. Wtedy i teraz mieszały się niepokojąco. W tej samej chwili inna Paulina, w innym pokoju, czeka na powrót Harry'ego stamtąd, gdziekolwiek jest i cokolwiek robi: z seminarium, które prowadzi, z gabinetu, gdzie udziela rad jakiemuś studentowi, albo z baru, dokąd poszedł z kolegą na drinka. Albo z jakichś innych zajęć, o których Paulina nie chce myśleć, ale musi, bo coś ją zmusza, żeby wyobrażać je sobie z rozdzierającymi serce detalami. A każdy obraz to udręka.

Widzi ich dwoje, jak siedzą przy stole twarzą w twarz, jego dłoń przykrywa jej rękę. Wyobraża ich sobie, jak się kochają, ciało obok ciała. Ale najwyraźniej jawi jej się obraz taki, jaki rzeczywiście zobaczyła na przyjęciu w ubiegłym tygodniu, gdy w odległym kącie pokoju po prostu rozmawiali. Harry jest odwrócony tyłem, tak że nie dostrzega jego twarzy, ale widzi ją oczami Myry Sams i wie dokładnie, co Myra Sams widzi. Zna ten wyraz twarzy, na którą ona patrzy, sposób, w jaki usta Harry'ego zwykły unosić się w kąciku, jego żartobliwe spojrzenie, gdy lekko mruży oczy i przechyla nieco głowę na bok. Takim spojrzeniem obdarza te, które wyróżnia, z którymi chce zawrzeć bliższą znajomość. Takie samo spojrzenie kierował niegdyś na nią, nad restauracyjnym stolikiem, w samochodzie wiozącym ich przez całą Amerykę, w łóżku. Widzi tamto spojrzenie i wewnątrz lodowacieje.

Paulina, Teresa, Maurice, James i Carol znajdują się na pokrytym trawą parkingu w osiemnastowiecznym dworze. Paulina pomaga Teresie posadzić Luke'a w wózku.

- No więc jaki jest twój pogląd, Paulino? - pyta Maurice. - Chodź tu i rozsądź. Dlaczego ludzie zwiedzają wspaniałe domy? Mamy różne zdania na ten temat. James twierdzi, że to zwykły snobizm.

- Nie całkiem - zaprzecza James. - Powiedziałem, że pośrednio zaspokaja to ich potrzebę fantazjowania. No wiecie, ja też chciałbym tak mieszkać, coś w tym rodzaju. Jeśli o mnie chodzi, to jestem oburzony. Dawno temu mieszkałem po prostu w ruderze. Mój pradziadek orał ziemię.

Carol zakłada przeciwsłoneczne okulary w połączanej oprawce, które niemal przesłaniają jej małą twarz.

- Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Uważam, że obaj dorabiacie tu jakąś ideologię. Ludzie zwyczajnie lubią patrzeć na ładne rzeczy. Na te wszystkie pluszowe meble i na ściany pokryte obrazami. Lubią włóczyć się po takim domu, mówiąc, że chcieliby spać w takim łóżu i przyglądać się takim wspaniałym schodom, i pytać, czy tu straszy. To nie żadna zazdrość, tylko zwyczajna ciekawość.

- To prawda - zgadza się Maurice. - Ale jest w tym także pewien element ciekawości, żeby coś zobaczyć, i na pewno połączone z tym zaproszenie do komentowania i porównań społecznych. Staje się to bardzo skomplikowanym doświadczeniem. Stajesz oko w oko z przeszłością i z nieznanymi przedmiotami, które sugerują zupełnie obcy ci sposób życia. To stanowi pewne wyzwanie. Ludzie nie chcą tylko patrzeć, chcą także jakoś reagować. Wiedzą o tym już z góry, ponieważ sprzedano im pojęcie rezydencji. A więc...

- patrzy prowokująco na Paulinę - dlaczego ci wszyscy ludzie są tutaj? Dlaczego my tutaj jesteśmy?

- Bo jest sobota - odpowiada Paulina. - I czymś trzeba wypełnić weekend.

James wybucha śmiechem.

- Masz odpowiedź, Maurice! Najprostszą w świecie. Maurice krzywi się w uśmiechu.

- Może pójdziemy? - proponuje Teresa. - Muszę przede wszystkim znaleźć jakiś ich wucecik. Muszę zmienić Luke'owi pampersy.

Zwirowanymi ścieżkami podążają w stronę domu, który zadowolony z siebie stoi wśród starannie przyciętych drzew. Wchodzą po szerokich schodach, kupują bilety i omijają bokiem kiosk przy drzwiach z przedmiotami, które sprzedaje dama z Funduszu Narodowego. Maurice ma na tę sprawę określone poglądy, którym da wyraz w książce.

- Wystarczy jak na dzisiaj... - mruczy z zadowoleniem, rzucając grzecznościowy uśmiech w stronę damy w kiosku, która właśnie wskazuje Teresie drogę do toalet i prosi, żeby zostawić wózek obok stojaka na parasole.

Zwiedzają. Przechodzą powoli z pokoju do pokoju, oglądając obicia, serwantki z porcelaną i wyszukane meble. Każdy pokój wypełniony jest tłumem przepływających gości, którzy sami stają się częścią wystawy, tak że Paulina odkrywa naraz, iż z taką samą ciekawością przygląda się parze Japończyków, jak i politurowanej półce nad kominkiem, rzeźbionej w owoce i liście. Z kolei japońska para zaczyna manipulować przy kamerze filmowej. Nad kominkiem przedstawiono obok siebie ananasy i żółędzie. Paulinę ciekawią dwie rzeczy: czy ona także znajdzie się na filmie wideo, przypadkowo porwana i wpakowana do cudzego salonu na drugim końcu świata? I czy ten, który robił tę płaskorzeźbę w drewnie, istotnie sądził, że ananasy rosną w środkowej Anglii, czy też jest to wytworny żart dekoratora wnętrz? Rozgląda się za pozostałym towarzystwem. Maurice zniknął, zapuściwszy się w pogoni za czymś, co zwróciło jego uwagę, jak zresztą zawsze zwykł czynić. Carol i James wyglądają przez okno, patrząc na szmaragdowy pokos trawy. Teresa próbuje zainteresować Luke'a wystawą psów z Staffordshire.

Na ścianach wiele obrazów. Tematem większości z nich jest pokazywana w różny sposób masakra. W scenie z polowania dekoracyjna sfora psów pędzi z boczem wzgórze; wesół szkarłat kurtki myśliwego uzupełnia rudy błysk lisa przeskakującego mur. Martwa natura z upolowanymi ptakami przedstawia bażanty i kuropatwy, ułożone na lśniącej powierzchni stołu, przybrane zielonymi listkami i rozrzuconymi wokół jabłkami; każdy szczegół drobiazgowo odtworzony - nakrapiane pióra, koścista powierzchnia łap, dziób umazany krwią.

Paulina okrąża sceny rzezi i naraz widzi obok siebie Maurice'a.

- Nigdy dotąd nie zabiłem niczego większego niż osa - zauważa. - Może raz powinno się spróbować. Wyraźnie brak człowiekowi jednego z podstawowych ludzkich doświadczeń.

- Wielu doświadczeń wolałabym uniknąć - odpowiada sucho Paulina. - Gdyby zgromadzeni w tym pokoju pomyśleli o skojarzeniach, jakie niosą sceny, na które patrzą, byłiby bardziej wrażliwi. Nie wyłączając nas samych. To oczyszczająca przemoc.

- Oczywiście. Nieodzowny składnik pracowitej spuścizny. Sala tortur wysprzątana i zmieniona w muzealną wystawę. Barwne anegdoty opowiadane przez oprowadzających wycieczki i turystyczne przewodniki. Zdecydowałem, że to warte całego rozdziału. Miła, odległa przemoc, nie bardziej przygnębiająca niż coś, co się ogląda w TV. Większość tych ludzi trzęsłaby się jak galareta na widok drogowego wypadku. Nie wyłączając ciebie i mnie.

Podchodzi do nich Teresa.

- Luke ma już tego dość. Przejdę szybciej przez resztę domu i wyjdę z nim do ogrodu.

- Słusznie - mówi Maurice wymijająco. - Rób, jak chcesz.

Przechodzi przez pokój, żeby obejrzeć wielki, ciemny obraz olejny, na którym młoda kobieta w rozwianych szatach wypuszcza z łuku strzałę w kierunku uciekającego jelenia. Tuż obok muskularna postać walczy z lwem. „Diana - myśli Paulina. - Herkules”. Przechodzi za Teresą przez następny pokój, potem przez kolejny, coraz żywszym krokiem. Ogromny gobelin przedstawiający narodziny Wenus. Osiemnastowieczne portrety właścicieli domu w strojach rzymskich dostojników. Paulinie przychodzi na myśl, że dla ludzi, którzy nie są obeznani z szyfrem mitologii klasycznej, system, z jakim to miejsce do niej się odwołuje, musi wydawać się coraz bardziej niejasny.

Paulina i Teresa kończą przyspieszony obchód domu i wychodzą na taras na tyłach, gdzie można już wypuścić Luke'a, żeby sam się poruszał. W końcu dołączają do nich pozostali.

- Którędy szłaś do kłocia, Tereso? - pyta James.

- Tamtędy... Nie, nie pierwszą w prawo, drugą. James rusza z wahaniem.

- James ma cudowne zdolności do gubienia się - wyjaśnia Carol. - Gubi się już w odległości jakiegoś sto jardów od naszego mieszkania.

- Tereso - proponuje Maurice - zrób Jamesowi tę przysługę i pokaż mu drogę.

- Okay - mówi Teresa spokojnie. - Zaczekaj, James, pójdę z tobą.

Idzie za Jamesem, posadziwszy sobie Luke'a na biodrze. Paulina wędruje kilka jardów wzdłuż tarasu, podziwiając obramowanie z kwiatów i czekając na ich powrót. Po minucie ogląda się i widzi, że Maurice'a i Carol już nie ma. Wygląda na to, że nie chcieli czekać. Stali o kilka jardów od niej, jakby nie mieli zamiaru się ruszać, a teraz ich nie ma.

Paulina nadal przygląda się rabatom kwiatów. Mija trochę czasu, zanim pojawiają się Teresa i James. Teresa wstąpiła do kawiarenki, żeby kupić Luke'owi herbatniki.

- Gdzie reszta? - pyta.

- Pewnie poszli naprzód - odpowiada Paulina. - Może myśleli, że się z wami miną. Pewnie was szukają. Te ogrody są niezwykle rozległe. - Zgląda do planu w broszurze. - Rośliny wodne... aleja cisów... fontanna.

- Nie ma sprawy - uspokaja James. - Spotkamy się prędzej czy później.

Ogrody zostały zręcznie przystosowane do krajobrazu. Trawnik tworzy płaskowyz, kończący się długą balustradą, poniżej której zbocze wzgórza spływa w dół sekwencją trawiastych tarasów obramowanych kwiatami. Na dole jest sadzawka z roślinami wodnymi; tarasowate zbocze otaczają wysokie żywopłoty, które osłaniają dalsze ogrodzone miejsca. Paulina, James i Teresa przystają na końcu trawnika, żeby oprzeć się o balustradę i zorientować w położeniu.

- Powinniśmy zejść na dół - proponuje James. - Niewiarygodnie wielkie lilie wodne, aż stąd je widać.

Ścieżka w dół zbocza jest bardzo stroma i sprawia wrażenie śliskiej. Teresa wskazuje na nią, mówiąc, że tędy trudno będzie wprowadzić wózek z powrotem.

- Może po drugiej stronie jest jakaś łatwiejsza droga. Pójdę zobaczyć - ofiarowuje się Paulina.

Odchodzi. Luke wynalazł sobie zabawę: rzuca patyczki za balustradę, James opowiada Teresie, że Maurice nagle zdecydował się napisać od nowa cały rozdział, co trochę przeciągnie całą sprawę, ale nic się nie stanie, Maurice jest dla siebie najostrzejszym krytykiem i skoro widzi to w taki sposób...

Paulina dociera prawie do końca balustrady. Rzeczywiście, tutaj droga do sadzawki z roślinami wodnymi wygląda na łatwiejszą. Przystaje, żeby spojrzeć w dół na część ogrodzoną żywopłotem, gdzie pośród trawy rozpościera konary klon, pod którym stoją zwróceni ku sobie twarzą kobieta i mężczyzna.

Maurice i Carol. Są daleko. Nie można dojrzeć wyrazu ich twarzy. Ale wyczuwa się bezruch, napięcie. Maurice mówi, szkicuje coś ręką. Carol zdjęła okulary przeciwsłoneczne i stoi, unosząc głowę i patrząc na niego uważnie. A potem on kładzie jej ręce na obydwu ramionach, trzyma ją i stoją tak przez kilka sekund, zanim pozwoli jej odejść.

Paulina się odwraca i zmierza z powrotem. Spotyka Jamesa i Teresę idących jej naprzeciw.

- Nie - mówi - z tej strony jest tak samo stromo. Może zostawimy wózek tutaj i zniesiemy Luke'a na dół?

Na sadzawce pływają kremowe lilie pośród lśniących, dużych liści. Są tu błękitne trzciny, spore kępy irysów i ciekawie prążkowane ważki. Jamesowi i Teresie bardzo się to podoba, a Paulina najwidocz-

niej podziela ich zachwyty. Ona także wykrzykuje na widok rośliny o gigantycznych liściach, wyglądającej jak jakaś zjawka z filmu science fiction. Pokazuje Luke'owi wodne pajęczki i czerwony błysk złotej rybki pływającej między liśćmi wodnych lilii.

A oto Maurice i Carol pojawiają się na ścieżce prowadzącej na górny taras.

- Ach, tu jesteście...! - wykrzykuje Carol. - Nie mieliśmy pojęcia, gdzieście się podzieli. Szukaliśmy was po tamtej stronie.

- Cześć! - mówi Teresa. - Spójrzcie na te zdumiewające ważki.

- Jak małe helikoptery - powiada James.

Obejmuje Carol ramieniem. Ona opiera się o niego, mrużąc oczy w słońcu, uśmiecha się. Szuka po omacku okularów w kieszeni za dużej zielonej koszuli, jaką włożyła do białych dżinsów, i wkłada je ponownie. Tonie w tej koszuli niemal aż po ciemne okulary, co czyni ją podobną do dziecka, które pożyczyło strój od kogoś dorosłego. Paulina jej się przygląda. „Och, znam cię - myśli - rozpoznaję cię. Na dłuższą metę nie ma cię ani tu, ani tam, ale w tej chwili, teraz, jesteś tutaj, a ja widzę i ciebie, i te, które przyjdą po tobie, i chce mi się rzygać”.

Teresa przykucnęła obok sadzawki, trzymając Luke'a z tyłu za spodnie, żeby nie wpadł do wody.

- Ta! - mówi Luke, wskazując na ważki, na rybki, lilie, na to całe migocące połyskujące drżące doznanie.

- Podoba mu się - Teresa zwraca się do Maurice'a, który patrzy na nich z góry. Ma słomkowy kapelusz, który rzuca kraciasty cień na jej twarz; policzki i nos są w słonecznej siateczce. Rozjaśniona podnosi głowę, spogląda na Maurice'a. - Możesz go wziąć na chwilę? - pyta. - Sięgnę po ten patyk.

Maurice się pochyła, żeby przytrzymać Luke'a. Teresa podnosi patyk i wyciąga go, trącając łagodnie kępkę trawy, w której przykucnął brązowy kamień. Kamień wskakuje do wody. Luke przygląda się temu zdumiony. Teresa śmieje się z zadowoleniem.

- To jego pierwsza żaba - mówi.

- Chyba ropucha? - prostuje Maurice. - Czy żaby nie są zielone?

- Żaba, ropucha, wszystko jedno... - Teresa promienieje, szczęśliwa, porwana jednym ze swoich nagłych przyplływów zadowolenia, do których jest skłonna. - Cieszę się, że tutaj zeszliśmy - ciągnie. - To wspaniałe miejsce. Nie uważasz?

- Świetne - zgadza się Maurice.

- Patrzcie! Wasza żaba schowała się teraz pod liściem lilii - mówi Carol. - Widzę jej łapę.

I stoją tak wszyscy na tym życzliwym miejscu w ten wyjątkowo piękny błękitny dzień, przyglądając się żabie w sadzawce.

- Przysięgam ci! - oświadcza Harry. - To już skończone. Zagryzając wargę, patrzy jej prosto w oczy spojrzeniem, które jest bezkompromisowe, niezachwiane, które sugeruje skruchę i lęk. Złożone spojrzenie. Spojrzenie, którego Paulina dotąd nie doświadczyła. Już to samo odbiera odwagę. Paulina stoi nieporuszona. Nie mówi nic.

- Skończone. Kaput. W przyszłym semestrze już jej tu nie będzie. Dostała wykłady w Leeds.

- Dlaczego? - pyta w końcu Paulina. - Dlaczego ona? Dlaczego w ogóle ktoś?

Harry spuszcza wzrok. Przybiera minę, która ma oznaczać wstyd, zażenowanie, zakłopotanie, co kto woli.

- Przypuszczam, że jestem na to wrażliwy.

Cisza. Dłoń Harry'ego skrada się ku dłoni Pauliny. Harry kładzie palec na jej przegubie. Jeden palec. Ona się nie porusza. Palec badawczo zaczyna gładzić jej dłoń.

Harry i Paulina spacerują po lesie. Teresa siedzi na ramionach Harry'ego, krótkie nóżki mocno zacisnęła na jego szyi, rączkami obejmuje czoło ojca. Buzię ma rozjaśnioną, taka przyjemność nieczęsto ją spotyka, wycieczki za miasto zdarzają się rzadko, nie pozwala na to ograniczony czas Harry'ego. Ale dziś Harry należy do nich, głowa rodziny, i to rodzinny wypad w późnojesienne lasy, gdzie na drzewach wiszą jeszcze rozżarzone liście. „To jeden z tych dni, które później jeszcze wypięknieją - myśli Paulina. - Teraz jest wspaniały, a jednak będzie o wiele wspanialszy, gdy zostanie przechowany w pamięci”. Harry trzyma Paulinę za rękę. Teresa nuci mrużankę bez żadnej melodii, z bezsensownymi, mamrotanymi słowami. Paulina się śmieje.

- Co ona śpiewa? - pyta Harry.

- Mrużankę Kubusia Puchatka: „Jeśli pójdziesz dziś do lasu...” Jej własna wersja. Mają taką płytę w przedszkolu.

Teresa przestaje mrużać.

- Chcę misia - oznajmia z wyżyn ponad ich głowami.

- Dostaniesz misia - przyrzeka Harry. - Dużego, brązowego, amerykańskiego misia. Przywiozę ci.

- Amerykańskiego? - pyta po chwili Paulina.

- Jadę do Waszyngtonu po zakończeniu semestru.

- Nie wiedziałam o tym.

- Myślałem, że ci mówiłem, kochanie. Tylko na tydzień. - Harry ściska jej dłoń. Przyłącza się do piosenki: - „Jeśli pójdziesz dziś do lasu - śpiewa - to cię spotka niespodzianka...”

- Pani jest żoną Harry'ego Cartera? - pyta profesor ze Stanfordu, który został zaproszony na wykłady. Przygląda jej się bardzo dokładnie.

- Tak, jestem Pauliną Carter.

- Spotkałem przelotnie pani męża na konferencji Stowarzyszenia Studiów Amerykańskich. Był człowiekiem chwili. Zdaje się, że się dobrze bawił. - Wygląda na to, że profesor przypomina sobie coś, co go rozbawiło. Tłumi skrywany uśmiech i znowu patrzy na Paulinę, jakby stanowiła jakiś przedmiot na wystawie sklepu, mogący mu się przydać. - Ale jakoś nie widzę męża na terenie uniwersytetu.

- Harry ma w tym semestrze urlop naukowy - wyjaśnia Paulina. - Bardzo dużo czasu spędza w Londynie i tam pracuje.

- Ach tak? To fatalnie. Miałem nadzieję, że go czasem zobaczę. A może pani mogłaby spotkać się ze mną któregoś wieczoru, poszlibyśmy na drinka?

- Myślę, że raczej nie - ucina Paulina.

- Chryste Panie! - woła Harry. - Trzydzieści sześć! Trzydzieści sześć! Co się ze mną dzieje? - Stoi nago w łazience przed lustrem, oglądając się dokładnie. Na pozór nie wygląda na niezadowolonego.

- Czas leci naprzód - mówi Paulina. - Sądziłam, że historia to twój zawód.

- Wolałbym, żeby nie dotyczyła mnie tak osobiście. Trzydzieści sześć to prawie czterdziestka, a przy czterdziestce muszę już mieć katedrę.

- Nie musisz - zauważa Paulina. - Chciałbyś. A to różnica.

- Och, kochanie... - niecierpliwi się Harry - jesteś zawsze taka dokładna. Ktoś mógłby rzec: przyziemna. Ale ja i tak świata poza tobą nie widzę. Aha, zaprosiłem kilku dodatkowych gości na przyjęcie.

- Kogo?

- Tego nowego faceta z romanistyki i jego żonę. Kilku studentów zbierających materiały. A, i jedną dziewczynę, ma na imię Alice i pracuje w sekretariacie prorektora.

TTLR

Rozdział dziesiąty

- Zastanawiałam się nad tym, czy oddech smoka mógł podpalić drzewo - mówi Paulina. - Sądzi pan, że to było możliwe?

- Próbowałem to zrobić z małą lutownicą - wyjaśnia Chris Rogers. - Pożyczyłem ją od sąsiada i puściłem strumień ognia na stary płot. Zaczął się tlić, więc uznałem, że tchnienie smoka byłoby jeszcze silniejsze.

- W takim razie przepraszam, wycofuję się - mówi Paulina.

- Problem polega na tym, czy też czytelnik w ogóle zaakceptuje smoki i jednorożce - ciągnie Chris. - I czy kogokolwiek zainteresuje historia o nigdy nie wygasającej namiętności. Trochę niemodny pomysł.

- Sądzę, że tutaj na korzyść działa sceneria. Skoro to fantazja, przestajemy być sceptyczni, możemy uwierzyć. Tchnienie smoka to zwykły wykręt.

- A co pani sądzi o śmierci Damy? - pyta Chris niespokojnie. - O samobójstwie Talusy. Czy to wyszło? Mam nadzieję, że tak. Napociłem się porządnie nad tym fragmentem.

- O, to bardzo mocny obraz. Niesłuchanie smutny.

- Jest pani pewna? W pani tonie wyczuwam pewne wątpliwości.

- Och nie. Utrafił pan w samo sedno. To ja niewłaściwie reaguję.

- Niewłaściwie?

- No cóż... W rzeczywistości nie powinna tego zrobić.

- Dlaczego?

- Ponieważ z biegiem czasu doszłaby do siebie. Przestałoby jej tak zależeć na Rycerzu. Może znalazłaby sobie innego Rycerza? Albo odkryła, że może się świetnie obejść bez niego.

- To cyniczny pogląd - mówi Chris surowo. - Jest pani pewna?

- O tak, jestem pewna - odpowiada Paulina. - Mam pięćdziesiąt pięć lat. I coś wiem o tych sprawach.

Pauza.

- Hm, można i tak na to spojrzeć, ale to by nie wystarczyło, żeby stworzyć alegorię romantycznej miłości, prawda?

- Jasne, że nie. Właściwie wolę pańską wersję, nawet jeśli to wymaga uśmiercenia Damy. Pańska opowieść o wiele mocniej przemawia do czytelnika.

- Mocniej niż co? - Chris domaga się odpowiedzi po chwili zastanowienia. Zdaje się, że jest osobą, która zwykłą rozmowę traktuje bardzo serio. Paulina to aprobuje.

- Chyba mocniej, niż gdyby skończyło się rozczarowaniem. W takiej historii niewiele jest do opowiedzenia, to po prostu coś w rodzaju rozwianych złudzeń. Namiętność nie powinna tak się kończyć. Nawiasem mówiąc, dobrze, że nie mieli dzieci.

- Ależ to w ogóle nie wchodzi w grę. Zresztą gdyby nawet mieli, nie miałyby z tym nic wspólnego. Mam na myśli dzieci.

- Bardzo wątpię - zauważa Paulina. - Dzieci mają z tym przerażająco wiele wspólnego. Ale jestem zbyt przyziemna. Ryzyko zawodowe. I zupełnie niewłaściwe w tym wypadku.

- Jest pani redaktorką. Do pani obowiązków należy mieć zastrzeżenia.

- Jestem bardziej korektorką niż redaktorką - koryguje Paulina. - Zajmuję się kropkami i przecinkami, a nie ważnym estetycznym osądem. Tym zajął się już ktoś inny.

- Hugo. Tak. W gruncie rzeczy śmierć Damy też budziła jego wątpliwości. Kazał mi ją przepracować w kilku miejscach.

- No cóż, teraz czyta się bardzo dobrze - chwali Paulina. - Czy pana nowa książka jest także w tym rodzaju?

- O nie. Mam już dość tego rodzaju rzeczy. Piszę teraz coś z dziedziny science fiction. Główny nurt dla amatorów tego gatunku. Ale idzie mi niesporo. Właśnie wdrapałem się na szczyt naszej miejscowej góry w poszukiwaniu natchnienia.

- Z powodzeniem?

- Szczerze mówiąc - nie. Jedyne efekty to bąble na stopach, ale widok był ładny.

- No cóż, muszę już pana pożegnać. Niech pan mi przyśle ten rozdział, który pan przepisuje, skoro tylko pan uzgodni go z redaktorem Hugonem, wtedy sprawdzę tekst.

- Będzie pani zadowolona, gdy pani ze mną skończy, dość już tego siekania i zmieniania.

- Przeciwnie - zaprzecza Paulina. - Ciekawa jestem, co pan robi z ucieczką przez las. I proszę, niech pan nie rezygnuje z wilkołaków.

Odkłada słuchawkę i wygląda przez okno. Teresa stoi na ścieżce przed domem, zabawiając Luke'a, który drepce od jednego do drugiego przedmiotu, jaki go akurat interesuje: kałuża, kępka trawy, porosty na słupku ogrodzenia. Pszenica nie jest już ciemnozielona, ale jasna, kłosa zaczynają się chylić i nabrzmiwać. Rok posuwa się naprzód. Kończy się falujący okres wzrostu. Krajobraz jest przepelniony po brzegi, stał się statyczny. Drzewa pochylają się nad sadzawkami cienia. Pola są obrzeżone mrocznymi pokrzywami. Gdzieś widać jeszcze brunatne prostokąty, miejscami jaśnieją też jeziora błękitnego lnu, który podobnie jak płonący rzepak przypomina odcienie południa, jest jednak łagodniejszy. Kiedy rozkwitające maki spotykają się z błękitem, wygląda to tak, jakby tutaj, w angielskim krajobrazie, pracowała ręka malarza impresjonisty.

Jest gorąco. Lato przechodzi już niemal do historii, staje się nieodzowną częścią aktualnych wiadomości. Bije rekordy. Rozpoczyna się susza. Roje meduz w Kanale, rekiny wygrzewają się w pobliżu wybrzeża Kornwalii. Sprzedaż lodów przez całą dobę cieszy się powodzeniem, ostrzeżenia przed salmonellą w prognozach pogody. Jeden letni dzień przetacza się w następny, dni podobne do siebie, niemal nie do odróżnienia. Jeszcze o dziesiątej wieczór jest widno, a potem niebo zaczyna się wyczerpywać, wysy-

chać i w ciągu jednej chwili nabiera ciemnoniebieskiej, dziwnej, jakby elektrycznej barwy, a drzewa i żywopłoty są już tylko cieniami w monochromatycznym krajobrazie.

Teresa i Luke są teraz jakieś pięćdziesiąt jardów od domu. Teresa podnosi Luke'a i sadza go na poprzecznej belce ogrodzenia. Razem kontemplują pszenicę. Teresa patrzy na zegarek. Sprawdza, o ile cali dzień posunął się do przodu; konieczność związana z czasem dziecięcym, z tym jedynym w swoim rodzaju dyktatem potrzeb i nastrojów, kiedy godzina lub dzień zdają się nieruchome, rozciągnięte w nie kończące się teraz. Paulina pamięta dokładnie, jak to było, i czuje się tak, jakby w jakimś rozstrzygającym sensie zamieszkiwała inną strefę czasu niż Teresa, taką, w której godziny potykają się o siebie, zamiast godnie kroczyć naprzód.

W tamtym czasie, w mieście katedralnym, była ekspertem, jeśli chodzi o czas dziecięcy. Wiedziała dokładnie, ile godzin powinno się przeznaczyć na spacer w parku, na zakupy, na sen, na odwiedziny u znajomych. Teraz chce wyjaśnić Teresie, że to wszystko jest złudzeniem, że w gruncie rzeczy miesiące pędzą i przelatują, a razem z nimi Luke, bezpowrotnie stracone kolejne wcielenia Luke'a. Wie jednak, że nie miałoby to żadnego znaczenia dla Teresy, która znajduje się w samym środku tego gąszczu. I ona wtedy zamieszkiwała inną strefę niż Harry. Jej dni były długie, a każdy był lustrzanym odbiciem poprzedniego. Dni Harry'ego, hm, dni Harry'ego były pośpieszne i zdyszane, pełne następujących po sobie seminariów, zebrań, nagłych skoków do Londynu, do radia i niewytłumaczonych wypadów w rozmaitych kierunkach, gdyż tu była konferencja, której musiał zakosztować, a tam ktoś, z kim musiał omówić temat pewnego artykułu, stypendium czy możliwość pracy. Paulina doszła do przekonania, że pogląd, iż akademickie życie jest czymś uporządkowanym i kontemplacyjnym, całkowicie mija się z prawdą. Harry krążył z miejsca na miejsce, od czasu do czasu wycofując się do swojego gabinetu na kilka godzin gorączkowej pracy, podczas której nie wolno mu było przeszkadzać. Burzliwość jego egzystencji odzwierciedlało życie kampusu uniwersyteckiego, które było w stanie nieustannego wrzenia. Studenci wiecznie demonstrowali albo protestowali bądź w sprawie sytuacji światowej, bądź też we własnej, gdyż uważali, że są niesprawiedliwie traktowani przez władze. Harry i jego koledzy byli wiecznie uwikłani w negocjacje z podnieconymi studentami; atmosfera niepokoju przenikała do prywatnego domu, gdy telefon dzwonił w środku nocy albo gdy grupki studentów o surowych twarzach przychodziły doręczyć ultimatum.

Paulina żywo się tym wszystkim interesowała, ale zdawała sobie sprawę, że jest poza nawiasem. Studenci nawet jej nie zauważali, zanurzeni w swoim własnym podniecającym świecie zniewag. Harry widział ją codziennie, ale traktował dom i jego mieszkańców po prostu jako solidne miejsce zakotwiczenia, do którego wracał, kiedy było mu wygodnie, w poszukiwaniu żywności i regeneracji. Wlatywał radosny lub niekomunikatywny - stosownie do stanu umysłu - nie wiedząc nic o jej wlokących się dniach, wypełnionych godzinami, w których mogła rozważać inny, alternatywny sposób życia.

Paulina i Teresa są nad sadzawką w parku i karmią kaczki.

- Tatusz? - mówi Teresa z ożywieniem, patrząc na drugą stronę sadzawki.

- Nie - odpowiada Paulina - to tatuś innego dziecka. Twój tatuś jest teraz w rozgłośni radiowej, wielkim gmachu gdzieś na Oxford Street, tak mi przynajmniej powiedział. Z drugiej strony jednak może wcale go tam nie ma. Równie dobrze może świetnie się bawić w jakimś pubie z bliskimi znajomymi, których nie znam, a może siedzi schylony nad książką w bibliotece British Museum. Może także być w łóżku z tą babką, Clare Jakąś-Tam, która ostatnio kilkakrotnie do niego wydzwaniała i wołała nie zostawiać wiadomości. Właściwie nie wiem, gdzie jest twój tatuś. Zauważyłam, że większość matek twoich koleżanek dobrze wie, gdzie są ich mężowie, co daje mi dużo do myślenia, chociaż twój tatuś robi się drażliwy i boleśnie dotknięty, gdy mruczę coś na ten temat. Twój tatuś daje mi do zrozumienia, iż jest wspaniałym, wybijającym się młodzieńcem; ujmuje to wprawdzie trochę inaczej, ale to właśnie ma na myśli, wyrażając swoje pretensje, że przecież nie można oczekiwać od niego, by wyliczał się z każdego kroku. Twój tatuś sugeruje, że dusi się z powodu mojej troskliwości, bo chcę zrobić z niego swoją własność. Kiedy coś mnie ubodło do żywego i nawiązuję do pewnego epizodu, którego tu nie będziemy omawiać, wygląda na znużonego i robi mi wyrzuty, bo sądził, że to już dawno zostało pogrzebane. Wmawia mi, że się grubo mylę, a ja czuję się jak idiotka, co z jego strony jest dużym osiągnięciem, ponieważ jest jasne jak słońce, iż wina leży po jego stronie. Kończy się na tym, że jestem zupełnie ogłupiała i już zupełnie nie wiem, gdzie jestem, nie wspominając o tym, że znowu nie wiem, gdzie on jest. Zaczynam się zastanawiać, czy to wszystko nie jest przypadkiem moim wymysłem, a może istotnie zaczynam cierpieć na paranoję, bo tego właśnie słowa używa twój tatuś, kiedy czuje się bardziej niż kiedykolwiek lepszy i bardziej moralny od innych. Tak więc nie domagam się więcej jakichś wyjaśnień, a kończy się to zazwyczaj tym, że idziemy razem do łóżka, bo twój tatuś dobrze wie, iż tym przerwie mi moje pytania.

Na całe nieszczęście kocham twojego tatusia. Gdyby nie to, zapewne nie byłoby całej tej sprawy. To, co czuję w tych dniach, jest tylko zatrwającym ubocznym efektem miłości. Przynajmniej myślę, że miłość jest właściwym słowem. To wzbudza moje wątpliwości, ponieważ to, co czuję do ciebie, jest również ogólnie znane jako miłość, ale jest całkowicie różne od uczucia, jakie mam dla twojego tatusia. Zabiłabym każdego, kto by się ośmielił podnieść na ciebie rękę, ale gdy chodzi o twojego tatę, to podejrzewam, że w pewnych okolicznościach mogłabym sama jego zabić. Mam obsesję na punkcie twojego ojca. Myślę o nim niemal bez przerwy. Ale patrzę na niego trzeźwo. Widzę, że jest egoistą, że dba o siebie i jest przedsiębiorczy. Kiedy myślę o twoim tatusiu obiektywnie, nie całkiem go lubię. Uważam, że jest zdolny i podniecający, ale nie we wszystkim go podziwiam. Kocham go, a to całkiem co innego. Zdrowy rozsądek i wzgląd na własną korzyść zostają odsunięte na bok. A przecież jestem kobietą inteligentną, a przynajmniej sądziłam, że nią jestem. Nie potrafię myśleć, że mogłabym żyć bez twojego tatusia. Nie potrafię rozpatrywać myśli, że on mógłby być z kimś innym, a nie ze mną. A to oznacza, że twój tatuś jest zawsze górą. Potrafi mnie rozbroić jednym słowem lub spojrzeniem.

Weźmy nasz ostatni weekend. Mieliśmy jechać nad morze i urządzić sobie piknik na wydmach. Ty przepadasz za piknikami. Ja także, jeśli o tym mowa. Obie nie mogłyśmy się doczekać tej wycieczki. I wtedy, w piątek późnym wieczorem, kiedy już od dawna leżałaś w łóżeczku, twój tatuś uświadomił sobie

nagle, że zapomniał powiedzieć, iż musi jechać do Londynu na symposium UCL*, którego naprawdę nie może opuścić. Zaprotestowałam. Zapewne byłam dodatkowo ostra w moim proteście, ponieważ przed tygodniem odebrałam jeden z telefonów od tej babki Clare Jakiejs-Tam, która ma dziwną awersję do zostawiania wiadomości. Może twój tata odczuł, że jestem wyjątkowo cięta, gdyż był niezmiernie skruszony i niezwykle zależało mu, żebym się dała przejednać. Przygotował sobie i mnie drinka, zaczął mówić o swoim planie wynajęcia na lato domu we Francji i oczywiście patrzył na mnie tym spojrzeniem, które całkowicie wytrąca mnie z równowagi. Patrzył, a ja byłam coraz bardziej niepewna, po czym poszliśmy do łóżka, ale nie po to, żeby spać. I tak to wygląda.

* University College, London (przyp. tłum.).

Teresa zdjęła Luke'a z ogrodzenia i teraz wracają wzdłuż ścieżki, powoli, w tempie Luke'a, często przystając i znowu ruszając, gdy malec się zatrzymuje, żeby zbadać jakiś listek lub źdźbło trawy, przewraca się, siada na chwilę. Teresa czeka na niego cierpliwie, uważnie. Spogląda w stronę domków i naraz staje się czujna. Trzaskają drzwi. Ukazał się Maurice i powoli zmierza w ich kierunku z filiżanką kawy w ręku. Wygląda na to, że ma chwilę wytchnienia. Paulina obserwuje go przez chwilę, a potem raptownie wyciąga rękę, żeby włączyć komputer. Zaczyna sortować stos korespondencji.

Paulina leży w łóżku. Kładą się na nim lśniące pasy promieni słonecznych. Jest wczesny poranek, żaluzje są zasunięte, ale światło i tak się przez nie wlewa. Teresa śpi. Harry wstał wcześniej, żeby pracować. Jego maszyna do pisania stuka w sąsiednim pokoju - puk, puk, puk, potem świst i przesuw, i znowu stuk, stuk, stuk. To jedyny odgłos, to i nie kończące się brzęczenie owadów za oknem. Panuje idealna cisza w tym domu we Francji, tak jak się tego spodziewała, chociaż pod innymi względami jest inaczej.

Nie rozumiała sprawy z panią Gatz. Harry właściwie nie wziął tego domu, nie wynajął, nie zapłacił gotówką. Wypożyczyła mu go pani Gatz, bogata pani Gatz. Jest mecenasem. Patronuje tym, którzy zaszli wysoko lub tam dążą; profesorów akademickich, pisarzy, artystów. Harry najwidoczniej spotkał ją w Stanach i został objęty jej patronatem. Sama pani Gatz zajmuje w pobliżu dużo większy dom, w istocie coś w rodzaju małego *château*, i niektórzy jej podopieczni także są tam zainstalowani. Harry i Paulina zostali ulokowani w mniejszym domu, bez wątplenia z powodu Teresy (widać od razu, że pani Gatz nie odnosi się do dzieci entuzjastycznie). W ten sposób mają trochę prywatności i są z dala od gorączkowego życia *château*; oczekuje się jednak od Harry'ego, żeby zjawiał się tam regularnie, brał udział w zebraniach wokół basenu kąpielowego wczesnym przedpołudniem, a długie wieczory spędzał na zakrapianych alkoholem sesjach na tarasie. Paulina także, jako dodatek. Objęci mecenatem mają pewne zobowiązania. Pani Gatz troskliwie umówiła dziewczynę ze wsi, która zajmie się dzieckiem. Ale dziewczyna ma zaledwie piętnaście lat, jest z natury ociężała i wyraźnie mało inteligentna. Teresa jej nie znosi, a Paulina jest o nią niepokojna, toteż wieczorami nieczęsto towarzyszy Harry'emu. Siedzi tutaj, w domu, wypija trochę dostar-

czonego im *vin du pays* i myśli o tym, dlaczego lato we Francji okazało się tak różne od tego, na jakie się cieszyła.

Nie są to wcale rodzinne wakacje, jakie, wydawało się, proponował Harry. Nie jest to owa rzadka sposobność, żeby mogli spędzać czas wspólnie, wolni od wymagań uniwersytetu i bezlitosnego terminarza Harry'ego. W gruncie rzeczy jest to okazja dla Harry'ego, żeby zabrał się do pracy, i to oczywiście jest celem szlachetnego mecenatu pani Gatz. Ona jest tą, która ułatwia. Zajmuje się ułatwianiem życia młodym i obiecującym, aby mogli coś stworzyć. Oni mają pisać, myśleć, malować i siedzieć dokoła, wymieniając wspaniałe idee i w ten sposób zabawiać panią Gatz, która łatwo się nudzi.

Toteż Harry wstaje wcześniej i stuka energicznie na maszynie. Stos maszynopisów rośnie, a razem z nim optymizm Harry'ego. Harry świetnie się bawi. Lubi to miejsce, cieszy się ożywionym towarzystwem w *château*, bawi go pani Gatz.

- To dopiero jest życie... - mówi do Pauliny, spacerując boso po wykładanych kafelkami, chłodnych posadzkach zalanego słońcem domu. - Chciałbym tu zostać na zawsze, a ty?

I wyciąga rękę do Pauliny leżącej jeszcze w łóżku, do którego Harry runął o północy po jednym z tych wygwieżdżonych wieczorów na ukwieconym tarasie w *château*.

Nie, Paulina nie chciałaby zostać tu na zawsze, ale grubiaństwem byłoby tłumić radosną wylewność Harry'ego. Harry ma instynkt stadny, jest towarzyski i wesoły. A także, jak to często podkreśla, poważniejąc przy tym i mówiąc serio, wiele na tych spotkaniach korzysta, gdyż może wymieniać opinie, mówić o swoich zainteresowaniach i ścierać się z poglądami innych. Jest tu na przykład pewien ekonomista z Harvardu, z którym sprzeczki są niesłychanie produktywne, jest też kapryśna autorka powieści i błyskotliwy, dwudziestopięcioletni hinduski filozof. Pani Gatz obejmuje swoim mecenatem rozmaite osoby, a liczba gości w jej domu ciągle się zmienia. Co tydzień *châteaux* dostaje zastrzyk świeżej krwi, podczas kiedy inni uczestnicy przyjęć znikają bez żadnych ceregieli. Harry zawsze i z każdym jest w dobrej komitywie. Ale Paulina podczas swoich rzadkich wizyt często się gubi, kiedy staje przed zupełnie nowym zestawem jaśniejących artystów, a na niektórych z nich spogląda z pewną obawą.

Byłoby oczywiście absurdem mieć takie obawy wobec pani Gatz, która ma pięćdziesiąt lat z okładem, a więc jest wolna od podejrzeń, chociaż trzeba przyznać, że jest wciąż atrakcyjna: platynowa blondynka, sprężyste, opalone ciało opakowane w biały satynowy kostium kąpielowy lub ukryte pod fałdami włoskiego jedwabiu, obładowane złotymi łańcuchami i bransoletami. Harry jest teraz jednym z tych, którzy nazywają panią domu Irène. Wzywa go, aby jej towarzyszył na przechadzce po ogrodzie lub usiadł obok niej koło basenu, a Harry pochyla się ku niej i prowadzą elokwentny, intymny dyskurs, pani Gatz zaś co pewien czas odrzuca głowę do tyłu i śmieje się na całe gardło.

Harry uważa, że pani Gatz jest niewiele warta, dziwadło, tak przynajmniej przedstawia to Paulinie. Niewiarygodna kobieta, mówi, uśmiechając się na jakieś skryte wspomnienie.

To, co pani Gatz sądzi o Harrym, jest niejasne. Paulina rozmyśla nad tym, leżąc w łóżku wczesnym rankiem, słuchając owadów i stukania maszyny Harry'ego.

- Nie widzimy pani zbyt często, moja droga - zwróciła się do niej pani Gatz wczoraj, przystając podczas obchodzenia basenu. - Ale oczywiście pani musi borykać się ze swoją malutką.

Jej spojrzenie biegnie ku Harry'emu, który opala się na leżaku i rozmawia z przybyłą ostatnio meksykańską rzeźbiarką; jej lśniąca czarna głowa podskakuje na wodzie tuż obok.

- W każdym razie Harry jest zawsze duszą towarzystwa. - Pani Gatz znowu patrzy na Paulinę z troską. Jej małe, czarne, błyszczące oczka sprawiają wrażenie, jakby się było uważnie oglądanym przez ptaka, bezosobowe badanie, mające może na celu jakąś akcję. - Niezwykły jest ten pani mąż, prawda? Przypuszczam, że ma pani z nim mnóstwo kłopotów.

Milknie, wygląda na to, że ma ochotę powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymuje. Wyjmuje papierosa z kieszeni frotowego szlafroka, zapala go, zaciąga się głęboko. - No cóż, moja droga, powodzenia - mówi i rusza dalej.

O tym także myśli Paulina, leżąc pod smugami porannego słońca. Wyobraża sobie nęcący proces uduszenia pani Gatz, utopienia jej w turkusowym basenie. W odpowiednim czasie, w godzinie przeznaczenia, zacznie myśleć o Harrym.

- Cześć! - woła Teresa. - Zejdź i pogadaj z nami. Nudzi się nam. - Jest w ogrodzie z Luke'em. Paulina macha ręką z okna w łazience. Luke patrzy w górę i uśmiecha się promiennie.

Paulina schodzi do nich na trawę. Właściwie miał to być trawnik, ale go tylko udaje, za rzadko bowiem jest koszony. Rabatki z kwiatami są także zarośnięte: karmazynowe floksy stłamszone przez kępki wiesiołka i łubin, a wszystko przerośnięte czepną przytulią i powojem. Przez kilka lat Paulina próbowała utrzymać przyrodę w ryzach i kontrolować ogród, jednak jego nieustępliwość doprowadzała ją do wściekłości i przerażała. Zieleń wylewa się z ziemi w sezonowym potopie bez opamiętania, niepowstrzymanie, a potem zamiera i zmienia się w posępny, zimowy śmietnik z gnijących brunatnych łodyg i poczerniałych liści. Paulina zaczyna rozumieć, że nie jest w stanie tego zmienić, że jest dyletantką i nie poradzi sobie z utrzymaniem kwietników w World's End w idealnym porządku. Żaden z poprzednich jego mieszkańców nie pozwoliłby na taki bałagan. Znali się na tym i wiedzieli, jak ujarzmić siły przyrody.

Tak więc Paulina i Teresa wyciągają się na trawie, podczas gdy Luke atakuje obrzeża nieokiełzanej roślinności. Teresa leniwie splata zwiędłe listki irysów. Zrobiła dla Luke'a coś w rodzaju kapelusika, który on teraz z radością niszczy.

- Nie przypuszczam, żebyś pamiętała takie miejsce we Francji, gdzie był basen kąpielowy - odzywa się Paulina.

- Nie. Kiedy to było?

- Miałaś dwa lata.

- Pamiętam takie miejsce, gdzie był czarny pies, którego się okropnie bałam - podsuwa Teresa.

- To było później. Znacznie później. W Bristolu.

Spoglądają na siebie w zamyśleniu, rozważając przetasowaną garść obrazów, niektóre wspólne dla nich obydwu, ale widziane nieco inaczej, w niemożliwy do przekazania sposób.

- Turkusowy basen kąpielowy był w Lot-et-Garonne - wyjaśnia Paulina. - Na tobie zrobił dużo większe wrażenie niż na mnie. Przyszedł mi na myśl z jakiegoś powodu. To chyba ta pogoda. Powinniśmy kupić Luke'owi taki plastikowy pontonik.

- Poproszę Maurice'a, żeby mu przywiózł z Londynu.

- To Maurice znowu jedzie do Londynu?

- Tak - potwierdza Teresa. Jej twarz przybiera nieprzenikniony wyraz. Nie patrzy na Paulinę. - Tylko na kilka dni.

Paulina krąży po domu. Nie jest to już wiktoriański szeregowy dom, ale inny, większy, w innym mieście. Harry bowiem jest teraz profesorem i wraz z akademickim awansem otrzymał lepsze warunki mieszkaniowe. Paulina uważa, iż powinna być z tego zadowolona. Przechadza się po pokojach w czasie, gdy Teresa jest w podstawówce tuż za rogiem. Próbuje myśleć o umeblowaniu i urządzeniu domu, w istocie zaś myśli o Teresie, która się denerwuje, bo jakiś mały chłopiec podobno ciągnie ją za włosy, jakiś pies zagraża jej na ulicy, a w szkole na obiad może być mielone. Paulina myśli także o Harrym.

Ten dom jest pełen Harry'ego, chociaż jego oczywiście nie ma. Jego zapach unosi się wszędzie, przyłgnał do szalika wiszącego w hallu, wylewa się z szafy w sypialni, wionie z pościeli łóżka. Sam Harry uczy albo pisze lub czyta, a może przekomarza się lub śmieje z kimś innym (z kim?). Kiedy Paulina wchodzi do gabinetu, całe biurko jest zarzucone Harrym - jego charakterem pisma, listami adresowanymi do niego, czasami jego terminarzem. Czyta te listy, które niemal wyłącznie dotyczą zawodowego życia Harry'ego. Dowiaduje się z nich o wielu sprawach, o których Harry nie stara się jej powiedzieć, nie mówi także, o czym myśli i co robi. Nie wiedziała, że Harry składał podanie o prestiżową pracę w Stanach, której - jak się okazało - nie dostał. Pamięta pewną kobietę, historyka z Berkeley, która była tutaj w ubiegłym roku i którą Harry uważał za niezwykle podniecającą. Paulina się zastanawia. Spędza teraz wiele czasu na zastanawianiu się, rozważaniu, wyobrażaniu sobie.

Czasami zagląda do terminarza Harry'ego. Wolałaby tego nie robić, ale odczuwa nieodparty przymus. Z terminarza dowiaduje się o jego zobowiązaniach; niektóre wpisy są dosyć jasne: seminarium o 2.00, posiedzenie senatu 4.00, inne zaś - tajemnicze: Tel. D. 18ty. P. - 4.30. Albo po prostu jakiś podobny do hieroglify zawijas, zakrętas. Wizyty u dentysty? Terminy zwrotu książek do biblioteki? Konsultacje z MI 5? Czy też całkiem coś innego? To właśnie domniemane „coś innego” dręczy Paulinę.

Zrozumiała, że konfrontacja oznacza dla niej klęskę. Harry wcale się tak bardzo nie broni ani nie wykręca, nie jest nawet zakłopotany. Ktoś, kto sam nie widziany obserwowałby wymianę zdań między nimi, uznałby, że Paulina jest zajadłą oskarżycielką, która opiera swoje racje na mylnych wnioskach i przypuszczeniach, podczas gdy Harry to głos słodkiego rozsądku, wyjaśniający, że człowiek tak bardzo zajęty jak on zna i widuje mnóstwo ludzi, a wśród nich rzeczywiście także kobiety, a oskarżenia Pauliny są nierozsądne i bez sensu. A ona przez cały czas wie, wie na pewno.

- Mam pomysł - oznajmia Paulina. - Maurice jedzie jutro do Londynu...

- Jadę, istotnie. Czy mam coś ci przywieźć?

Paulina zwraca się do Teresy.

- Dlaczego nie miałabyś z nim pojechać? Luke może zostać ze mną. Nic mu się nie stanie, jeśli to będzie tylko jedna lub dwie noce. Zrób sobie małą przerwę.

- Och... - Teresa jest zaskoczona. Waha się. Spogląda na Maurice'a. - Hm, dziękuję, ale... Sama nie wiem...

Maurice rozważa propozycję.

- No cóż... to niezła myśl. - Świetne zagranie. Bezbłędny ton głosu. Nie daje się zbić z tropu. Patrzy na Teresę: - A ty co o tym myślisz?

Teresa jest w kłopotliwym położeniu. Paulina wie dokładnie, jakie myśli przelatują jej przez głowę. Nigdy dotąd nie zostawiała Luke'a na noc. Dziecko jest bardzo przywiązane do Pauliny, często z nią samo zostaje. Ale od kiedy się urodziło, rano, po przebudzeniu widzi obok siebie Teresę. Jeśli zapłacze w nocy, ona je uspokaja.

- Hmm... - mówi niepewnie.

- Więc jak? - ponagla ją Paulina. Teresa waha się, wreszcie decyduje:

- Dziękuję, ale chyba nie pojedę. To naprawdę miło z twojej strony, ale myślę, że nie powinnam. Może jak Luke będzie większy...

Maurice wzrusza ramionami.

- Okay. Jeśli tak uważasz. Czy na pewno nic ci nie trzeba przywieźć, Paulino?

Rozdział jedenasty

Maurice jedzie do Londynu. Paulina obserwuje jego samochód toczący się wzdłuż bocznej drogi i znikający wśród pszenicy. Kiedy ginie jej z oczu, wstaje od biurka, schodzi po schodach na dwór. Wejściowe drzwi Teresy są otwarte.

- Cześć! - woła Paulina.

Wchodzi do kuchni, gdzie Teresa stoi przy zlewie, jednocześnie wyglądając przez okno, podczas kiedy Luke usiłuje wspiąć się na jej nogę. Teresa się odwraca i Paulina widzi, że pośpiesznie zmienia wyraz twarzy. Próbuje się uśmiechnąć:

- Cześć!

- Słuchaj, jakbyśmy tak... - proponuje Paulina z ożywieniem. - Jakbyśmy tak dzisiaj spróbowały dać Luke'owi lekcję pływania? W Hadbury jest już pływalnia. Nienadzwyczajna, ale wystarczy. Sama chętnie bym do niej wskoczyła.

- Och, hm... Cóż, dobrze. Świetnie. Ale czy nie powinnaś teraz pracować?

- Mogę sobie jeden dzień darować. Muszę się całkowicie przestawić. Mam w głowie jednorożce, a powinnam już myśleć o ropie naftowej z Morza Północnego.

- Nie rozumiem?

- Wyjaśnię ci później. Idź poszukać kostiumu kąpielowego.

Paulina prowadzi, Teresa siedzi obok niej. Luke za nimi, wpakowany w dziecięcy fotelik. Krajobraz się gotuje, pola drgają w mgiełce upału, miraż płynnego blasku na drodze przed nimi.

- Idiotyczna pogoda - mówi Paulina. - Źle się to wszystko skończy. Kataklizmy, burze z piorunami i śnieg w sierpniu.

- Yhm... - Teresa wygląda przez okno, ale nie myśli o pogodzie. Paulina zerka na nią spod oka.

- Opowiem ci o tych jednorożcach. Siedzisz wygodnie? To zaczynam. Była sobie raz pewna Dama. Miała na imię Talusa. Oczywiście była piękna. Piękna, w miarę bystra i do pewnego stopnia cnotliwa. Zakochała się w Rycerzu. Rycerz nazywał się Rohan. Rycerz także zaraz się w niej zakochał, tak więc w tej dziedzinie wszystko układało się świetnie. Cały problem leżał w tym, że rodzice Damy nie aprobowali Rycerza. Uznali, że nie jest dość bogaty. Zauważ, że na swój sposób to tradycyjna opowiadka...

- Mamo - przerywa Teresa - o czym ty mówisz?

- O powieści. Napisanej przez pewnego młodego człowieka, który mieszka gdzieś w połowie drogi na szczyt jakiejś walijskiej góry, także trochę tradycyjna postać. W każdym razie jeśli rodzice nie pozwolą jej wyjść za Rycerza, ona chce z nim uciec. Rodzice wysyłają ją do pewnego znajomego, który ma zamek w dogodnej, bo odległej okolicy, na absolutnym pustkowiu, i zamierza ją tam zamknąć, i zapewnić jej bezpieczeństwo. Ta postać znana jest jako Lord Odległego Kraju, a nie muszę dodawać, że on ma swoje własne plany co do Damy. Talusa więc ucieka od niego, ponieważ jest dziewczyną pomysłową oraz - jak

wiemy - opanowana zżerającą namiętnością do Rycerza. Zaczyna go poszukiwać, a on oczywiście także jej szuka.

- Po pierwsze, jak Dama poznała Rycerza? - pyta Teresa. - Przez agencję towarzyską?

- To jest poważna opowieść o poważnych sprawach. Pozwól, że zlekceważę twoją uwagę, jak na to zasługuje. Jeśli o to chodzi, Rohan poznał Talusę, gdyż uratował ją przed jednorożcem. I oczywiście wiemy, o co tutaj chodzi; muszę ci się przyznać, że z początku miałam pewne opory, jeśli idzie o tę scenę. Ale pomyślałam sobie: och, daj spokój. Jest to zręcznie napisane, autor z jednej strony ośmiesza tę scenę, a z drugiej czyni ją bardzo piękną i wyraźnie erotyczną. Talusa zbiera kwiaty na łące, gdzie jest także jednorożec, tylko ona go nie widzi. Jednorożec podkrada się do niej. A Rohan, który poluje w okolicy, wychodzi z lasu i widzi, co się dzieje. Luke, przestań wrzeszczeć, opowiadam twojej mamie ciekawą historię, a ona nie słyszy ani słowa. Wzięłaś dla niego jakiś sok? Dobrze, no, teraz lepiej. Tak więc Talusa podnosi oczy i widzi obydwu naraz: jednorożca i Rohana. Jednocześnie wpada w panikę i czuje pożądanie nie do ugaszenia. Jednorożec z tupotem pędzi teraz w jej stronę poprzez kwiaty, róg wystawiony w pogotowiu, gdy Rohan podnosi łuk i celuje...

- I bang! Znika jeszcze jeden zagrożony gatunek - uprzedza Teresa.

- To nie jest opowiadka słuszna politycznie. W każdym razie strzała Rohana nie zabija jednorożca, tylko po prostu go rani. Zwierzę zwraca się teraz w stronę Rohana, któremu udaje się je zwieść, porwać Talusę, wrzucić ją na konia i uciec z nią, pędząc galopem. Jednorożec zostaje, jego krew spływa na pierwiosniki. Pojawi się dopiero później w tym opowiadaniu; teraz zżera go nienawiść do Rycerza i znika, żeby go spotkać. Jego albo Damę, co też jest możliwe. I jest to wciąż powracający temat. W pewnej chwili Talusę otacza całe stado jednorożców. Innym razem, kiedy Rycerz walczy ze smokiem, jednorożec zjawia się przypadkowo i w samą porę odwraca uwagę smoka. Jest tam także mrożąca krew w żyłach historia, jak wilkołaki ścigają Talusę, kiedy ta szuka Rycerza w niezgłębionym lesie, dokąd z ambiwalentnych przyczyn skierował ją czarnoksiężnik... Zdaje się, że Luke upuścił swój soczek.

Teresa sięga na tylne siedzenie, raz jeszcze ucisza Luke'a.

- To wygląda na niesamowitą powieść. Czy dzisiaj ktoś coś takiego czyta?

- Raczej nie. Obawiam się o tego młodego człowieka. Na szczęście jego następne dzieło to jakby zbeletryzowana wersja bzdur o maszynach w parku rozrywki, dzieło całkowicie niezrozumiałe, chyba że siedzisz w tego rodzaju rzeczach. Ale zdaje się, że na rynku jest sporo entuzjastów tego gatunku i może autor zrobi na nim pieniądze. Osobiście wolę Damę i Rycerza, mimo że oczywiście ten mój młody człowiek na swojej górze całkowicie się myli.

- Co do czego się myli? - pyta Teresa po chwili.

- Co do miłości. Niezachwianej, romantycznej miłości, której nie można się oprzeć i dla której się umiera.

- Więc kto umiera? Domyślam się, że Rycerz.

- Nie, nie on. Mówiłam ci już, że ta opowieść nie jest poprawna politycznie. Talusa na próżno szuka Rycerza, przewycięzając trudności nie do pokonania, uzbrojona w swoją ufność i poświęcenie. I rzeczywiście na początku Rycerz też jej szuka. Ale wykazuje wzrastającą tendencję do rozpraszania się, żeby nie rzeć do flirtów. Często znajduje pocieszenie w ramionach usłużnych leśnych elfów, nimf wodnych i tym podobnej hałasty, a w końcu wdaje się w romans z niesłychanie ponętą czarownicą.

- Zdecydowanie błędne - ocenia Teresa. - Teraz nawet w książkach dla dzieci nie ma czarownic. A co z tą Damą?

- Dowiaduje się o Rycerzu i czarownicy. Naturalnie, zawsze pod ręką znajdzie się ktoś, kto się postara, żeby dana osoba dowiedziała się o tego rodzaju sprawie. To łamie jej serce. Pozbawiono ją całej radości, całej nadziei, wszelkich widoków na przyszłość. Chce tylko umrzeć. I tu właśnie nie zgadzam się z moim autorem. Każe jej się zabić. Nie tylko jej pozwala, ale zachęca ją do samobójstwa. Talusa topi się w jeziorze w głębi lasu i pogrąża się w zapomnieniu, mając pełne ręce kwiatów. To Pani z Shallot i Ofelia razem wzięte. Całkowicie nie do przyjęcia.

- Niewiele o tym wiem - raczej chłodno zauważa Teresa.

- Ha... Zgoda. To równoznaczne z oznajmieniem Rycerzowi: jestem do głębi zraniona, ale usunę się ze sceny i nie będę ci więcej zawadzać. Świątoszkowate poświęcenie się.

- Nic przecież nie mogła zrobić ze swoimi uczuciami. Jeśli tak to odczuwała, to znaczy, że tak to odczuwała.

- Kiedy ja nie mówię o uczuciach, mówię o jej czynach.

- No więc, co takiego powinna była zrobić? - domaga się odpowiedzi Teresa.

- Och, ma bardzo bogaty wybór. Mogłaby zawrzeć układ z jednorożcem albo z wilkołakami albo nawet z Lordem Odległego Kraju i kilku z nich wystawić na dudka lub całkowicie spisać na straty. Nie mamy w tej opowieści żadnych nacisków ze strony przepisów prawnych, każdy więc sposób jest dobry. Mogłaby rozładować swoje uczucia, napuszczając na nich jakąś brukową gazetę, albo wysłać im zatrute jadem listy przez najbliższe dziesięć lat. A najlepiej byłoby, gdyby po prostu wydostała się z tej całej sytuacji i ułożyła sobie życie z jakimś bardziej tradycyjnie myślącym Rycerzem, na którym mogłaby polegać, jeśli uważała związek z drugą osobą za absolutną konieczność. Mogłaby też wykorzystać swoje niedawne przeżycia i kontakty, żeby założyć lukratywną agencję turystyczną „Wakacje z Przygodą” i zrobić duże pieniądze.

- Mamo - zwraca uwagę Teresa - przegapiłaś skręt do Hadbury.

- Nie szkodzi, dojedziemy okrężną drogą, trochę dłuższą. Luke śpi?

- Tak. Czy powiedziałaś to wszystko autorowi?

- Ależ nie, skądże znowu! Miej trochę zaufania do mojego zawodowego taktu. To przecież jego książka. Ja mój osąd zachowuję dla siebie. No, przynajmniej do pewnego stopnia. A ta książka musi coś w sobie mieć, skoro wywołuje taki oddźwięk u czytelnika. Wątpię, żebym miała wyrażać swoją opinię o historii wydobywania ropy naftowej z Morza Północnego.

Pływalnia w Hadbury znajduje się na przedmieściu, jest częścią otaczającego miasto pasa, gdzie mieszczą się przedsiębiorstwa przemysłowe, supermarkety, tereny golfowe, wystawowe i rekreacyjne. Wieś nie może dzisiaj żyć bez udogodnień, jakie służą ludności miejskiej, a te zapewnia jej Hadbury.

Paulina i Teresa przebierają się w kostiumy kąpielowe w wilgotnej i zimnej szatni i sadowią się obok basenu treningowego, gdzie się roi od małych dzieci. Z początku Luke aż zamilkł ze zdziwienia. Stoi na zdeptanej trawie terenu zabaw i wpatruje się w dziwną scenę: w falującej, błękitnej wodzie skaczą jak opętane małe figurki, a towarzyszy im nieustający hałas, wrzawa ostrych, cienkich głosów, jak gdyby ktoś nastroił stado ptaków na przesadnie wysoki ton. Teresa bierze synka do wody. Pomaga mu podskakiwać i zanurzać się. Jego zdumienie przeradza się w zrozumienie, a potem w zadowolenie. Zmienny wszechświat dziecka ukazuje mu nowy wymiar przeżycia, w którym powietrze topi się w wodzie; to, co suche, staje się wilgotne, staje się ciepłe, staje się chłodne.

Paulina przyłącza się do nich.

- Idź i porządnie sobie popływaj w dużym basenie. Ja zajmę się Luke'em.

Teresa odchodzi. Paulina spaceruje z Luke'em dokoła basenu pośród wrzasków oraz rąk i nóg mówiących wodę. Ciągnie go w plastikowym kole ratunkowym po lśniącej, pełnej bąbelków i pachnącej chlorem wodzie. Nie pamięta już o turkusowym basenie kąpielowym we Francji i myśli o swojej matce, która nie zajmowała się Teresą tak jak ona. Zdaje sobie naraz sprawę, że jej matka nie troszczyła się o dzieci. Traktowała je po prostu jako nieodzowne akcesorium, jeśli miało się być pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. To był jeden z listów uwierzytelniających, tak jak hipoteka czy emerytura. Wychodziło się za męża, zabezpieczało się dochód i dom, miało się dzieci, w jej sytuacji jedno dziecko. A w odpowiednim czasie twoje dziecko także rodziło dziecko, przyznając ci tym samym genetycznie powszechny szacunek w oczach świata.

Paulina mniej więcej co pół roku zabierała ze sobą Teresę, aby odwiedziła dziadków. Harry nie jeździł z nimi, był oczywiście zawsze zbyt zajęty. Rodzice Pauliny akceptowali to bez komentarzy, a może nawet z ulgą. Nie bardzo wiedzieli, jak postępować z Harrym. Rozmowa z nim zbijała ich z tropu, a jego ubiór nie zadowalał matki Pauliny.

- Mówiłaś, zdaje się, że dostał teraz w pracy wyższe stanowisko? To co ludzie sobie pomyślą, skoro przez cały czas nosi dzinsy tak jak teraz?

- Pomyślą, że jego konwencjonalne zachowanie budzi zaufanie - odpowiedziała Paulina.

Matka spojrzała na nią sceptycznie.

Teresa była dla dziadków źródłem zainteresowania, ale nie skupiali na niej swoich uczuć. Podczas każdej wizyty matka Pauliny komentowała przychylnie (lub nie), jak dziecko urosło i jak wygląda, i to wszystko. Nie potrafiła rozkoszować się czymś, co było, jak udowodniono, normalną procedurą.

- No cóż, rozwija się normalnie, i to wystarczy - zwykła mawiać.

Paulina zdała sobie sprawę, że jej własne dzieciństwo także nie było traktowane z egzaltacją.

W najciemniejszym momencie lat pożycia z Harrym przy jakiejś okazji Paulina poczuła, że musi skorygować przyjemną wizję, jaką matka sobie wytworzyła na temat jej życia. Uczciwość kazała jej to uczynić już raz czy dwa przedtem, ale jej niewyraźne próby, żeby sprzeciwić się wyobrażeniom matki o małżeństwie, odzwierciedlającym jej własne pożycie, były szybko odsuwane.

- Harry ma się dobrze? - pytała matka.

- Dobrze, o ile mi wiadomo. Nie widuję go zbyt często. Matka ignorowała zaproszenie do bardziej intymnych zwierzeń, które Paulina jej podsuwała.

- No tak, teraz, w nowej pracy, ma na pewno pełne ręce roboty.

A kiedy Paulina robiła krok dalej, chcąc ujawnić swoje położenie, matka cofała się jak nerwowa kotka.

- Harry ma się dobrze?

- Nie mam pojęcia. Jest w Ameryce.

Matka odwracała wzrok, wietrząc niebezpieczeństwo.

- To miło, że jest tak potrzebny.

- Tak uważasz? - mówiła Paulina. - I tak, i nie. Kłopot w tym, że im bardziej jest potrzebny innym, tym mniej bierze pod uwagę moje potrzeby.

Matka wyrażała swoją dezaprobatę, ale nie w stosunku do Harry'ego.

- Mężczyźni muszą stawiać pracę na pierwszym miejscu, to rozumiałe. Najważniejsze, że mu się dobrze powodzi, prawda?

- Mamo - próbowała raz jeszcze Paulina. - Ja nie mówię o jego pracy.

W tym punkcie matce mignęła przed oczami prawda i czym prędzej umknęła przed nią.

- Ciekawa jestem, co też Teresa robi w ogrodzie, najlepiej wyjrzę i zobaczę.

Paulina nigdy więcej nie poruszyła tego tematu, a kiedy wkrótce potem oznajmiła, że opuszcza Harry'ego, i wyjaśniła dlaczego, odpowiedź matki nadeszła w formie konwencjonalnych wyrazów boleśnego żalu, co miało sugerować, że widocznie Paulina musi szukać przyczyn w sobie samej. Paulina rozumiała, że pojęcie małżeńskiej niewierności jest matce najzupełniej obce. Znała je jako wątek powieści i dramatu (wypożyczała książki z biblioteki i chodziła czasami do kina), ale nie sądziła, żeby mogło mieć jakiś związek z prawdziwym życiem, a już na pewno nie z jej najbliższym światem. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, żeby jej własny mąż mógł się zadawać z inną kobietą. Jego niewiernością były klub golfowy, niedzielne gazety i radiowe zagadki.

Teresa wraca z pływalni. Siedzi na trawie - mokre włosy ściągnięte do tyłu, ręcznik na ramionach - przygląda się dzieciakom w basenie. Twarz ma ściągniętą, Paulina zna dobrze ten jej wyraz, widywała go nieraz, kiedy Teresa miała sześć, dziewięć, dwanaście lat i była rozbita przez jakąś podwodną skałę winy, smutku, rozczarowania, zdrady.

Paulina zaczyna mówić. Mówi o tym, że trzeba niedługo ostrzec Luke'a, że wczoraj dzwonił Hugh i serdecznie ją pozdrawia, a także o wiadomości radiowej, jaka zwróciła jej uwagę przy śniadaniu. Opowia-

da o Chaundym, z którym sobie wczoraj pogadała. Pszenica, relacjonuje Teresie, jest wypalona, zdawałoby się, że wszystko powinno cieszyć się tym słońcem, ale nie, smaży się, a Chaundy z każdym dniem traci majątek, i jeśli nie będzie deszczu...

- Mnie się serce nie krwawi, a z niego okropny chytrus...

Teresa pozornie odpowiada:

- Hmm, tak powiedział? Rzeczywiście? Nie wiedziałam.

Ale myślami jest gdzie indziej, pogrążona w swojej depresji. Coś się wydarzyło. Są pewne tego oznaki, coś jest nie tak, coś na opak.

Paulina bierze głęboki oddech. Potem sięga ponownie po jednorożce.

- Właściwie przykro mi, że skończyłam tę książkę - oznajmia Teresie. - To dla mnie coś nowego, tak się zaangażować w czyjaś opowieść, że zaczynasz z nią dyskutować. Myślę, iż dzieje się tak dlatego, że ta historia przypomina mi pewną kobietę, którą kiedyś znałam, a której coś takiego się przydarzyło, z wyjątkiem, rzecz jasna, jednorożca, smoka czy wilkołaków, ale ta sama cholerna sprawa z obsesyjną, nieuchronną namiętnością do faceta, który nie żywił takiej samej namiętności i który zdradzał ją na prawo i na lewo z leśnymi nimfami i im podobnymi.

Teresa mruży oczy. Odbiera Luke'owi z ręki porzuconą łopatkę od lodów i szpera w torbie, szukając zabawki.

- To dziwne, ale wtedy doskonale rozumiałam, dlaczego tak postąpiła. Chyba nie miała innego wyjścia. Chciałabym się nią teraz zająć.

- Co się stało z tą kobietą? - pyta Teresa. Nie wydaje się zbyt zainteresowana.

- Opamiętała się w końcu i machnęła na to ręką. Straciłam z nią kontakt. Nie sądzę, żebyśmy miały jeszcze ze sobą coś wspólnego. Czy masz pojęcie, jak człowiek wyrasta z ludzi? Chociaż... właściwie wpadłam na nią nie tak dawno temu i trochę o nim opowiadała, o swoim eks, ponieważ... no cóż, ponieważ też niedawno go spotkałam. Powiedziała mi, że to, co teraz do niego czuje, można porównać z uczuciem, jakie ktoś żywi do włamywacza. Ten człowiek wszedł w jej życie i przez długi czas terroryzował, a ona czuła się zraniona, bo w końcu życie jest tylko jedno.

Teresa milczy. Albo wciąż jej to nie interesuje, albo też ten pogląd do niej nie przemawia. Paulina wzrusza ramionami.

- A wtedy była zupełnie zamroczone. Wiem, bo byłam blisko niej i widziałam to. Czy zabierzemy się stąd, zanim Luke'owi uda się wpaść do basenu?

Jadą z powrotem do World's End. Luke śpi. Paulina włącza magnetofon. Teresa patrzy przez okno na drgający krajobraz, na bezchmurne niebo, na przejeżdżające pojazdy: autobusy turystyczne z Francji i Niemiec, kontenery z Polski, transportery z autami, traktory, pogruchotane bagażówki, samochody ciągnące mieszkalne przyczepy. Trwa pełnia lata, a tutaj jest głęboka wieś angielska.

Paulina niesie Luke'a, wciąż uśpionego, do domku. Teresa idzie za nią z torbą, ręcznikami i kostiumami kąpielowymi. Czerwone kółko na automatycznej sekretarce mruga. Teresa podchodzi do telefonu i naciska guzik. Słysząc głos Maurice'a:

- To ja. Chcę ci tylko powiedzieć, że wrócę w środę wieczorem, a nie rano, wyskoczyło mi jeszcze parę spraw. Okay? Aha, James i Carol przyjadą na weekend.

Teresa się odwraca i odbiera Luke'a od Pauliny. Ma twarz martwą, bez wyrazu. Luke się budzi i zaczyna płakać.

Paulina stoi z Harrym na rogu ulicy. Jedli razem lunch w restauracji, rzadka przyjemność. Harry wczoraj wrócił ze Stanów, po podróży odrzutowcem był wykończony, runął na łóżko i zasnął jak kamień. Rano się obudził i oznajmił:

- Mam wykład o dziesiątej. Coś ci powiem: spotkajmy się na lunchu. Zabieram cię do włoskiej restauracji.

Tak więc jadła lunch z Harrym, który był w świetnej formie, podniecony, wylewny, czuły. A teraz rozstają się na rogu ulicy, ponieważ Harry ma seminarium o trzeciej i musi znowu pędzić.

Wygląda na roztargnionego, roztargnionego i zarazem rozżarzonego. Nagle ściska ramię Pauliny, po koleżeńsku, pełen wigoru, lekko wstawiony.

- Czy życie nie jest cudowne?! - wykrzykuje. Paulina rozumie już, że Harry ma nową kobietę.

Wczesnym rankiem Harry obejmuje ją ramionami. Ona wypływa ze snu na powierzchnię i czuje, że Harry bierze ją, czuje to znajome, ciepłe wtargnięcie i początkowo się poddaje - jeszcze senna - w naturalny sposób, ze spokojem. A potem unosi powieki, patrzy w jego oczy i widzi, że jej tam nie ma. To nie ją wziął Harry, nie z nią się kocha, lecz z kimś innym. Widzi to i lodowacieje. Akt miłosny staje się sprośnością.

* * *

Paulina wie dobrze, że jest ekspertem, znawcą. Ma temat, specjalny temat, w którym jest wybitnym autorytetem - autorytetem w sprawach zazdrości. Wie wszystko, co tylko można o niej wiedzieć. Mogłaby napisać o tym uczuciu traktat, dysertację, uczoną rozprawę z przypisami i dodatkowymi wyjaśnieniami. Mogłaby mieć seminaria z zazdrości, mogłaby zorganizować sympozjum, a nawet prowadzić specjalny kurs na stopień naukowy o rozwoju i objawach zazdrości. Mogłaby instruować niewtajemniczonych, w jaki sposób uczucie to wywołuje zarówno fizyczne, jak i psychiczne skutki. Argumentowałaby, że jeśli jest to choroba, musimy określić, czy jej źródła leżą w naszej biologii, czy w umyśle. Mogłaby opublikować określony opis symptomów zazdrości: wieczne dokuczliwości jelitowe, mdłości, podchodzące do gardła co rano, gdy cierpiący budzi się i od nowa zaczyna zdawać sobie sprawę, co go spotyka, głęboką zapaść, jaką powoduje każda nowa niepewność, każde podejrzenie. Powiedziałaby, że najwyraźniej zazdrość ulokowała się w żołądku, ale że wykazywane symptomy umysłowe także trzeba brać w rachubę: obsesyjna koncentracja na jakiejś pojedynczej sprawie, gorączkowa pogoń za dowodami, straszliwa, wzmożona świadomość. A jeszcze są okresy remisji, kiedy zaczyna się wierzyć, że w końcu nic takiego się nie dzieje, że

człowiek się myli, że wszystko jest w porządku; nawroty fałszywego poczucia bezpieczeństwa, służące tylko temu, żeby wzmocnić objawy choroby, kiedy z hukiem powraca.

- Paulino, dlaczego nie rzucisz Harry'ego? - pyta przyjaciółka Linda. - Nie przestanie tego robić, wiesz o tym. Jeśli nie będzie tej całej Julii, to będzie ktoś inny.

Paulina nie odpowiada. Ponieważ wie, że to właśnie musi uczynić.

Powraca Maurice. Paulina słyszy nadjeżdżający samochód. Wzdryga się, ponieważ, jak to jej się zdarza, nie przebywa w tym momencie w domku w World's End, lecz w innym miejscu, w innym czasie, oczekując na kogoś zupełnie innego, kto przybędzie (jeśli w ogóle przybędzie) pieszo albo taksówką i natychmiast wypełni to miejsce swoją obecnością. A przecież jest coś, co ma zamiar mu powiedzieć, słowa, które krążą w jej głowie od wielu dni, które teraz dokładnie, doskonale wyostrzyła, słowa, których godzina wybiła.

Tak więc Paulina jest przez chwilę zaskoczona. A potem widzi auto i Maurice'a, który odpina pasy i wysiada zza kierownicy, potykając się, jak to często czyni (lekkie niedomaganie jednej nogi), a potem sięga na tylne siedzenie po swoją gladstonowską torbę. Paulina natychmiast wraca ze swoich burzliwych rojeń, rejestruje Maurice'a i już w innej tonacji skupia się na siekaniu i krojeniu składników do *casserole*. Paulina nie jest zapaloną kucharką. Jada od przypadku do przypadku, nie przykładając do jedzenia wagi, jak wszyscy, którzy mieszkają sami; rzadko też traci czas na staranne przygotowanie posiłku. Dziś jednak zrobiła zakupy we wsi i odruchowo postanowiła zrobić *casserole*, które będzie na kolację, a resztę włoży do zamrażarki na zapas. Właśnie przypada na nią kolej, żeby być gospodynią w sobotni wieczór, nawet jeśli tych dwoje przyjedzie na weekend. Ta potrawa w sam raz się przyda. Gromadzi teraz rozmaite kupki: różowobiałe plasterki grzybów w kształcie parasolek, przezroczyste kółka cebuli, szkarłatne kawałki papryki. Słyszy przy tym, jak trzaskają wejściowe drzwi w sąsiednim domku, głos Maurice'a, gaworzenie Luke'a, zsuwa jarzyny na patelnię i zaczyna kroić w kostki kawał mięsa. Od czasu do czasu wygląda przez okno na zmieniającą kolor z każdym dniem pszenicę za drogą dojazdową. Wspomina zielony wysyp wczesną wiosną, gęste futerko, które po nim nastąpiło, i znowu myśli o tym, jakie to dziwne, że niektóre rzeczy trwają w nas niezniszczalne: twarz Harry'ego, jego głos na rogu ulicy, dotknięcie jego ręki na ramieniu. Ale zwyczajne procesy zmiany tak trudno przywrócić. Jak ten żywopłot wyglądał w maju? Dlaczego wciąż jeszcze tkwi w mózgu czyjaś mowa, głos, sekwencja słów, a nie można sobie przypomnieć wołania kukułki?

Kończy przygotowywanie *casserole* i wkłada je do pieca. Dzwoni telefon.

- Chcę tylko oznajmić - mówi Hugh - że nie wolno ci przegapić wystawy Alma-Tadema. Zanim ją zmienią, radzę, byś się koniecznie wynurzyła, chociaż na krótko, z tego wygnania, które sobie narzuciłaś. Zapomniałem ci o tym wcześniej powiedzieć.

- Hmm... Dobrze, zobaczę. Może wpadnę.

Hugh nadal rozwódzi się nad wystawą. W końcu wyczuwa w jej słowach jakieś niedopowiedzenie.

- Wszystko w porządku? Zdaje się, że jesteś trochę... niespokojna?

Paulina się waha.

- Chyba wszystko w porządku. Może i jestem trochę niespokojna. Ostatnio dużo myślę o różnych sprawach. Myślę też o Harrym.

- Mam nadzieję, że on cię nie niepokoi - mówi Hugh surowo. Wie dobrze o czynionych od czasu do czasu próbach pojednania, jakie czyni Harry.

- Och, nie, nie myślę o Harrym obecnym. Mam na myśli Harry'ego z tamtych lat.

- Aha, rozumiem. - Hugh się wycofuje. Nie jest mężczyzną, który lubi poufne zwierzenia. Zna doskonale przeszłość Pauliny i rolę, jaką odegrał w niej Harry, ale nie ma ochoty roztrząsać tego problemu, o czym Paulina dobrze wie.

- Nie martw się - uspokaja Paulina. - Kropelka whisky i porcja TV wnet mnie wyciszy i ożywi.

- Wobec tego dobranoc, kochanie. I ponaglę cię, żebyś nie zapomniała o wystawie Alma-Tadema. Będę ci o tym przypominał.

Światło dnia stopniowo się rozplywa i World's End staje się osobną wyspą w letniej nocy. Paulina zasuwa zasłony, zjada trochę *casserole* i sunie przez fale eteru w poszukiwaniu rozrywki. Zanurza się w symulowanej zbrodni w Kalifornii, w nieokiełznanej przyrodzie syberyjskiej tundry, w problemach albańskich emigrantów. Wreszcie, dość późno, wyłącza telewizję, porządkuje kuchnię, otwiera drzwi na tyły domku, żeby wyrzucić śmieci do pojemnika. Stoi tak przez moment, gdyż jej się zdaje, że nie wszystko jest tak, jak być powinno, i rzeczywiście nie jest, bo klin ciemności za nią nagle się porusza.

- Jezu, Maurice! - mówi zirytowana. - Przeraziłeś mnie jak wszyscy diabli.

- Przepraszam... - Maurice wychodzi z cienia i serwuje jej swój uśmiech, ufny, konspiracyjny. - Rozkoszowałem się wieczorem. Teresa poszła spać. Napijesz się?

- Nie, dziękuję. - Paulina widzi, że on już wypił sporo. - Ja też idę spać.

- W porządku, zatem mnie opuszczasz. - Opróżnia szklanekę. Przeciąga się zmysłowo jak kot. Wskazuje na niebo: gorące gwiazdy, księżyc w kształcie sierpa. - Popatrz tylko! Życie nie jest takie złe, co, Paulino?

Paulina przygląda mu się przez chwilę i wchodzi do domu.

Rozdział dwunasty

Tego sobotniego popołudnia do Muzeum Wsi przyszło sporo zwiedzających, ale nie ma przepełnienia, ponieważ dzień jest jak zwykle bezlitośnie piękny i większość ludzi wybrało rozrywki na świeżym powietrzu. To oczywiście Maurice zaproponował wycieczkę do muzeum, które ma stanowić jeden z punktów programu do omówienia w przewodniku, a pozostali zgodzili się z różnych powodów. James i Carol ulegli, ponieważ są gośćmi, a goście muszą ustępować. Tym bardziej że dla Jamesa wycieczka ma znaczenie zawodowe, chodzi przecież o książkę Maurice'a. Teresa im towarzyszy, ponieważ ciągnie ją tam, gdzie jest Maurice, a Paulina, która o tym wie, przyjechała, bo jest dla niej oczywiste, że może być Teresie pomocna.

Muzeum mieści się w centrum małego miasteczka, które uniknęło handlowego i przemysłowego losu Hadbury i teraz zarabia na swoje utrzymanie, ukazując starannie utrzymane budynki z towarzyszącymi antykwariatami, barami i restauracjami. Na zewnątrz muzeum umieszczono średniowieczne dyby, także starannie zachowane i opatrzone wyjaśniającym tekstem wypisanym gotykiem. Maurice się zatrzymuje, żeby zrobić zdjęcie, chociaż nie fotografuje samych dybów, ale chichocących nastolatków, którzy próbują umieścić nogi w otworach. Niewątpliwie posłuży to jako ironiczny podpis w książce.

Paulina przemierza sale z pogardliwą miną. Ogląda elegancko wyeksponowane cepy, kosy, sierpy i nożyce (zgrabne wyroby, zrobione specjalnie dla muzeum, ustawione pod białą ścianą), a także model mleczarni z masielnicami i wirówkami. Patrzy na sepiowe fotografie osobliwie ubranych ludzi, krzątających się wokół swoich zajęć: przy sianokosach z sierpami, żniwiarzy z kosami, kowali podkuwających konie, kobiety dojące krowy. Dzieci, zebrane w niedzielnej szkółce na grupowym portrecie, wyglądają ze swoich lat 1870 nieodgadnione, przygwożdżone jako muzealny eksponat. Unosi się jakaś zastygła dystynkcja wokół nagromadzenia tych rzeczy. Wystawione przedmioty oderwane od swoich funkcji stały się dekoracją, teksty objaśnień i zdjęcia dopraszają się naukowej obserwacji: spójrzcie, tak to było robione, taki jest postęp w pracy na wsi. „Ale to są ludzie, którzy niegdyś żyli w World's End - myśli Paulina - i to wcale tak nie było”. To są mężczyźni i kobiety, których duchy Paulina czasami przeprasza w poczuciu winy. Jakby im na tym zależało.

Muzeum poucza taktownie, pamiętając, że zwiedzający są tutaj z własnej woli i jeśli poczują się nadmiernie tyranizowani, pójdą do pubu albo kiosku z pamiątkami natychmiast zamiast później. Toteż informacje są powściągliwe, poparte przyciągającymi uwagę wystawami. Paulina zwiedza teraz pokój poświęcony wyjaśnieniu zmian w rolnictwie w osiemnastym i dziewiętnastym wieku. Jest tu model ukazujący wiejski system gospodarki polami przed ogłoszeniem aktu zezwalającego na przywłaszczanie gruntów gromadzkich za pomocą ogrodzenia, a także po wydaniu tego aktu, a więc: miniaturowy, intrygujący plan gruntów ornych, ugorów, pastwisk, łąk, lasów i gruntów wspólnych. Są oprawione w ramy kopie Aktu Ogrodzenia. Są wykazy wyliczające przykłady niezadowolenia mieszkańców wsi, wypisane wielkim drukiem i krótkimi zdaniem, wyrażające sprzeciw przedstawicieli poszkodowanych.

Paulina rozgląda się za resztą towarzystwa. Muzeum składa się z szeregu malutkich pokoi, tak że grupki zwiedzających często się rozdziela, może dlatego, że ludzie poruszają się w różnym tempie, a może z innych przyczyn. Paulina raz widzi całe towarzystwo w grupie, a raz nie. Teraz Maurice jest po przeciwnej stronie pokoju z Carol i Jamesem, i cała trójka ogląda jakieś wyroby metalowe. Teresa właśnie wchodzi z Luke'em śpiącym w wózek.

Paulina odczuwa jej obecność. Jest boleśnie świadoma wszystkiego, co Teresa robi. Widzi, że obserwuje Maurice'a. Rozpaczliwie udaje jawną obojętność, przechodzi od jednego przedmiotu do drugiego, ale przez cały czas dostrzega tylko Maurice'a.

Metalowe przedmioty, na które patrzą, stanowią wystawę wnyków i sideł.

- Och! - woła Carol.

James patrzy na rdzawe plamy, pozostałe na żelaznych zębach.

- Myślicie, że to krew?

- Niewątpliwie - zapewnia Maurice.

- Och, dajcie spokój! - zżyma się Carol. - Przecież by je wyczyścili, zanim tu wstawili.

James się oddala, przechodzi do następnego pokoju. Carol i Maurice zostają, jednak patrzą teraz raczej na siebie niż na wystawione przedmioty.

- To rdza, lecz nie krew - mówi Carol. Uśmiecha się, jakby opowiadali sobie dowcip.

- Niekoniecznie - odpowiada Maurice. - Może istniał jakiś argument, żeby utrzymać ten ślad, który może jest, a może nie jest krwią. Potwierdza autentyczność.

Nadal patrzą sobie w oczy. Jeśli zdają sobie sprawę, że są obserwowani, nie dbają o to. Czy to niewinność, czy beztroska? Teresa rzuca na nich spojrzenie z drugiego końca pokoju i Paulina wie, że o tym właśnie myśli. Czy wiedzą? Czy oni...? Czy też to tylko moja wyobraźnia?

- Rdza - upiera się Carol.

- No, dobrze, może masz rację - zgadza się Maurice. - Nigdy się nie dowiemy, prawda?

I razem kierują się do następnego pokoju, nie odwracając głowy, nie oglądając się na nikogo.

Paulina idzie na drugą stronę, żeby obejrzeć sidła. Widzi ostro zakończone zęby, prosty, ale skuteczny mechanizm. Teresa podchodzi do Pauliny i staje przy niej, patrząc, ale nie widząc sideł. A Paulinie się wydaje, że pokój wypełnia milczący krzyk. Czy to krzyk jakiegoś nieszczęsnego, dziewiętnastowiecznego robotnika? Czy też kontrolowana surowo rozpacz Teresy?

- To przerażające miejsce - zauważa Paulina. - Chodźmy stąd i zobaczmy, gdzie można się napić kawy.

Obiad w kuchni Pauliny. Pięć osób i bezcielesna obecność Luke'a, który od czasu do czasu wzdycha albo sapie przez nos, dając o sobie znać dźwiękiem dziecinnego alarmu. Drinki podano wcześniej w ogrodzie; zjedli już wędzoną makrelę, którą Paulina przygotowała na zakąskę, i są teraz przy *casseroles*. Maurice jest w świetnym nastroju. Zaplanował całą instrumentację wieczoru, sterując rozmową, eliminując oklepane tematy i podsuwając z entuzjazmem nowe. Swoją uwagą obdarza każdego z obecnych jak najbardziej

sprawiedliwie - z niewymuszoną poufałością zwraca się zarówno do Jamesa, jak i do Carol, podśmiewając się z przyjaciela w sposób, który wydaje się znamieny dla ich stosunku. Od czasu do czasu częstuje Teresę jakimś rzuconym na stronę słówkiem, i w jego głosie pojawia się intymna nuta. Zwraca się często do Pauliny, może dlatego, że od strony technicznej ona jest gospodynią, a może z innych, bardziej złożonych przyczyn. Teraz otwiera kolejną butelkę wina, które stanowi jego wkład do obiadu.

- Jeszcze jedna? - pyta Teresa.

- Jeszcze jedna. - Gładzi ją po ramieniu, jakby chciał ją sobie zjednać. - Zasłużyliśmy na nią, czy nie tak, James? Mieliśmy pracowity weekend.

James nadstawia kieliszek.

- Skoro tak mówisz. Choć to niemal nie wygląda na pracę - kilka godzin nad ósmym rozdziałem i rundka po muzeum.

- Bardzo mi się podobało to muzeum - mówi Carol. - Wygląda jak dekoracja do jednej z telewizyjnych adaptacji Hardy'ego. Chciałoby się tam mieszkać i chodzić w długiej spódnicy i szalu jak Tess.

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie w roli wiejskiej dziewczyny dojącej krowy - ripostuje James. - Ale mogłabyś grać taką rolę, gdyby cię odpowiednio przebrać.

Carol robi obrażoną minę. „Tak - myśli Paulina - gdyby odjąć tę malowaną koszulkę w twarzowym kolorze bławatków, dobrze dobranym do oczu, białe dzinsy i adidas, zburzyć tę ostrzyżoną za pięćdziesiąt funciaków fryzurkę, dodać trochę brudu i kilka powykręcanych palców, a będzie pasować do stereotypu. W sam raz taki maślany, różowoblond wygląd. Młodość, zdrowie, seks”.

Maurice się uśmiecha.

- A ciebie nie zachwyciło, Paulino? To muzeum?

- Nie - odrzuca Paulina. - Pokazówka. Nostalgiczny kicz. Może ktoś chce jeszcze dokładkę *casseroles*?

- O raju! - woła Carol ze śmiechem. - A to dostaliśmy odprawę!

Zerka na Maurice'a, który przygląda się Paulinie. Wydawałoby się, że jest zachwycony.

- Pokazówka? Powiedz nam coś więcej, Paulino. Nie sądziłem, że tak ostro to oceniłaś.

Paulina patrzy na niego chłodno. Ignoruje Carol.

- A gdzie ich cały pot i krew, pytam? Gdzie rachityczne dzieciaki, martwe niemowlęta, chroniczne choroby i nie leczone przypadłości? Gdzie ropiejące rany, bolące kości? Gdzie zimno, wilgoć i zżerający, codzienny wysiłek?

Carol krzywi się z niesmakiem.

- Z pewnością nie było aż tak strasznie. James wysuwa talerz w stronę Pauliny.

- Czy weźmie to pani za brak wrażliwości, jeśli poproszę o ostatnią dokładkę *casseroles*?

- Słuszna uwaga - zwraca się Maurice do Pauliny. - Muzeum jako zadanie kosmetyczne.

Paulina wrzuca *casseroles* na talerz Jamesa.

- Nie wątpię, że masz już cały rozdział na ten temat.

- Rzeczywiście, tak się składa, że mam. Dziecinny alarm wydaje płaczliwy dźwięk.

- Uuch... - mówi z troską Carol, spoglądając na Teresę. Jeszcze jeden bardziej kategoryczny lament. Teresa wstaje i wychodzi z pokoju.

- Ale wystawy w londyńskiej Tower nie są zabiegiem kosmetycznym - wraca do tematu James. - Narzędzia tortur. Lochy. Szafot.

- O, to co innego. Ludzie nie identyfikują się z tym tak samo. To przemoc historyczna, a więc było i minęło. Poza tym choroby i niewygody nie pasują do wyobrażenia, jakie Muzeum Wsi usiłuje przekazać. Wieś jest lepsza. Wieś jest zdrowsza. Wieś jest arkadią. - Maurice patrzy na Paulinę, oczekując aprobaty, ale Paulina zbiera z pewną gwałtownością talerze i nie zwraca na niego uwagi.

- To ciekawe - zauważa James. - Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Muzeum Przemysłu znienawidzi tę książkę. Tym lepiej zresztą. To wywoła kontrowersyjne recenzje i wzbudzi duże zainteresowanie.

- Czy mogę w czymś pomóc, Paulino? - pyta Carol.

- Nie, dziękuję. Są jeszcze sery, ale poczekamy, aż wróci Teresa.

- W takim razie gdzie tu jest wucecik? - pyta James.

- Na górze. - Paulina odwraca się do zlewozmywaka i wkłada talerze do mycia.

Za jej plecami Maurice i Carol rozmawiają o Muzeum Przemysłu w Potteries, które Maurice oglądał. Carol mówi, że chciałyby tam pojechać.

- Coś wymyślimy - przyrzeka Maurice. - I tak powinienem tam pewne rzeczy sprawdzić.

Paulina idzie do spiżarni po sery. Rozwija je, kładzie na desce i szuka krakersów. Kiedy wraca, widzi, że Maurice stoi za krzesłem Carol, sięgając po wino na kredensie. Przez moment widzi też, że jego druga ręka spoczywa na karku Carol, zanim się zsunie, żeby Maurice mógł napełnić kieliszki. Wraca James.

- Ależ masz mordercze schody, Paulino.

- Wiem. Trzeba bardzo uważać.

- Trochę wina, Paulino? - pyta Maurice. - Czy też zostaniesz przy białym?

- Przy żadnym.

Ostry ton jej głosu sprawia, że Maurice milknie. Paulina dostrzega w jego wzroku raptowny lęk, budzi się w nim ostrożność. I zaraz wygasa. Maurice odstawia butelkę na kredens, zajmuje swoje miejsce i przekonuje Jamesa, że muszą kiedyś wszyscy pojechać do Potteries. Teresa także wraca do pokoju.

- W porządku? - pyta Paulina. Teresa kiwa głową.

- Mam nadzieję.

Siada. Sery, a potem owoce krążą wokół stołu. Pokój jest zaśmiecony resztkami jedzenia i picia. Można by pomyśleć, że to zachęcająca scena. Biesiadna, swobodna. Ale Paulina zdaje sobie sprawę tylko z pajęczyny napięcia, z mocnych powiązań między tą a tamtą osobą, z nieprzeniknionego wyrazu oczu Teresy, ze sposobu, w jaki obecni spoglądają albo nie patrzą na siebie. Może jeden James jest z tej sieci wy-

łączony, je brzoskwinie; kosmyk czarnych włosów spada mu na czoło, podczas gdy mówi, przyjemnie zamoczony winem.

Jest poniedziałek. Wreszcie wyjechali - Carol i James. World's End rozpoczyna nowy tydzień pracy, Maurice w swoim gabinecie, Paulina w swoim, Teresa nadzoruje Luke'a. Traktor Chaundy'ego ryczy, jeżdżąc z jakimiś zleceniami tam i z powrotem, pszenica dojrzewa z godziny na godzinę. Paulina ucięła sobie pogawędkę z listonoszem, usłyszała przepowiednię pogody i dowiedziała się, że w nocy na głównej drodze było paskudne zderzenie. Zniosła pocztę dla Maurice'a i Teresy, zobaczyła, że nastrój Teresy się zmienił, a zacięty wyraz twarzy zniknął. I znowu coś się wydarzyło, coś zostało powiedziane albo uczynione i teraz humor Teresy jest już zupełnie inny. Wątpi we własne domysły. Jest w stanie remisji. Paulina widzi to i drży o nią. Wraca do domu, idzie na górę do gabinetu i zanurza się w przemyśle naftowym Morza Północnego. Dzwoni telefon.

- To ja. Chris.

- Cześć! - mówi Paulina. - Jak tam idzie poprawianie rozdziału?

- Hm, obawiam się, że nie idzie.

- Może powinien pan znowu wspiąć się na swoją górę. Albo na inną. Niech się pan odblokuje.

- Nie sądzę, żeby to pomogło - upiera się Chris. Pauza.

- Czy coś się stało? - pyta Paulina.

- Tak. Moja żona odeszła. Rzuciła mnie.

- Och! - Znowu pauza. - O Boże! - mówi Paulina. A potem ostrożnie: - Czy wie pan, dokąd poszła?

- Tak. Do matki.

- Aha. W takim razie sądzę, iż można śmiało przypuszczać, że wróci.

- Tak pani myśli?

- Tak myślę - twierdzi stanowczo Paulina. - Ale pana mocno trafiło. Musi pan sobie wszystko dobrze przemyśleć. To znaczy, w czym leży problem.

- Kiedy ja myślę! - żali się Chris. - Myślę jak szalony. Oczywiście tylko wtedy, kiedy nie gotuję, nie karmię dzieci i nie robię prania.

- Może nie podoba jej się mieszkanie w połowie drogi na walijską górę.

- Tak, to może być powód.

- Niech pan jej zaproponuje Swansea - podpowiada Paulina. - Może ta sztuczka się uda. To znaczy... między wami wszystko było dotychczas względnie dobrze, czy tak?

- Tak mi się zdawało.

- A gdzie mieszka jej matka?

- W małym miasteczku w Shropshire.

- Wobec tego daję jej tydzień - oznajmia Paulina. - Wróci. Niech pan każe dzieciom płakać w słuchawkę telefonu.

Późnym popołudniem Paulina, Teresa i Luke idą na spacer wzdłuż drogi dojazdowej aż do hodowli kurcząt Chaundy'ego tuż za szczytem wzgórza. Początkowo Maurice ma zamiar im towarzyszyć. Twierdzi, że potrzeba mu trochę świeżego powietrza. Jest już gotów do wyjścia, kiedy dzwoni telefon. Ktoś z Dziełstwa Anglii oddzwania na telefon Maurice'a.

- Idźcie - mówi, trzymając dłoń na słuchawce. - To mi chwilę zajmie. Może was dogonię.

- Dobrze - zgadza się Teresa.

Paulina widzi, że nadal jest w stanie remisji. Zdołała sobie wytłumaczyć, że wszystko jest w porządku, że się myliła, że błędnie sobie interpretowała to, co widziała albo słyszała, a co wbiło jej nóż w serce. „Oczywiście, on by nie... - przekonuje siebie. - Oczywiście, oni nie są...” I tak radośnie wyrusza drogą dojazdową na przechadzkę z Pauliną, wózek Luke'a grzechoce na wybojach, Luke śpiewa jakiś pean bez słów na pochwałę pszenicy, trawy, chłodnego błękitnego nieba.

Teresa także nie posiada się z radości. Dużo mówi; to nie skrępowana niczym paplanina, gdy umysł jest spokojny. Zawsze taka była - przechodziła od przygnębienia do ożywienia. I jej fizyczny wygląd odzwierciedla tę zmienność. Kiedy ogarnia ją depresja, staje się anonimowa; ma bladą, ściągniętą twarz, której się nie pamięta. Gdy jest rozradowana, tryska energią, oczy jej błyszczą, skóra lśni, twarz przykuwa uwagę. Teraz tak wygląda, gdy zwraca się do Pauliny, kończąc opowiadanie jakiejś anegdoty. A Paulina znowu widzi, jak ręka Maurice'a ześlizguje się z karku na szyję Carol, i ma obrzydliwe uczucie narzuczonego współudziału, oszustwa, zdrady.

Kiedy Teresa była dzieckiem, Paulina miewała sny, w których bezradnie patrzyła, jak mała puszcza się biegiem i wpada pod koła ciężarówki albo wypada z otwartych drzwi pociągu. Czasami te wydarzenia nie były snem, ale przerażającymi fantazjami na jawie, z których musiała się otrząsnąć, uwolnić - mimowolne przewidywania straszliwych wypadków. Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Paulina zdołała ustrzec Teresę przed dudniącymi kołami i rozwartymi szeroko drzwiami. Teresa jest już dorosłą kobietą, zdrową na ciele i umyśle, i teraz Paulina sobie uświadamia, że zła nie można wykryć ani przewidzieć, że może podejść spoza blasku promieni słonecznych w każdej chwili, że ona nic nie może na to poradzić i że w dodatku sama jest w to wplątana. „Sama do tego doprowadziłam - myśli, patrząc po ślubie na Teresę u boku Maurice'a. - Nie miałam takiego zamiaru, a jednak przyczyniłam się do tego”.

W łagodnym świetle popołudnia idą drogą razem, dalekie od porozumienia. Teresa mówi bez przerwy, a Paulina milczy, tak że w pewnej chwili Teresa zaczyna jej się ostrożnie przyglądać i zastanawiać, czy coś jest nie w porządku. Wspinają się po zboczu wzgórza, przystają na chwilę i uwalniają Luke'a z wózka, żeby mógł penetrować pas długiej trawy rosnącej wzdłuż żywopłotu. Idą aż na szczyt i zapuszczają się w kotlinę, gdzie na betonowej wyspie stoją dwa odizolowane od świata baraki, w których hoduje się kurczęta.

- To zupełnie jak więzienie - zauważa Teresa. - Nic dziwnego, że wpakowali je tutaj z dala od ludzkich oczu.

- Bo to nie hodowla kur, gdzie każda kura ma swoją klatkę. Byłaś tam w środku? Chyba jest tu akurat jeden z ludzi Chaundy'ego.

Na końcu drogi dojazdowej stoi samochód, jeden z tych wysłużonych pojazdów, które codziennie kursują obok World's End. Gdy kobiety się zbliżają, jakiś mężczyzna otwiera drzwi baraku i wychodzi.

Teresa macha do niego ręką.

- To ten, który zabrał Luke'a na swój traktor - wyjaśnia Paulinie. - Halo! Możemy zajrzeć do środka?

- Jak wytrzymacie ten smród.

Rzeczywiście, fetor aż bucha z otwartych drzwi, to nie przyjemny, organiczny odór gospodarstwa wiejskiego, ale coś wstrętnego i tak gęstego, że niemal widzialnego, jakieś zielonkawe miazmaty.

- Ratunku! - woła Teresa, a potem, kiedy już zaglądną przez smród w głąb straszliwej nory: - Boże ty mój... spójrz na to!

Cała podłoga ucieka przed nimi, falując, gdy człowiek Chaundy'ego, niosąc worek, wchodzi z powrotem do środka: fala kurczątek, żółta powódź, która przyplywa i odpływa, wiruje wokół pojemników z ziarnem, podmywa ściany, rozpada się tu i ówdzie na bezwładne pagórki puchu; robotnik podnosi je i ciska do wiadra.

- Co pan z tym robi? - pyta Teresa, widząc pełne wiadro nieżywych kurcząt.

- Wykładał je dla lisów - lakonicznie odpowiada człowiek Chaundy'ego. - Jak się tu przyjdzie w nocy - ciągnie dalej - one tam już czekają, człowiek widzi w ciemności cały krąg zielonych ślepiów.

Demonstruje im system, za pomocą którego działają urządzenia w barakach: oświetlenie automatycznie wygaszane, termostaty kontrolujące wentylację, mechanizm dostarczający nieprzerwanie strumień ziarna do pojemników. Jest wyraźnie dumny z technologii.

- Tu wszystko może samo funkcjonować, bez niczego - wyjaśnia.

- A co się stanie, gdy wyłączą prąd? - chce wiedzieć Paulina.

- Ba, wtedy jest do licha kłopotu. Musimy tu przyjechać i dopilnować wszystkiego.

W drugim baraku tłoczą się kurczęta w dalszej fazie rozwoju, mają dłuższe nóżki i piórka, fala jest głębsza, głośniejsza i bardziej szorstka, pokrywa niemal całą podłogę i unosi się wokół pojemników z ziarnem. Człowiek Chaundy'ego recytuje dane statystyczne: tyle i tyle ziarna na jednego kurczaka, przez pierwszych sześć tygodni przybierają na wadze tyle, a o tyle więcej później.

Przybywa Maurice. Przywędrował za nimi i stoi, zaglądną do baraku.

- A potem co? - pyta Teresa pracownika Chaundy'ego.

- Potem przyjeżdżają faceci od uboju. Zabijają je i rano pakują do skrzynek. A my przygotowujemy baraki na następny transport.

- Współczesne gospodarstwo wiejskie - mówi Maurice. - Sałatka z kurcząt na kolację, co?

Teresa podnosi Luke'a, żeby zobaczyć kurczaki.

- I pomyśleć, że ja mu czytam książeczki Beatrix Potter.

- Dobrze robisz. Inaczej nie wytworzyłbyś sobie właściwego obrazu wiejskiego życia. - Maurice kładzie rękę na ramieniu Teresy, a Paulina znowu czuje wewnętrzny niepokój.

- Mój mąż sobie pokpiwa - wyjaśnia Teresa człowiekowi Chaundy'ego stojącemu obok z workiem na ramieniu. - Ale przepraszam, zatrzymujemy pana.

- Nie szkodzi. Wyjmę jednego ptaszka dla dzieciaczka, niech sobie obejrzy.

Zrzuca worek i wchodzi w kotłującą się masę kurczaków. Wraca z upierzonym ptakiem, który ma oczka jak owady, i przytrzymuje go przed buzią Luke'a. Luke patrzy na ptaka. Na jego twarzy odbijają się rozmaite uczucia: zdziwienie, niedowierzanie i wreszcie odmowa, kiedy chwyta nogę Teresy obiema rączkami.

- No widzisz, Luke - tłumaczy Maurice. - Kurczę *tika massala*. Albo inaczej: *coq au vin*. - Spogląda na Paulinę, czekając na uśmiech potwierdzenia, na aprobatę tego żartu, ale Paulina odwraca wzrok.

- No cóż - podsumowuje pracownik Chaundy'ego. - Mają krótkie życie, ale wesołe. Nic właściwie o nim nie wiedzą. - Upuszcza kurczaka z powrotem w falującą gromadę i podnosi worek.

- Dziękuję, że pan nam to pokazał - mówi Teresa. - Nie będziemy już panu przeszkadzać.

Ruszają z powrotem w dół zbocza.

- No i co - pyta Teresa Luke'a. - Czy to nie było ciekawe? Odtąd już Misio Pysio będzie o tym pamiętać.

- A już tym bardziej kurczęta - dodaje Maurice. Znowu spogląda na Paulinę. - Twoja matka - zwraca się do Teresy - uważa, że moje dowcipy nie są zbyt wybredne.

- Tak się składa, że wcale nie myślałam o tobie, Maurice - odpowiada Paulina.

Maurice robi minę skarconego uczniaka, a Teresa wydaje się zmieszana. Dlaczego Paulina w tak niegrzeczny sposób psuje przyjemną przechadzkę? Maurice nie zwraca uwagi na tę niepożądaną nutę, na przytyk będący niemal afrontem i zaczyna rozwódzić się nad metodami stosowanymi w gospodarstwie.

- Farmerstwo to jedyny przemysł, który udaje, że nic takiego nie ma - mówi. - Farmerstwo udaje, że to praca dla dobra publicznego, dlatego jest zwolnione od kontroli czy krytyki.

Teresa wtrąca:

- Tak, ale... - i: - Sądziłabym, że... - i: - Ale co, jeśli... Luke znowu zaczyna śpiewać do falującej pszenicy, a Paulina idzie trzy kroki za nimi i zauważa różne rzeczy. Zauważa, że Maurice jest bardzo z siebie zadowolony, że jest jak kot, który posmakował śmietanki, że jest przepełniony skrytą satysfakcją. Zauważa to wszystko, ponieważ zna się na takich sprawach, i w gruncie rzeczy naprawdę nie myśli o Maurice'u, kiedy wędrują we troje w dół zbocza do World's End.

Paulina i Harry przy stole w kuchni jedzą śniadanie. Rzekomo jedzą śniadanie. Harry pije kawę. Paulina ani nie je, ani nie pije. W powietrzu wisi milczenie. Paulina patrzy na Harry'ego, który nie odwzajemnia jej spojrzenia. Teresa wpada do kuchni - nogi jak patyczki, koński ogonek.

- Mamo, gdzie moje pantofle gimnastyczne?

- W łazience, obok kosza z bielizną do prania. Teresa wybiega.

- Dlaczego? - pyta wreszcie Paulina. Nie: dlaczego właśnie ta? Nie: dlaczego w ogóle ktoś? Po prostu: dlaczego?

Teraz Harry spogląda na nią. Nie przesuwając palca w kierunku jej dłoni. Tylko patrzy. Potem wzrusza ramionami.

- Takie rzeczy się zdarzają, Paulino - odpowiada. - Nie mogę nic na to poradzić.

Rozdział trzynasty

Paulina jest z Luke'em w ogrodzie. Pilnuje go, podczas gdy Teresa odpoczywa. Pilnowanie Luke'a polega na podążaniu za nim w wędrownie wokół i na interweniowaniu, kiedy zaplące się w coś ryzykownego. Luke kluczy po trawniku i pada na kolana na skraju prerii, jaką jest dla niego sad, badając wysoką, falującą trawę. Paulina usiłuje zobaczyć świat jego oczami: chwiejny jak amatorski film, rozkołysany i ruchomy, chwilami podnoszący się tak, że przybija cię do ziemi, pełen niezwykłych dziwów. Tutaj wszystko się może zdarzyć i zdarza się. Kobieta może przemienić się w drzewo, mężczyzna w karalucha. Świnie mogą latać. Świat Luke'a to fantazja stająca się jawą, świat, który ma wymiar wiecznej niespodzianki, gdzie nie ma z góry powziętych sądów i niewiele się oczekuje. Nie ma tu przeszłości ani przyszłości, istnieje jedynie wzburzona, niespokojna teraźniejszość.

Luke znalazł coś w wysokiej trawie i chce włożyć to do buzi. Paulina rzuca się na niego i odbiera mu kamyk. Dzieciak lamentuje obrażony. Paulina rzuca mu w trawę piłkę. Mały przestaje płakać i niezdarnie ją goni.

Wszystko ma ogromne znaczenie, ale już po chwili je traci. Czy to dobry sposób na życie? - zastanawia się Paulina. Czy to prawdziwy raj dla zmysłów czy też surowe więzienie? Czy Luke jest uwolniony, czy spętany? Jedno jest pewne: człowiek nie chciałby wrócić do krainy, w której Luke żyje, wiedząc to, co wie teraz.

Chłopczyk zbliża się do kępki pokrzyw. Paulina podnosi go i niesie, żeby obejrzał wielką jabłoń. Sadza go na jednej z gałęzi, trzyma, żeby nie spadł, i porusza gałęzią w dół i w górę. Luke krzyczy z radości.

Teresa wychodzi z domu. Brnie przez trawę w ich kierunku.

- Twój telefon nie przestaje dzwonić - oznajmia.

- Wiem - odpowiada Paulina. - Zaraz przestanie, zostaw go. Mówiąc to, czyta z twarzy Teresy, że okres remisji minął.

„I co teraz? - myśli. - Co teraz?”

Matka Pauliny nie czytała z twarzy córki. Może nie dbała o to, co tam zobaczy. Jeszcze bardziej prawdopodobne było, że jej mowa i odniesienia nie należały do tych, które by rozumiała. Matka Pauliny żyła, unikając rozpaczliwie wszystkiego, co określała jako nieznośne. Przede wszystkim zaś męczyły ją trudności emocjonalne. Jeśli budowało się życie z dostateczną ostrożnością, można było ich uniknąć. Kie-

dy matka Pauliny zrozumiała, że córka tak nie postępuje, lecz w gruncie rzeczy każdym postępkim otwiera się na to nieznośne zmęczenie, odwracała głowę, ignorując problem, prawdopodobnie dopóty, dopóki nie zatruł jej samej.

W dniu, w którym Paulina przyszła, ponieważ są sprawy, o których trzeba powiedzieć bądź to z rozpaczy, bądź też, że tak wypada - jej matka z determinacją zaczyna się bronić.

- Odchodzę od Harry'ego - oznajmia Paulina.

- Jeśli naprawdę masz taki zamiar - mówi matka, wyglądając przez okno - a mam nadzieję, że nie, to uważam, iż popełniasz duży błąd.

- Mamo - tłumaczy Paulina. - Harry sypia z inną kobietą. A przed tą kobietą była inna, a przed nią jeszcze inna. I jeszcze inna.

Matka Pauliny się zżyma. Jest mocno zirytowana. Spogląda z wściekłością na Paulinę. W końcu ryzykuje:

- Może to jakieś nieporozumienie.

Paulina wbija w nią wzrok. Matka znowu na nią spogląda, a to, co widzi w utkwionym w siebie wzroku, zmusza ją do milczenia.

- No cóż, twój ojciec i ja uważamy, że to wielka szkoda, jeśli tak jest - zauważa w końcu.

Paulina niemal jej nie słyszy. Jest daleko w ciemnym tunelu bez żadnego wyjścia.

- Czy wiesz, co ci powiem? - oznajmia. - Wolałabym, żeby umarł.

- Nie wiesz, co mówisz - oburza się matka. - To straszne. Nie możesz tak myśleć!

- Och, myślę tak. Gdyby umarł, byłabym nieszczęśliwa. Zwyczajnie i po prostu tylko nieszczęśliwa. I to byłoby proste i uczciwe w porównaniu z tym, co teraz czuję.

Matka wbija się w narożnik kanapy. Nie ma ucieczki. Nieznośne zmęczenie przebiło sobie obrzydliwą drogę do jej opancerzonego życia. Zaalarmowana, obserwuje Paulinę z czymś bardzo podobnym do obrzydzenia.

- Nawiasem mówiąc - mówi Hugh - dzwonię już trzeci raz. Automat brzęczy ciągle, że jesteś nieosiągalna. Myślałem, że jesteś niewolnicą swojego biurka na tym odludziu. Sądziłem, że to był powód wygnania.

- Byłam w ogrodzie z Luke'em.

- Jak tam książka o smoku?

- W stanie zawieszenia. Autor przechodzi domowy kryzys. Teraz siedzę nad ropą Morza Północnego. Jak interesy?

- Pomalutku. Znalazłem coś ciekawego w tym tygodniu. Wykonawca testamentu urządził wyprzedaż. Czyjaś ciotka właśnie zmarła w pewnym domku w Suffolk, a w jej bibliotece była kupa książek z Hogarth Press, istna kopalnia złota...

Paulina słucha Hugh'a i odtwarza sobie ten widok: Hugh w płaszczu przeciwdeszczowym, z wysłużoną teczką, grasuje w jakimś pokoju zalatującym wilgocią i starymi książkami.

- Siostrzenica była pełna szczęścia. Paskudny typek. Stała tam i aż się oblizywała, a w miarę jak ceny szły w górę, planowała już wakacje na Bahamach ze swoim przyjacielem, i założyła się, że chyba nie-jedne.

- No tak - odpowiada Paulina - oto masz swoje książki. Może człowieka zwalić z nóg taki efekt. Ja z nich żyję, ty także, a ktoś, kto na to nie zapracował, hula sobie na Karaibach. Oszukańcza rzecz te książki.

- A jak naszemu przyjacielowi Maurice'owi idzie jego dzieło?

- Nieźle, o ile mi wiadomo.

Słuch Hugh'a jest bardziej wyostrzony, niż można by przypuszczać.

- Czy coś jest nie w porządku? Wydajesz się trochę... spięta.

- Nic mi nie jest. - Paulina dostraja ton swojego głosu do słów. - Wszystko świetnie. Maurice pisze swoją książkę. Ja wtrącam się do cudzych. Teresa i Luke cieszą się każdym dniem. Pszenica rośnie, a jej cena także, warta już całe pięć tysięcy funtów.

- Nie zdaje mi się, żebyś była w dobrym nastroju - orzeka Hugh. - Potwierdzasz moje najgorsze obawy co do wiejskiego życia.

Samochód Chaundy'ego zbliża się do World's End i Paulina wychodzi przed dom. Nie jest specjalnie skłonna do wymiany grzeczności, ale przyzwoitość tego wymaga. Chaundy zwalnia, zatrzymuje się, odwraca głowę.

- Ani śladu deszczu - mówi Paulina, która zna język odpowiedni do sytuacji.

- Tak czy siak, za późno na deszcz - zauważa Chaundy cierpko. Oczywiście rozmowa dotyczy pszenicy, która stoi wokół nich sztywna i nieruchoma.

- A co by teraz mógł zrobić deszcz? - pyta Paulina.

- Położyć ją czy nie? - odpowiada Chaundy. - Jeden porządny grzmot i całe pole się kładzie. - Dodaje gazu, włącza bieg. - No dobra, lepiej już pojedę. - I peugeot z brzękiem dalej toczy się traktem.

Paulina zawija kuchenne śmieci w lokalną gazetę i w czasie tej roboty czyta kronikę wypadków. Kostki od kurczaków, woreczki po herbacie, obierki ziemniaków walają się na sprawozdaniach z bójk przed pubami w sobotnią noc, na notatkach o buńczucznych młodych kierowcach zwałonych w zderzeniu samochodów, na wiadomościach o podpalonych stodołach Holendrów i o wandalach ze szkół podstawowych. Ta spokojna okolica najwyraźniej pęcznieje od niepokoju. Jest go tutaj więcej, niż można zobaczyć na własne oczy. Paulina odsuwa liście zwiędłej sałaty, żeby przeczytać, iż w centrum Hadbury ktoś kogoś zadźgał nożem we wczesnych godzinach niedzielnego ranka. Pewien farmer jest oskarżony o wylewanie nieczystości do miejscowego potoku. A piękna pogoda wciąż bije rekordy. Rolnicze wystawy cieszą się niespotykanym powodzeniem. Jakiś skandynawski turysta dostał słonecznego udaru w czasie wycieczki rowerowej.

- Tu masz pierwszą powieść - oznajmia Paulinie jej dawna koleżanka. - Bardzo chcemy, żebyś to zrobiła, skoro tylko uporasz się z książką o ropie naftowej. Psychologiczny dramat w środowisku teatralnym. Jak się na to zapatrujesz?

- Jeśli autor ma uregulowane życie rodzinne i nie mieszka na walijskim wzgórzu. Przepraszam... Tak, wezmę to.

- Świetnie - mówi koleżanka. Przechodzi do ważniejszych spraw i gawędzi o sprawach zawodowych. - Ale, ale - dodaje - widziałam niedawno Maurice'a. Jakiś tydzień czy dwa tygodnie temu. Na lunchu. - Wymienia restaurację obok Covent Garden. - Myślałam, że zaszył się na wsi tak jak ty.

- Wpada czasem do Londynu - wyjaśnia Paulina. - W poszukiwaniu kogoś z Urzędu Turystyki czy coś takiego.

- No, to nie był Urząd Turystyki, którego szukał, kiedy go widziałam. Ta buzia kogoś mi przypominała. Z naszej branży. Krótkie blond włosy.

Paulina milczy.

- W każdym razie - koleżanka dodaje pośpiesznie - jak mówię, widziałam go. Wydawał się bardzo zajęty, więc nie podeszłam, żeby zamienić choć słówko. Tak... Cieszę się, że tyle zrobiłaś tego lata. Boże, jak ja ci zazdroszczę. My się tu smażymy w Londynie. Wyślę ci ten maszynopis w przyszłym tygodniu. No, to na razie.

Paulina wygląda przez okno, patrzy na pszenicę, na kołyszące się skrzydło wzgórza, na grzebię drzew na widnokregu. Myśli o koleżance bez wzruszenia. A potem o Maurice'u. I w końcu o Teresie. Myśli o innej Teresie, tej, która zniknęła, która siedzi zgarbiona, zrozpaczona na ławeczce w oknie wykuszu w nowym domu.

- Słuchaj - mówi do Teresy. - Wszystko będzie dobrze. Za jakiś czas. Zobaczysz. Poczekaj jeszcze trochę.

Oczy Teresy błyszczą od łez. Słońce pada przez okno na jej bladą twarzyczkę i oczy lśniące od udręki.

- Nie lubią mnie - żali się. - Diana powiedziała, że mogę z nią iść w parze, a dzisiaj nie chce nawet ze mną rozmawiać. Po prostu odchodzi. Tylko ja nie mam żadnej przyjaciółki.

Teresa ma osiem lat, a życie obnaża już swoje kły.

- To dlatego, że jesteś nowa - zdecydowanie przekonuje Paulina. - Popatrz, jesteś w tej szkole dopiero półtora miesiąca. Poczekaj trochę.

- Nienawidzę tego miasta - płacze Teresa. - Nienawidzę tej szkoły i tego miasta; nienawidzę tego domu. Tu nigdy nie będzie dobrze.

- Będzie, będzie - uspokaja ją Paulina. Chce powiedzieć Teresie, że to wszystko jest niczym w porównaniu z innymi sprawami, ale oczywiście to też jest ważne, jest. Teraz, w tej chwili, dla Teresy nie ma nic gorszego, wpadła w otchłań. A Paulina cierpi za nią, ale jest bezradna.

Harry wchodzi do pokoju. Widzi płaczącą Teresę.

- Co się stało, kochanie? - zwraca się do Pauliny. - Nie czekaj na mnie z kolacją, pewnie wrócę późno. Nie wiesz, gdzie jest moja skórzana kurtka? Zniknęła w tajemniczy sposób.

- Nie mam pojęcia - odpowiada Paulina. - Chyba zostawiłeś ją na wydziale.

- Cóż, może i tak. - Harry znowu spostrzega Teresę. - Co jej się stało?

- Jest nieszczęśliwa - odpowiada Paulina. - W szkole nie wszystko się dobrze układa.

Harry obejmuje Teresę ramieniem i łechce ją w ucho.

- Rozchmurz się, dziecinko. Życie jest snem. „Płyn, płyn, łódka moja, rzeczką dniem za dniem. Płyn wesoło, płyn radośnie, życie jest tylko snem”. Pamiętasz?

Tak, często śpiewał tę piosenkę małej Teresie, był taki czas.

- Gdybyż tak było - wzdycha teraz Paulina.

Teresa się wyrzywa.

- Nie jestem małym dzieckiem, chyba wiesz. Rzucił mi pełne wściekłości spojrzenie.

- Ależ, kochanie... - Patrzy z niewinną miną na Paulinę, która odwraca wzrok. - Hm, cóż... muszę pędzić. To na razie, do zobaczenia.

Harry wychodzi. Jakby przez pokój przeleciał irytujący powiew wiatru. Wszystko znowu jest ciche i spokojne. Z piersi Teresy wydobywa się bezwiedny, suchy szloch.

- Coś ci powiem - przerywa płacz Paulina. - Posiedź i pooglądaj TV, a zjemy sobie kolację na tacy.

Teresa znowu wzdycha.

- Okay! - Wyciera nos wierzchem dłoni. - Może być cheeseburger i chipsy?

- Przepraszam, to znowu ja - odzywa się Chris Rogers. - Czy nie przeszkadzam? Niech pani tylko powie, a ja się wyłącze.

- Ależ nie! - Paulina gasi radio i bierze telefon na kanapę.

- Dzieciaki już śpią i to jedyne chwile, jakie mam dla siebie.

- A więc jeszcze nie wróciła?

- Nie.

- Czy... rozmawiacie o tym? - pyta Paulina delikatnie.

- Przeprowadzamy negocjacje, można by tak to nazwać. Przyznam się, że już mnie to doprowadza do szału. Właśnie dlatego dzwonię. Przepraszam, ale zwracam się do pani jak do ostatniej deski ratunku.

- Nic nie szkodzi - mówi Paulina. - Moim zdaniem praca redaktora przypomina czasem udział adwokata w rozprawie sądowej. Czy żona wciąż mieszka u matki?

- Tak. Szczerze mówiąc, zdaje mi się, że jej matka wtrąca swoje trzy grosze.

- Jej matce - upomina Paulina surowo - bez wątpienia leży na sercu dobro dziecka. Nie może pan jej za to winić. Ona też się niepokoi. Czy one obie chcą, żeby pan się wyprowadził z tej góry?

- Hm... no tak. Głównie to, bo inne sprawy są do omówienia. Właściwie sam już mam po dziurki w nosie tej góry. Gadałem z jednym znajomym w Swansea, żeby mi tam poszukał coś niedrogię. Czy mogę panią o coś spytać?

- W granicach rozsądku.

- Czy moja książka to chała?

- Nie.

- Jest pani pewna? - pyta Chris Rogers niespokojnie.

- Niech pan posłucha - tłumaczy Paulina. - Okazał pan tej książce szacunek, pisząc ją. Teraz niech pan się tego trzyma i czeka, co dalej.

- Tak - zgadza się Chris pokornie.

- To nie jest chała. Jest oryginalna i prowokująca.

- Cały czas się zastanawiam, czy wybrałem właściwy zawód.

- No cóż, może i nie - odpowiada Paulina. - Na pewno wybrał pan nie najłatwiejszą drogę w życiu. Ale to inna sprawa. Książka to osobna rzecz. Książki mają tendencję do życia własnym życiem.

- Ach, cała ta bzdura... - niecierpliwi się Chris. - Nie wiedziałem, że pani też się tym interesuje.

- Nie mówię o poważnej krytyce - wyjaśnia Paulina. - Mówię o prawdach oczywistych. Niech pan zostawi książkę jej własnemu losowi. To o panu musimy teraz myśleć. Kiedy pan ostatni raz... prowadził negocjacje?

- W południe. Czy uważa pani, że powinienem zadzwonić wieczorem?

- Ja bym się dłużej nie namyślała i zadzwoniła.

Jest dzień tak miazdzącego upału, że nikt się nie odważa wyjść z domu. I coś dziwnego dzieje się z pszenicą. Wydaje się, że syczy. Paulina otworzyła wszystkie okna i ten dźwięk wchodzi przez nie jak odgłos niespokojnego morza ukradkiem otaczającego dom.

* * *

- Cześć! - mówi Maurice.

Wchodzi do ogrodu ze szklanką białego wina w dłoni. Jest wczesny wieczór. Teresa układa Luke'a do snu. Paulina siedzi na ławce na skraju trawnika i czyta. Maurice pytająco kieruje szklankę w jej stronę.

- Nie, dziękuję.

Maurice stoi, popijając wino i patrząc na nią znad szklanki. Nie przysiada się.

Paulina zaznacza stronę liściami i zamyka książkę. Patrzy na Maurice'a - na znajomą, trójkątną twarz, lekko haczykowaty nos, sprężyste włosy. Kiedyś była to twarz obcego mężczyzny, z którym przypadkowo rozmawiała na jakimś przyjęciu. Ta nie mająca w sobie nic niezwykłego wymiana zdań przebiega jej przez myśl i Paulina znowu ją przeżywa, lecz teraz obciążoną tym wszystkim, co z niej wypłynęło: Teresą, Luke'em, tą chwilą tutaj, w World's End. „Ja to zrobiłam - myśli - to wszystko przeze mnie. Moja wina. Owego wieczoru powinnam była zostać w domu z bólem głowy”.

- Za gorąco dzisiaj - zagaduje Maurice. Paulina potakuje.

- Czy to prawda, że komputery mogą zacząć szaleć przy pewnej temperaturze?

Paulina oznajmia, że nie słyszała o takim wypadku.

Maurice opowiada o swojej pracy. Pracuje teraz nad ósmym rozdziałem. Porusza w nim temat, jak można posłużyć się nostalgicznym obrazowaniem w reklamie. Maurice zgromadził imponujący wachlarz przykładów. Stoi i peroruje o reklamie benzyny i pojęciu odległej, nie zaludnionej okolicy, o whisky i kulcie przyjemnego spędzania czasu. Właściwie to nawet interesujące. Paulina słucha jednym uchem. A Maurice mówi, nie spuszczać z niej oka. Oboje zdają sobie sprawę z podtekstu, z czegoś nowego i niepokojącego, co wyziera spod powierzchni słów, którym Paulina na pozór się przysłuchuje. Jak gdyby wzajemnie się obserwowali z wielkiego dystansu, niedowierzająco i ostrożnie. Oboje czekają, z której strony wyskoczy to kocisko. „Co robisz? - myśli Paulina. - Co zrobiłeś?” I rozumie, że Maurice także myśli: „Co ty wiesz? Co zrobisz?”

Z otwartego okna domu dolatuje głos Teresy, która mówi coś do Luke'a, a on odpowiada jej bez słów, w swoim języku.

Paulina podnosi oczy znad porannej kawy na dźwięk zapuszczanego silnika. To samochód Maurice'a. Obserwuje, jak daje wsteczny bieg, wyjeżdża na trakt i rusza w kierunku szosy. Jest ósma piętnaście.

O dziewiątej trzydzieści listonosz zostawia pocztę w skrzynce przy furtce. Teresa nie wychodzi, więc Paulina bierze listy do ogrodu, gdzie Luke wskakuje i wyskakuje z plastikowego baseniku.

- Właściwie wszystko do Maurice'a - informuje o listach Paulina.

- Maurice będzie w Londynie do piątku - oznajmia Teresa tonem całkowicie neutralnym. Wypracowana, bolesna neutralność.

- Ach tak. Nie wiedziałam, że wyjeżdża.

- Myślałam, że ci mówiłam - odpowiada Teresa bez namysłu, odpychająco. Najwyraźniej walczy ze sobą, żeby zachować obojętną minę. Paulina widzi, że jest zacięta i pełna napięcia.

- Może i mówiłaś. W każdym razie... - Paulina kładzie listy na ławce.

- Dzięki.

- Jeśli ci potrzebny samochód, weź mój. Ja nigdzie nie jadę.

- O tak, dziękuję. Może później pojedę do wsi.

- W porządku. Daj mi znać, jeśli jest coś, w czym mogłabym ci pomóc.

Teresa przygląda jej się uważnie.

- Gdybyś chciała na chwilę pozbyć się Luke'a.

- Ach, tak - odpowiada Teresa.

Paulina odchodzi. Zdaje sobie sprawę, że Teresa jest nieosiągalna. Odcięła się od wszystkiego, żyje za mgłą swojej obsesji. Wszystko inne nie ma znaczenia.

Paulina stoi naprzeciw Harry'ego w zmierzchającym świetle dnia. Stoi tak daleko, jak tylko może, ponieważ gdyby się zbliżyła, chyba nie byłaby w stanie wypowiedzieć tego, co chce powiedzieć. Pokój jest ciemny, gdyż siedziała czekając na tę chwilę, kiedy zapadnie zmrok, a była zbyt przejęta, żeby zapalić światło. A teraz nareszcie stoi przed nią Harry wciąż jeszcze z przerzuconym przez ramię płaszczem, którego nie zdołał odłożyć, ponieważ zatrzymało go to, co ona powiedziała, co mówi.

- Nie wierzę ci - oświadcza Paulina. - Nie ufam ci i nigdy nie będę ufać, a nie mogę dłużej żyć w stanie ciągłej wątpliwości. Kocham cię, ale proszę Boga, żebym nie kochała.

TLR

Rozdział czternasty

Minęła połowa lipca i wszystko już dojrzało. Wysokie płowe trawy powiewają po obu stronach drogi, czuby barszczu zwyczajnego zmieniły barwę z kremowej na brązową. A pola zimowej pszenicy są koloru trawy. Krajobraz jest płowozieloną szachownicą pociętą kratami żywopłotów. Drzewa - to mroczne, zadumane postacie. Siano skoszone; pola, na których rośło, są pokropkowane błyszczącymi, czarnymi bębami z plastiku. Lato już przekroczyło swój szczyt, rok zaczyna się przechylać. Co się stało z wiosną? Jak to wszystko mogło się stać w ciągu kilku bystro rwących tygodni? Paulina rozumie, że to wszystko działo się na jej oczach, a jednak teraz zdaje sobie tylko sprawę z ostateczności zmiany. Krajobraz jest nie-stały. Nieodwracalnie pędzi naprzód, zamknięty we własne nieczułe cykle.

Maurice już wrócił. Słyszała jego samochód późno wieczorem, ale nie wyjrzała. Tego rana widziała go z okna w ogrodzie, gdzie przez chwilę pilnował Luke'a. Trzymał go za rączkę, gdy obydwaj okrążali trawnik, rzucał Luke'owi piłkę - on, ojciec. A potem wyszła Teresa i Paulina się odwróciła. Nie będzie podglądać. To, co jest między nimi, nie powinno jej obchodzić. Tylko że, oczywiście, obchodzi.

Przyjeżdżają znowu na weekend tamci dwoje, na to wygląda. Carol i James. Teresa wcześniej wyrzuciła z siebie tę informację z tą desperacką neutralnością, która wchodzi jej już w nawyk. Maurice potrzebuje Jamesa, żeby przejrzeć z nim rozdział dziewiąty i dziesiąty. Nie, nie mogli tego zrobić, gdy Maurice był w Londynie, ponieważ za długo trwało sprawdzanie informacji i spotkania z ludźmi. Nie, Maurice nie może po prostu posłać Jamesowi kopii, bo muszą przejrzeć to razem.

Nie pytaj, proszą oczy Teresy. Oczy, które są puste i niczego nie zdradzają. Nie zadawaj pytań. Nic złego się nie dzieje. A gdyby nawet się działo, to nie możesz nic uczynić.

Paulina podejmuje słuchawkę i odkłada ją ponownie, kilkakrotnie w ciągu godziny. Czy mam to zrobić? Czy też nie?

W przeszłości tego nie chciała. Ignorowała aluzje, zawoalowane sugestie. Mówiła sobie, że to tylko babskie gadanie, plotki, że to byłoby nieładnie wobec Maurice'a zwracać uwagę na coś takiego. „I cóż z tego, że miał kilka przyjaciółek? - myślała. - Czego można się było spodziewać, Maurice ma czterdzieści cztery lata, nie można oczekiwać, żeby było inaczej”.

Stara znajoma odbiera telefon od razu.

- Tak? Paulina! Miło cię słyszeć! - Stara znajoma, za którą Paulina wcale nie przepada, a która zna Maurice'a od wielu lat, dłużej niż Paulina, lepiej niż Paulina.

Paulina ma alibi, pretekst, dlaczego dzwoni ni stąd, ni zowąd. Jakieś skomplikowane zawodowe pytanie, które znajoma z wielką przyjemnością szczegółowo z nią omawia, dopóki w końcu temat nie zostaje wyczerpany i można zwrócić rozmowę na tory bardziej osobiste, co - jak Paulina z góry wiedziała - na pewno się stanie, a już na pewno zacznie się omawianie spraw, które interesują obydwie.

- A jak tam Maurice? - pyta znajoma. - Mój Boże, dotąd nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że jest żonaty.

W jej głosie jest pewna nutka, lekko lubieżna nutka, którą Paulina przewidywała i która ją mierzi. Cóż, sama o to prosiła.

Maurice ma się dobrze, odpowiada. Zajęty swoją książką. Zajęty, kropka. Pozwala, żeby w te słowa wkradł się leciutki ton niesmaku. Pozwala sobie na zachęcające milczenie, w które znajoma wskakuje. Mówi o Maurice'u. Opowiada o nim anegdoty, które mają być zabawne, ale które w mniejszym czy większym stopniu dyskredytują Maurice'a. Ilustrują dobitnie, że zajmuje się tylko swoimi sprawami, ukazują jego niezachwiany egotyzm. Podczas gdy kobieta mówi, Paulina rozpoznaje daleki dźwięk ostrzonej siekiery. Siekiera ma swoje ostrze. Niegdyś, w swoim czasie, ta kobieta była na tyle bliska Maurice'owi, że te sprawy miały dla niej znaczenie. Paulina się zżyma. „Sama tego chciałaś” - powtarza sobie.

O tak, mówi znajoma, to cały Maurice. To dla niego typowe. Ale przecież on potrafi oczarować nawet ptaki, tak że do niego zlecą z drzew. Zawsze był dobrym kompanem. Może teraz jest inaczej, może małżeństwo... Znajoma pozwala sobie tutaj na zachęcającą pauzę, którą Paulina wypełnia jakimś dyplomatycznym chrząknięciem, a tamta natychmiast znowu zaczyna swoje wynurzenia. Może Maurice teraz się zmienił, mówi, może tylko potrzebował miłości dobrej kobiety. - Śmieje się. - Ale muszę powiedzieć, że kiedy się przyjaźniliśmy, to - jeśli idzie o kobiety - Maurice należał do mężczyzn, dla których trawa zawsze jest bardziej zielona po drugiej stronie płotu. Rozumiesz, co mam na myśli?

Paulina mruczy, że rozumie, co to znaczy. „I mam już tego dość” - myśli. Włącza się ponownie do rozmowy, przesuwa ją na inny tor, chce zakończyć. Kilka minut później jest znowu sama. Odczuwa wstręt do tamtego, zwierającego się głosu. Ma wstręt do samej siebie.

Paulina wycofuje się na tyle, na ile możliwe jest wycofanie się w parametrach World's End. Unika Maurice'a. Nie sprawia jej to trudności, skoro jedynym wspólnym terytorium jest ogród. Paulina więc zawsze może sprawdzić, czy Maurice tam przebywa, i dostosować do tego swoje wyjście. Zdaje się zresztą, że Maurice robi to samo, ponieważ się nie pojawia, gdy ona siada na ławce pod wieczór albo kiedy przychodzi na chwilę do Teresy i Luke'a.

Teresa próbuje zachowywać się, jakby jej to nie obchodziło. Wyczuwa zaniepokojenie Pauliny, więc usiłuje zakamufłować własny niepokój. Z determinacją opiekuje się Luke'em, a gdy Paulina jest w pobliżu, próbuje nawiązać z nią błahą rozmowę - coś o pogodzie, o roślinach w ogrodzie, o poczynaniach Luke'a. Ta dzielność tak bardzo martwi Paulinę, że coraz trudniej jest jej przebywać z Teresą.

Paulina siedzi w swoim gabinecie i rozważa to wszystko, najwięcej jednak myśli o Maurice'u.

- To znowu ja - mówi Chris Rogers. - Chciałem tylko powiedzieć, że chyba udało mi się pokonać przeszkody.

- Aha. Z tamtym rozdziałem?

- Nie, nie. Z moją żoną.

- Naturalnie - pojmuję Paulina. - Przepraszam. Wraca do pana?

- Hm, powiedzmy, że zaczyna robić pewne obietnice. A jedno z dzieci dostało gorączki, co też pomaga. Żona trochę się tym denerwuje.

- No tak, na pewno, wyobrażam sobie.

- Ale z tym sobie dobrze radzę - broni się Chris. - Daję mu calpol, a jutro zabieram go do lekarza.

- Brawo - chwali Paulina. - Jest pan dzielny.

- W każdym razie... skoro rzeczy się mają trochę lepiej, uważałem, że muszę podzielić się dobrymi nowinami. Jak dobrze pójdzie, może niedługo znów zabiorę się do tego rozdziału.

- Czekam na to - kończy Paulina.

Paulina patrzy przez okno i spostrzega w ogrodzie Teresę i Maurice'a. W ciągu paru sekund odwraca wzrok, ale zdążyła tymczasem wchłonąć całą scenę i to, co się w niej skrywa. Luke zapewne śpi na górze, bo Teresa czyta gazetę. A właściwie jej nie czyta, siedzi tylko, wyraźnie spięta, trzymając gazetę i od czasu do czasu patrzy spoza niej na Maurice'a. Ten czyta książkę, coś notuje i tylko to go zajmuje. Jest zaabsorbowany swoją pracą i widać, że czuje się dobrze, jest w zgodzie ze sobą i ze światem.

Kiedy przyjeżdża James i Carol, Paulina robi zakupy w Hadbury. Zazwyczaj nie jeździ po zakupy w sobotę rano, tak że teraz jest to być może rozmyślne posunięcie, dość że gdy zjadła śniadanie i spojrzała na słoneczny poranek, nagle uznała za niezwykle pilną sprawę zapełnienie lodówki i zamrażarki. A po powrocie zauważa, że obcy samochód stoi już obok wozu Maurice'a.

Nie potrafi jednak znaleźć żadnego sposobu, żeby uniknąć wspólnego wieczornego posiłku.

- Przyjdiesz jutro wieczorem, prawda? - poprzedniego dnia spokojnie zapytała Teresa.

Nie można udawać bólu głowy na dwadzieścia cztery godziny naprzód, a inne, uprzednie zaproszenie także byłoby nieprawdopodobne w World's End. Jest to więc nieuniknione zobowiązanie, którego im bliżej wieczoru, Paulina oczekuje z coraz większym niesmakiem.

Siedzi w swoich czterech ścianach i próbuje nie myśleć o sąsiedztwie. Nie jest to łatwe. To naturalne, że od czasu do czasu chce wyrzucić przez okno, a ilekroć to czyni, musi zauważyć któreś z nich, razem lub osobno. Widzi Maurice'a i Jamesa siedzących obok siebie na ławce z kubkami kawy w ręku, najwidoczniej robią sobie małą przerwę w rygorach wydawniczej dyskusji. Dostrzega Teresę, jak sama z Luke'em spaceruje drogą dojazdową tam i z powrotem. Carol wyciągnięta na kocu na trawie, w szortach i staniczku, wklepuje sobie krem w ramiona i nogi.

Potem widzi, jak Maurice wychodzi z domu i staje, patrząc na Carol. Paulina nie może słyszeć, co mówią, zwłaszcza że Maurice jest odwrócony do niej plecami. Carol się nie rusza. Patrzy tylko na Maurice'a z uśmiechem, oczy ma przesłonięte słonecznymi okularami. A potem w ciągu kilku chwil Maurice się odwraca i wchodzi do domu.

Późnym popołudniem znowu widzi na drodze Teresę i Luke'a, do których teraz przyłącza się James. Przystaje i gawędzi z Teresą. Gdzie jest Carol? Aha... głos Jamesa jest donośny, Paulina słyszy go przez otwarte okno. Carol chyba się kąpie. Maurice przepisuje pewien fragment i zwolnił Jamesa, tak że ten może proponować przechadzkę na szczyt wzgórza.

Paulina nie słyszy odpowiedzi Teresy, ale odgaduje z jej pozycji, z jej ruchów, że opiera się tej sugestii. I Paulina wie dlaczego. Wie, co Teresa myśli i co czuje. Poznaje to po ucisku w dołku pod piersiami. I chociaż tego nie chce, nie może umknąć tej wiedzy. To nieubłagany wytwór doświadczenia i empatii.

U zwierząt ochrona i zapewnienie bezpieczeństwa młodym jest prostym nakazem. Atakować i jeśli to możliwe, zabić wszystko, co im wyrządza krzywdę. „Godny pozazdroszczenia system - myśli Paulina. - Nieskomplikowany, bezpośredni, całkowicie zrozumiały dla zainteresowanych”.

- Tak... - mówi Maurice. - Jak się zapatrujecie na wiejski jarmark jutro? Zabawa na sto dwa, parada traktorów po winobraniu... Co myślicie?

- W zamrażarce jest śmietana, mam - zwraca się do Pauliny Teresa, podając szarlotkę. - Czy mogłabyś ją wyjąć?

- Myślę, że chyba będziemy musieli rano wracać - powiada James.

- Musimy? - pyta Carol.

- Moja ciocia, wiesz - przypomina James z wyrzutem.

- Chcesz w dzbanku? - pyta Paulina.

- Może być w kartonie - odpowiada Teresa.

- Ciotka Jamesa przyjeżdża z Bornemouth - wyjaśnia Carol. - Musimy zaprosić ją na herbatę. Co za nuda. Czy nie moglibyśmy dostać grypy?

- Nie - protestuje James. - To ta ciotka, którą lubię.

Ponad stołem Carol stroi minę do Maurice'a, drwiącą minę zepsutego dziecka.

- Trudno - mówi Maurice. - Wynajdziemy jakiś inny wiejski jarmark następnym razem. A Paulina będzie zachwycona, że ją zwalniamy, prawda, Paulino?

- Skoro tak twierdzisz - odpowiada Paulina. - Śmietanki, James?

- Wspaniała szarlotka - chwali Carol. - Jabłka z ogrodu?

- Oczywiście - podrwiwa Maurice. - Zrywane z rosą o świcie.

- Nie zrywa się jabłek w lipcu - prostuje Teresa. - Od Sainsbury.

- Coś takiego! - woła Carol. Grozi Maurice'owi palcem. - Zrobiłeś to naumyślnie, wpuściłeś mnie w maliny.

- Przeciwnie, w jabłka - śmieje się Maurice. - Nie mam pojęcia, kiedy zrywa się jabłka.

- I to ty piszesz ogromną księgę o życiu na wsi - ciągnie Carol rozpromieniona. - Wstydzilibyś się!

- Moim zadaniem jest zburzenie mitu - wyjaśnia Maurice. - Nie ogrodnicze informacje. - Uśmiecha się do niej.

- A mówiąc ściśle - dorzuca James - książka traktuje o przemyśle turystycznym.

- Przecież dobrze to wiem - z naciskiem mówi Carol. - Czytałam o tym, prawda?

Teresa wstaje. Stawia na suszarce swój talerz z niedojedzoną szarlotką.

- Kto chce kawy?

- Ja nie, dziękuję - odmawia Paulina. - Pożegnaj was teraz, jeśli nie macie nic przeciw temu.

- Nie odchódź jeszcze - zwraca się do niej Maurice. - James przyniósł butelkę calvadosu. Gdzie są małe kieliszki, Tereso?

- Dziękuję, James, ale nie - powtórnie odmawia Paulina i kieruje się ku drzwiom.

- Na półce w kredensie - odpowiada Teresa. - Dobranoc, mamó.

Paulina zamyka frontowe drzwi. Nastawia czajnik, robi sobie kawę, siada, bierze gazetę i znowu wstaje, żeby poszukać okularów do czytania. Przypomina sobie, że zostawiła je w sąsiedztwie.

Wychodzi z domu i zmierza do kuchni Teresy. Żeby dojść do frontowych drzwi, musi przejść obok otwartego okna, tak więc przez kilka sekund widzi oświetlone pomieszczenie, które przed chwilą opuściła - ciepłą, gościnnie zapraszającą w nocy grotę. Teresy już tam nie ma, pewnie poszła na górę zobaczyć, co z Luke'em. James także nieobecny, ale z ogrodu dolatuje zapach papierosa, którego James z właściwą sobie delikatnością pali na dworze. Teresa nie lubi, gdy pali się papierosa tu, gdzie mieszka Luke.

Maurice i Carol siedzą po obydwu stronach stołu, na którego środku są ich cztery splecione razem dłonie. Przechodząc szybko obok okna, Paulina widzi namiętne spojrzenie, jakie wymieniają Maurice i Carol.

Paulina wchodzi do kuchni. W tej samej chwili dłonie umykają. Paulina nie patrzy ani na Carol, ani na Maurice'a, ale przechodzi obok wprost do kredensu i zabiera okulary.

- Och - domyśla się Carol - zapomniała pani okularów.

- Właśnie - potwierdza Paulina. - Zapomniałam okularów.

Maurice wstaje. Z twarzą odwróconą od Pauliny bierze swój kieliszek i wychodzi drzwiami prowadzącymi do pokoju. Carol zostaje na swoim miejscu. Widzi, co maluje się na twarzy Pauliny, i nie od razu odwraca wzrok, ale przez chwilę twardo na nią patrzy: niebieskie spojrzenie, które jest jawną deklaracją wrogości. „A więc tak właśnie jest - mówi spojrzenie Carol. - I tak właśnie będzie. Przykro mi, ale nie ma co, tak się rzeczy mają”.

Paulina wychodzi z pokoju. Myra Sams znowu staje w jej pamięci, Myra Sams i jej następczynie.

Paulina i Teresa w ogrodzie zabawiają Luke'a. Jest już poniedziałkowy poranek. Maurice siedzi przy biurku. James i Carol odjechali. Teresa wygląda na znużoną, jak ktoś, kto w ogóle nie spał. Luke wyraźnie zdradza przejawy ostrej nerwicy, przechodząc od szalonej aktywności do łez wściekłości.

- Jest zmęczony - zauważa Paulina. - Może wezmę go na górę, zobaczę, czy się nie położy do łóżeczka.

- Ja to zrobię - mówi Teresa z wysiłkiem.

- Zostań! - nakazuje Paulina.

Zabiera Luke'a do jego pokoju, gdzie po kilku chwilach sprzeciwu pada i zasypia. Zza drzwi Maurice'a dochodzi stukanie na maszynie. Paulina przyrządza dwa kubki kawy i wraca do ogrodu, gdzie Teresa siedzi, wpatrując się w zarośniętą chwastami rabatkę. Z oddali dochodzi rytmiczny łomot: zaczynają się żniwa. Gdzieś po drugiej stronie wzgórza pszenica kładzie się pod kombajnem.

Paulina podaje Teresie kubek z kawą.

- Och, dziękuję. Przepraszam cię, powinnaś pracować.

- Ale jestem szczęśliwa, że nie muszę - odpowiada Paulina. - Tekst, nad którym teraz siedzę, jest okropnie nudny.

- A co się stało z jednorożcami? - pyta Teresa tępo.

- Ich twórca ma kłopoty domowe. Żona go opuściła.

- Dlaczego? - Teresa ujawnia błysk zainteresowania.

Paulina wyjaśnia i zainteresowanie Teresy gaśnie. Teresa myśli, że tamta kobieta nie wie, jak ma dobrze.

Zalega milczenie. Milczenie, w którym toczy się rozmowa bez słów, wynik wielu lat intymności oraz intuicyjnej interpretacji układu ust, rodzaju spojrzenia; podwodna fala tego, co zostaje niewypowiedziane. „Słuchaj - przemawia w myśli Paulina - ja wiem. Nie sądz, że nie wiem, bo nic nie mówię”. - A Teresa na to: „Wiem, że ty wiesz, i nie chcę, żebyś cokolwiek mówiła. Jeśli coś powiesz, wstanę i odejdę. Ponieważ nie mogę znieść rozmowy na ten temat, a już tym bardziej z tobą”.

- Co to za hałas? - pyta Teresa po chwili.

- Kombajn. Zaczynają żniwa. Teresa kiwa głową.

- Ten hałas zawsze mi przypomina czas, kiedy mieszkaliśmy pod Marlborough. Tamto miejsce też leżało pośród pól.

Teresa znów potakuje. Obie pamiętają domek wynajmowany kiedyś na lato.

- Było to tego lata, kiedy dostałam pierwszy okres - mówi Teresa. - Nic mnie wtedy nie obchodziło oprócz gatunków podpasek. Nie zauważyłam pola.

- Pamiętam, że coś cię bardzo zaabsorbowało. Brałam to za napad młodzieńczego przygnębienia.

- Czy Harry był z nami? Jakoś go tam nie widzę.

- Przyjeżdżał od czasu do czasu - wyjaśnia Paulina. Było to także lato pewnej kanadyjskiej studentki, doktorantki o imieniu Cheryl, której postęпами Harry głęboko się interesował, ale Paulina nie chce się w to zagłębiać. Dum-dum-dum kombajnu i telefony od Harry'ego, że przyjedzie do nich na weekend, kiedy tylko będzie mógł, ale może też być zbyt związany pracą.

Teresa spogląda na Paulinę. Być może przypomina sobie mgliste młodzieńcze lęki przed tajemnicami dorosłych.

- Wczoraj przyszła od niego kartka. Będzie w Londynie po siódmym sierpnia.

- Będziesz musiała tam pojechać, żeby zobaczyć Luke'a - mówi Paulina z ożywieniem.

- Chyba tak - mruczy Teresa bez entuzjazmu.

W domu dzwoni telefon i niemal natychmiast milknie. Maurice podjął słuchawkę. Teresa wpatruje się w trawę, zagryzając wargi.

- Właśnie tamtego lata przyszło mi na myśl, że kiedyś chciałabym mieć na własność coś na wsi - ciągnie Paulina. Widzi World's End zawieszony widmowo poza czasem i miejscem, ukryte gdzieś od chwili, kiedy po raz pierwszy powzięła ten zamiar, może spacerując po falistym terenie, może gotując obiad w

wynajętej kuchni. Wizja samotności i niezależności, pierwsze zdecydowane przewidywanie życia bez Harry'ego. Uprzytamnia sobie krętą, niewidzialną linię, która nieugięcie prowadzi stamtąd aż tutaj.

- Yhm... - Teresa pozornie tylko słucha.

Paulina zerka na nią z boku. Doskonale wie, jak to jest. Ten stan, w którym nie można się całkowicie oderwać, odejść od głównej, gnębiącej sprawy. Stan, w którym nie ma przeszłości, jest tylko zżerająca terażniejszość, gdy całą energię trzeba skupić na poszukiwaniu możliwości i czekaniu na nieprzewidziane wypadki. Co on zrobi? Czy znów pojedzie do Londynu? Czy teraz rozmawia przez telefon właśnie z nią?

„Stan, w którym można zniszczyć sobie życie - myśli Paulina. - Stan, w którym całe kawały mojego życia zostały spustoszone”.

- Słuchaj... - zaczyna i zaraz milknie. Teresa podnosi głowę znad trawy, którą kontempluje.

- Tak? - mówi ostrożnie, niezachęcającym tonem. Paulina bierze głęboki oddech.

- Wiesz, co powinnam była zrobić? - mówi wreszcie pośpiesznie, jak w gorączce. - Powinnam była zerwać z Harrym wiele, wiele lat wcześniej, niż to zrobiłam. Powinnam była powiedzieć: dość tego, zmniejszyć straty do minimum i wydostać się.

- Och... - Teresa jest zaskoczona.

- Może wówczas nie byłoby tego lata pod Marlborough i może nigdy nie zachciałoby mi się mieszkać na wsi i teraz nie byłoby nas tutaj - ciebie i mnie. Ale myśl przyszła... A tak na marginesie: jeśli o mnie chodzi, dzisiaj Harry mnie już nie obchodzi. Może powinnam to wyjaśnić. Zaoszczędzić ci starań, żebyś zachowywała się taktownie.

- Rozumiem. - Teraz Teresa robi się czujna. Jest także zakłopotana. Padły słowa o sprawach, o których się nie mówi. Zakazany teren został przekroczony.

- Tak się niekiedy zdarza. Powinnaś o tym wiedzieć, i to wszystko. Coś, co było nie do zniesienia, staje się... cóż, jakby zdarzyło się komuś innemu. Komuś, komu współczujesz, ale kto cię trochę niecierpliwi.

Teresa rozważa jej słowa. Jest jeszcze wstrząśnięta tym, co zostało wyjawione. Patrzy na matkę.

- Tak się czasem dzieje - tłumaczy Paulina. - Ale nie zrozum mnie źle. Nie jest tak, że cała sprawa - wszystko, co się działo - nie ma już znaczenia. Nie, po prostu odsuwa się w jakiś inny wymiar. Niezwykle ciekawy proces. W każdym razie... pomyślałam, że ci o tym powiem. I nie musisz już starannie szukać drogi przez zaminowane pole, jeśli chodzi o Harry'ego. Min nie ma.

- Rozumiem - mówi Teresa. - No cóż, cieszę się, że mi powiedziałaś. - Rozważa tę informację ze wszystkich stron, wypróbując jej rozmiar. - I... no, tak czy inaczej cieszę się.

Wydaje się przez moment, że coś doda, ale nie czyni tego. Coś innego wkrada się teraz w jej spojrzenie, jakim darzy Paulinę. „Ale to nie jest to samo - mówią oczy Teresy - wcale nie jest tak samo. Nie myśl w ten sposób. Oczywiście, jest to całkiem coś innego”.

Wieczór. Cisza. Kombajn odjechał, zostawiając próżnię, która wydaje się nienaturalna. Okolice trwają w zawieszaniu: bezwietrzny półmrok, w którym nawołują się ptaki, a pszenica pozostaje w całkowitym bezruchu.

Paulina idzie do samochodu w poszukiwaniu zarzuconego notesu. Nie znajduje go, a kiedy wysuwa się z samochodu i staje, Maurice właśnie wychodzi z domu.

Zbliża się do niej. Nie zwraca sobie głowy jakimś nieważnym powitaniem czy uwagą o pogodzie. Posyła jej półuśmiech, który mógłby wyglądać na białą flagę wysłannika z propozycją pokoju.

- Może powinniśmy porozmawiać - proponuje. Paulina nie od razu odpowiada. Rozważa propozycję. A potem pyta:

- A o czymże moglibyśmy rozmawiać, Maurice?

Maurice obserwuje ją w milczeniu. Lekko wzrusza ramionami. „A więc niech tak będzie - mówi jego spojrzenie. - Jeśli chcesz, żeby tak było”. Odwraca się i z powrotem kieruje się do domu.

TTLR

Rozdział piętnasty

O północy dzwoni telefon.

- Paulina? - odzywa się Hugh. Ma zmieniony głos.

- Dobrze się czujesz, Hugh?

- Tak... Przynajmniej... Nie. Elaine umarła.

Paulina od razu wie, jak to się stało. Milczy przez chwilę. A potem:

- Och, Hugh... Jak?

- Pigułki. Nie wiem, skąd je wzięła. Zwykle sprawdzałem, od czasu do czasu. Ale zdaję sobie sprawę, że zawsze istniała taka możliwość.

- Tak - potwierdza Paulina. - Tak, chyba tak. Usiłuje wymyślić, co powiedzieć, co zrobić.

- Chcesz, żebym przyjechała?

- Nie, nie teraz. Może później. Teraz mam praktyczne sprawy do załatwienia. Najlepiej zaraz zacząć się tym zajmować. - Już nie wydaje się tak wytrącony z równowagi, tylko znużony. - Pogrzeb jest we wtorek.

- Aha - mówi Paulina. Ma gonitwę myśli. „Nieszczęsna, opuszczona kobieta. Sama z pigułkami. Hugh. Ten pogrzeb. Czy powinnam...? Czy to właściwe, żebym była na pogrzebie?”

- Nie. - Hugh jakby ją wyprzedzał, a jednocześnie udzielał odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie. - Nie przyjeżdżaj. Będzie jej brat i jego rodzina. Wyobraź sobie, że miała brata, tylko niewieleśmy go widywali. I... - Głos mu się załamuje.

„I nikogo więcej” - myśli Paulina. Elaine nie miała przyjaciół.

- I Margery - dodaje Hugh. - Ona przyjdzie.

„Nie - myśli Paulina. - Nie powinnam iść. Nie wypada. Ale biedny, poczciwy Hugh...” Przenika ją głębokie współczucie.

- Chciałabym być przy tobie - zapewnia.

- Hm, może, gdybyś wybierała się do Londynu, to, powiedzmy, pod koniec tygodnia... Jak już będzie po wszystkim. Dodasz mi otuchy. Ale pod warunkiem, że nie sprawi ci to kłopotu.

- Och, Hugh. Oczywiście, że przyjadę. W środę?

Rozmawiają jeszcze przez chwilę, a po odłożeniu słuchawki Paulina leży, rozmyślając o doprowadzonej do rozpaczki kobiecie zamkniętej bez wyjścia w swojej nerwicy, a także o Hughu, który zapewne bardziej boleje nad czymś, co wydarzyło się dawno temu, niż nad ostatecznym aktem desperacji. Hugh nigdy nie mówił o kobiecie, którą niegdyś poślubił, a którą utracił dawno temu. Zdezorientowana nuta w jego głosie świadczy o wstrząsie i oszołomieniu. Będzie teraz musiał przystosować się do życia, w którym ma być wolny od kamienia młyńskiego, a przywykł do niego jak do czegoś, co go trzyma na uwięzi. Teraz będzie mógł wypłynąć.

- A więc jadę zobaczyć się z nim w środę - wyjaśnia Teresie. A także, przypadkiem, Maurice'owi. Wolałaby mówić o tym z samą Teresą, ale Maurice wszedł do kuchni w połowie rozmowy i musiała przyjmując jego wymamrotane wyrazy współczucia. Spotkał się z Hughem tylko dwa razy i nie bardzo sobie przypadli do gustu.

- Oczywiście - mówi Teresa. Spogląda na Maurice'a.

- W środę... - zastanawia się Maurice. - Tak. No cóż, zobaczę, czy będę mógł przełożyć umówione spotkanie i pojechać w poniedziałek, tak żeby wrócić na środę.

Paulina gwałtownie się ku niemu odwraca.

- Muszę zobaczyć się z kimś w Dziedzictwie Anglii i popracować nad pewnym fragmentem w bibliotece, ale spróbuję to zrobić wcześniej. Lepiej, żeby Teresa nie zostawała tutaj sama bez samochodu.

- Oczywiście - potwierdza Paulina. - Nie może zostać.

- Właśnie - zgadza się Maurice. Unika jej wzroku. - To prawda. Postaram się go złapać, tego gościa z Dziedzictwa Anglii.

Wychodzi z kuchni.

Paulina śmiało patrzy w oczy Teresie.

- Mogłabyś jechać razem z nim. Tak będzie lepiej, skoro ma jeździć tam i z powrotem. Zdaje się, że całe długie lato odosobnienia i przykładowej pracy bierze w łeb.

Próbuje mówić lekko, żeby słowa brzmiały niefrasobliwie jak bez troskie zonglowanie możliwościami.

- Nie - ucina Teresa. - Myślałam o tym. To byłoby jeszcze gorsze. - Zrzuciła już udawanie.

- Och... - Paulina jest wstrząśnięta wyrazem twarzy Teresy, jej tonem. Musiało się wydarzyć coś więcej. Coś zostało powiedziane, coś uczynione.

- I tak bym nie wiedziała, gdzie jest, czy co robi. A Luke płakałby w samochodzie i trzeba by zabrać wszystkie jego rzeczy, wózek i łóżeczko. Tam też musiałabym siedzieć sama i rozmyślać, gdzie Maurice jest i kiedy wróci. To samo mogę robić tutaj. - Urywa, wciąga oddech, a raczej jak ktoś zestresowany chwytając raptownie powietrze. - Pozdrów ode mnie Hugh'a - dodaje. - Jeśli będziesz z nim jeszcze rozmawiać przed wyjazdem, powiedz, że mi bardzo przykro.

Paulina potakuje. To, co czyta we wzroku Teresy, jej boleśnie wyrównany ton głosu, a także fakt, że tak dobrze zna i rozumie skrywaną, bolesną ciemność Teresy, ranią ją do głębi.

Maurice przychodzi do Pauliny. Rzekomo po to, by pożyczyć papieru. Wiejski sklep nie ma na składzie przebitki formatu A4. Maurice stoi u stóp schodów z prośbą na ustach. Paulina wchodzi na górę, bierze plik papieru i schodzi z powrotem.

- Zapłacę - mówi Maurice ze skrywanym uśmiechem.

- Nie trzeba.

Ale on nie odchodzi, nadal stoi.

- No to... - Paulina chce go odprawić. „Idź już - myśli - zanim za dużo zostanie powiedziane”.

- Wiem, co sobie myślisz, Paulino - zaczyna Maurice.

- Skoro tak, nie ma potrzeby, żebym to komentowała.

- A może jednak trochę przesadzasz, wiesz?

- Rzeczywiście? - Paulina zaczyna się burzyć. - Jeśli ty tak odczuwasz, to twój problem, nie mój. Maurice rozkłada ręce, jakby się odzęgnywał.

- Widzę, że nic z tego, co powiem, nie zmieni sytuacji. Ale jeśli moje słowa mogą pomóc, pozwól sobie powiedzieć, że James i Carol nie będą tu więcej przyjeżdżać na weekend. To nie był dobry pomysł. Wygodniej będzie, jeśli James i ja będziemy się spotykać od czasu do czasu w Londynie.

„Rozumiem - myśli Paulina. - Tak, niewątpliwie, wygodniej pod każdym względem”. Milczy, a Maurice nie odchodzi, podnosi na nią wzrok, ponieważ Paulina stoi o kilka stopni wyżej od niego na stromej, ukośnie biegnącej kondygnacji schodów. Wewnątrz panuje mrok, klatka schodowa domku jest nie oświetlona, a Maurice pozostaje nieruchomo we wspinałym obramowaniu znajdujących się za nim drzwi: na dworze błękit, złoto i zieleń nieba, pszenicy i żywopłotu, jaskrawość światła i barw. Paulina nie widzi dobrze jego twarzy i nie chciałaby widzieć, ponieważ gdyby tylko się pod jakimś pretekstem spróbował zbliżyć - czyby ją zjednać, sprowokować, czy też włączyć w spisek - wpadłaby we wściekłość.

- Teraz - zaczyna powoli Maurice - wolałabyś zapewne, żebym się nigdy nie ożenił z Teresą. Nie powinnaś tak sądzić. Cokolwiek się dzieje, może być...

Paulina mu przerywa.

- Mylisz się, Maurice. W tej chwili myślę tylko o tym, że gdybym mogła cię zabić, tobym to prawdopodobnie zrobiła. Takiej reakcji nigdy nie zrozumiesz, ale to także tylko twój problem.

Maurice wpatruje się w nią zdumiony.

- Uważałem cię zawsze za kobietę zrównoważoną, Paulino. Nie rozwiewaj moich iluzji. Dziękuję za papier.

Odwraca się i wychodzi.

Krajobraz jest teraz spopielony. Po drugiej stronie wzgórza niewidoczny kombajn dzień po dniu młóci pszenicę. Traktory ryczą wzdłuż drogi dojazdowej koło World's End, ciągnąc przyczepy naładowane ziarnem. Na szosach sznury pojazdów wloką się w procesji za jakimś samotnym kombajnem czy traktorem. Monstrualne ślepie rolniczych maszyn do późnej nocy omiatają pola ostrymi światłami. To pora roku, kiedy staje się jasne, że wieś to nie piękne widoki, ale przedsiębiorstwo przemysłowe. Autokary wożące grupy turystów do Stratfordu muszą ciągnąć się w kolejce za kombajnem, który zajmuje większą część drogi, samochody z przyczepami kempingowymi i wypożyczane kempingowe domy na kółkach muszą siedzieć na ogonie traktora, czekając, aż ten zjedzie w prawo na wyznaczone pole.

Paulina spotyka Chaundy'ego na trakcie. Zatrzymują auta, żeby uciąć sobie ustawową pogawędkę.

- Gorący czas dla pana - zaczyna Paulina.

- Następny będzie ten kawałek - oznajmia Chaundy. Patrzą na więdnącą w upale pszenicę. - Ta cholerna pogoda może jeszcze wytrzymać kilka tygodni - dodaje.

- Dobre zbiory? - pyta Paulina. Chaundy wzrusza ramionami.

- Wszystko spalone, nie? - Jego zrzędlawy ton sugeruje, że to czyjaś umyślna robota - może rządu, a może kogoś z Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a niewykluczone, że sama Paulina maczała w tym palce. Z trzaskiem włącza znowu motor peugeot, okropny, zgrzytliwy odgłos, dający do zrozumienia, że pogawędka skończona. Chaundy patrzy na Paulinę z wyrazem twarzy człowieka, który czuje, że chyba o czymś zapomniał.

- U pani wszystko okay? - pyta niedbale, gdy wóz rusza.

- Świetnie - odpowiada Paulina. - Znakomicie. Wymaganiom honoru stało się zadość.

„Takie rytualne tańce są jak najbardziej na miejscu” - myśli Paulina już we wsi, gdy przesuwa się wzdłuż półek sklepu Mace'a, próbując sobie przypomnieć, po co tu przyjechała. Chaundy nic dla niej nie znaczy, a ona jeszcze mniej znaczy dla Chaundy'ego. Wymagane jest tylko wzajemne uznanie i okazanie, że nie są sobie wrody. Psy także tak robią.

Świetnie, oznajmiasz, niezależnie od stanu twojego umysłu czy samopoczucia fizycznego. Przyzwoitość wymaga właśnie tego, a nie tego, by się ujawniać i mówić, że jesteś zbankrutowany, że oskarżono cię za obrazę albo że jesteś nieuleczalnie chory.

Cóż, panie Chaundy, właściwie jestem w głębokiej rozpacz, ponieważ myślę, że moja córka gotowa jest znosić kolejną niewierność swego męża. Mężczyzny, którego przypadkiem sama jej przedstawiłam. A mój mąż miał podobne skłonności, tak że jestem czymś w rodzaju znawcy uczuć, jakie taka sytuacja za sobą pociąga.

Nie, nie. Świetnie. Znakomicie.

Aha, przecier pomidorowy, po to przyszłam. I owoce. I mleko.

Dzwoni do Hugh'a, ale odpowiada tylko automatyczna sekretarka. Nie ma go także w sklepie. Margery wita ją z konspiracyjną serdecznością.

- Powinien zaraz wrócić, pani Carter. Powiem mu, że pani telefonowała. Jest... no cóż, tak naprawdę, mówiąc między nami, to nie ten sam człowiek. Zupełnie zgubiony. Spotkał go prawdziwy cios. Choć nie można się oprzeć uczuciu... - Urywa, delikatnie nie dopowiadając. - Będą mu bardzo potrzebni przyjaciele, pani Carter. - Kryje się za tym kolejne niedopowiedzenie, co daje Paulinie powód do niespokojnych myśli.

Mniej więcej po godzinie dzwoni Hugh.

- Czy znasz jakiś hymn?

- Hmm... - zastanawia się Paulina. „Walcz w słusznej walce” - myśli. - Nie, to śpiewa się na ślubach”. - Nie jestem w tej dziedzinie zbyt mocna. Czy koniecznie potrzebny ci hymn? Nie wystarczy, żeby ktoś grał na organach?

- To dobry pomysł - ożywia się Hugh. - Bach. Na organach zawsze gra się Bacha, prawda? Powiem im, żeby tak było. Ale jeszcze musi być przemówienie. - Głos mu się znowu łamie. - Ktoś musi powiedzieć kilka słów o Elaine. Myślę, że mógłby to zrobić jej brat. Zwykle mówi ksiądz, oczywiście. Ale...

Ale w tym wypadku co on może powiedzieć? Paulina przypomina sobie wspaniałe komunały wygłaszane przez duchownych na pogrzebach jej rodziców - sumiennych, mających najlepsze intencje księży; nigdy nie widzieli tych, których chowają, a troszczą się tylko o to, by zapewnić uroczystości gładką, ładnie opakowaną oprawę.

- Zrezygnuj z przemówienia, powiedz, że mowy też nie chcesz. Zamiast tego przeczytaj coś. Przeczytaj wiersz. Czy Elaine lubiła kiedyś poezję?

Milczenie. Paulina czuje, że Hugh szpera w jakiejś dawnej nie do wyobrażenia przeszłości, kiedy Elaine była w pełni kobietą.

- Rzeczywiście - przypomina sobie Hugh - kiedyś pojechaliśmy na wakacje do Francji. Pewnego wieczoru spacerowaliśmy wzdłuż plaży, a ona recytowała Keatsa. Coś, czego nauczyła się na pamięć w szkole: „Poro mgieł bujna i nabrzmiała plonem”^{*}.

- No, to masz jak znalazł - mówi Paulina. - Przeczytaj to.

- Mógłbym, tak myślisz? - W głosie Hugh'a słychać ożywienie. - A ty przyjedziesz w środę, tak? - pyta jeszcze.

- Oczywiście.

^{*} Początek *Ody do jesieni* Johna Keatsa - przeł. Zofia Kierszys (przyp. tłum.).

Dni zdają się teraz posuwać cal po calu. Jest sobota, a po niej niedziela. W niedzielę wieczorem niebo zasnuwa się chmurami, powietrze gęstnieje. Mówi się o deszczu. Ale teraz, w poniedziałek, słońce wyjrzało znowu, jak zawsze.

To dzień, w którym Maurice ma się udać do Londynu, żeby wrócić w środę, przed wyjazdem Pauliny. Do tej pory Paulina zamierzała go unikać, ale podczas śniadania musi pójść do sąsiedniego domu, gdyż listonosz dołączył do poczty, którą wsunął jej przez drzwi, kopertę do Maurice'a. Może list jest ważny, a może nie, ale przyzwoitość nakazuje wręczyć mu go, nim wyjedzie.

Kiedy Paulina wchodzi do domu Teresy, wie od razu, że się pokłócili. Teraz milczą, ale atmosfera jest napięta. W powietrzu unosi się ciężar wypowiedzianych słów i doznanych uczuć. Na stole są jeszcze resztki śniadania, a Luke ściska w ręczce kawałek tostu i wydaje Luke'owe dźwięki, które rozchodzą się dokoła, wolne od burzliwych wstrząsów, fal gniewu, oskarżeń i prowokacji. Teresa jest sztywna jak drut, usta ma ściągnięte z rozpacz. Maurice jest spięty, robi wrażenie rozdrażnionego.

Paulina wręcza mu list.

- Listonosz wrzucił do mnie przez pomyłkę. Maurice usiłuje zmienić wyraz twarzy.

- Dziękuję, Paulino. - Widzi, że Teresa spojrzała na list. - To od pewnej pani z Funduszu Narodowego, pewnie przysłała mi dane liczbowe, o które ją prosiłem. Proszę, przeczytaj, jeśli chcesz.

Teresa odwraca się z lodowatą miną.

Paulina wychodzi. Wkrótce potem, w ciszy własnego domu, gdzie atmosfera nie jest naprężona, a w radiu ktoś spokojnie czyta jakieś opowiadanie, słyszy, jak Maurice zapuszcza motor i odjeżdża.

Trzy godziny później Teresa jest już opanowana albo prawie opanowana. Przychodzi do Pauliny spytać, czy może wziąć jej samochód, bo chce pojechać do wsi po zakupy. Luke śpi. Czy Paulina mogłaby zaglądać do niego co jakiś czas? Paulina odpowiada, że weźmie robotę do pokoju Teresy.

I właśnie kiedy szczytuje stronę maszynopisu o ropie naftowej na Morzu Północnym, dzwoni telefon.

- Halo! - odzywa się męski głos. Tak się składa, że to głos Harry'ego.

- Halo - odpowiada Paulina.

- Teresa? - pytająco mówi Harry.

- Nie. To ja, Paulina.

- Och! Halo! - To „halo” różni się od poprzedniego, jest kombinacją powitania i ostrożnego badania sytuacji. „Chciałbym z tobą porozmawiać, sugeruje, ale czy ty zechcesz ze mną mówić?” - Dzwonię, bo za jakieś dwa tygodnie będę w Londynie i chciałbym się zobaczyć z Teresą.

- I z Luke'em.

- Słusznie - spiesznie dorzuca Harry. - I z Luke'em. Jak on się miewa?

- Luke ma się świetnie. Teresa akurat wyszła. Czy zadzwonisz do niej później?

- Oczywiście. Za jakąś godzinę?

- Powinna już wtedy wrócić. Powiem jej, że zadzwonisz.

- A ty jak się miewasz? - pyta Harry.

- Świetnie. Znakomicie. No, więc powiem Teresie...

- Pomyślałem... Myślałem, że może za dwa tygodnie też będziesz w okolicy. Czy moglibyśmy zjeść razem obiad? Cieszyłbym się, gdybym cię znowu zobaczył.

- Chyba nie będzie mnie wtedy w Londynie. Siedzę tu nad robotą przez całe lato.

- Hm... Więc nie mam żadnej szansy?

- Żadnej - potwierdza Paulina stanowczo.

Po skończonej rozmowie zastanawia się, jaki oddźwięk wywołuje w niej ten głos. Bada i opukuje swoje reakcje. Czy krew szybciej krąży w jej żyłach? Czy serce bije nieco mocniej? Nie, stwierdza, nic podobnego. A jednak jest coś leciutkie ukłucie skruchy. W głosie Harry'ego wyczuła rozczarowanie i to wzbudziło ową iskierkę winy, że nie może - nie chce - sprawić mu przyjemności. „Dobry Boże! - myśli. - Że też do tego mogło dojść!”

We wtorek wieje gorący, suchy wiatr. Pszenica marszczy się, fale światła i cienia rozplywają się jedna w drugiej. Szkwaly kurzu gnają drogą. Od czasu do czasu Paulina spotyka Teresę i Luke'a w ogrodzie. Luke kaprysi, ma wysypkę i zły humor. Jest wymagający i męczący. Paulina obserwuje, z jaką cierpliwością odnosi się do niego Teresa, ale zauważa, że czyni to machinalnie. Część Teresy jest gdzie in-

dziej, towarzyszy Maurice'owi. Ogląda go gdzieś w Londynie, widzi jego, widzi ją. A może odtwarza sobie w myśli słowa, jakie padły między nią a Maurice'em.

Wieczorem Paulina idzie na spacer na szczyt wzgórza. Kiedy patrzy w dół na World's End, nagle sobie uświadamia, czym to miejsce właściwie jest: małym, szarym budynkiem przykucniętym w dolinie, schowanym za kurtynę pszenicy, odosobnionym i skrajnie regionalnym. Myśli o jego poprzednich mieszkańcach, dla których horyzont nie rozciągał się dalej niż wierzchołek wzgórza, obrzeże pola i zakrzywiony łuk rozciągający się przed nią: drzewa, więcej pól i białe błyski szyb samochodowych, oznaczające ukrytą szosę.

Kiedy wraca do swojego gabinetu, automatyczna sekretarka miga. Hugh raz jeszcze przemyślał miejsce spotkania na jutro wieczór i sugeruje inne. Czy nie zechciałaby odwiedzić go w sklepie? Dzwonił też Chris Rogers. „Cześć! Mam coś do zakomunikowania. Spróbuję jeszcze dzwonić”.

- To ja - odzywa się później. - Ma pani dla mnie chwilkę?

- Jasne.

- Tylko to, że wraca. Moja żona. Jutro.

- Gratuluję - mówi Paulina. - A jak pański synek?

- Och, świetnie. Cokolwiek to było, polepszyło się.

- Aha! Więc to nie tylko macierzyńska troskliwość sprowadza ją z powrotem?

- Nie - prostuje Chris. - Podejmuję intensywne starania i dzięki różnym kontaktom udało mi się dostać dom w centrum Swansea, gdzie czynsz, jak sędzę, nie będzie wygórowany, tak że jakoś sobie poradzimy.

- No to dobrze. Wspaniale! Jest więc nadzieja na jasną przyszłość?

- I wie pani, powiedziała, że za nami tęskni.

- Ależ naturalnie!

- Myślę, że ten pobyt u matki...

- To też. Nie mówiłam panu?

- Mówiła pani - odpowiada Chris. - Dodawała mi pani otuchy. I to było znacznie więcej, niżby tego wymagały pani obowiązki zawodowe. Mam nadzieję, że nie wszyscy pani autorzy tak panią zanudzają.

- Zwykle rozmawiają ze mną tylko o średnikach i o możliwości użycia imiesłowu biernego. I nie piszą książek o jednoroźcach i wilkołakach.

- Ach, tamto! - mówi Chris. - Właśnie miałem zamiar powiedzieć, że teraz będę mógł wreszcie zabrać się do przerabiania tego rozdziału.

- Miło mi to słyszeć.

- Będę z panią w kontakcie. Przepraszam, że dzwonię tak późno, pewnie przerwałem pani pracę, ale chciałem to jakoś uczcić. - I nagle uderzony jakąś myślą, dorzuca: - Ale ja przez cały czas nie mam pojęcia, czy pani... To znaczy, jak pani układa się życie...

- Mieszkam sama - wyjaśnia Paulina. - Okres mojego małżeńskiego kryzysu dawno się skończył. Było, minęło.

- Och! - w głosie Chrisa słychać zawstydzenie. Być może, szczerze. - Przepraszam, myślałem, że może...

- No to czekam na wiadomość, jak pan się upora z poprawionymi wilkołakami - przerywa mu Paulina. - A tymczasem niech pan przyjmie moją radę i dba o żonę.

- Nie czekaj, aż wróci Maurice - mówi Teresa. - Jedź, kiedy tylko chcesz.

Jest środa rano, Teresa przyszła do drzwi Pauliny wcześniej, trzymając Luke'a na biodrze.

- Hm... - Paulina się waha. - A jak myślisz, kiedy on wróci?

- Powiedział, że na lunch. Ja sobie dam radę.

Teresa ma znękaną twarz i podkrążone oczy. Paulina odczytuje w nich bezsenność, brzydkie, rozbiegane myśli. Luke nagle się rozpromienia w spóźnionym powitaniu.

- Da - zwraca się do Pauliny niczym nie zmartwiony, pełen zachwytu.

- Właśnie zrobiłam kawę - oznajmia Paulina. - Napij się ze mną, to ci dobrze zrobi.

Teresa wchodzi do kuchni. Stoi tam, przygryzając wargę.

- Sądzę, że wiesz... - zaczyna. Paulina przytakuje.

- Pewnie wiedziałaś jeszcze przede mną.

- Słuchaj - mówi Paulina - nie musimy... Teresa siada.

- Nalej mi kawy, proszę.

Paulina nalewa kawę do kubków w kwiatki. Słońce zalewa pokój. Luke przycupnął spokojnie na podłodze, badając z bliska jakiś puszek. Gdzieś w oddali pracuje już traktor.

- Przez całą noc - ciągnie Teresa - myślałam: może on jest z nią teraz w łóżku. Wyobrażałam sobie, jak oni to organizują. Może ona mówi Jamesowi, że musi jechać zobaczyć się z jakąś krewną, czy coś takiego. Zadzwoiłam o jedenastej, ale Maurice'a nie było, wprawdzie nawet się nie spodziewałam, że go zastanę. Mówił, że wybiera się na obiad z jakimś gościem, którego nie znam. Myślę, że tak naprawdę był z nią. Pomyślałam, żeby zadzwonić pod jakimś pretekstem do Jamesa, żeby sprawdzić, czy jest w domu. - Teresa widzi, że Paulina się wzdryga. - Nie, nie zrobiłam tego. Tylko myślałam o tym godzinami. Nie mam pojęcia, czy James wie. Myślę, że chyba tak.

Luke odkrył okulary Pauliny. Zabiera mu je i odwraca uwagę dziecka jabłkiem.

- Nie wyobrażałam sobie nigdy, że coś takiego może się zdarzyć - szepce Teresa.

- Nikt sobie nie wyobraża.

- To tak, jakby mnie ktoś kopnął w brzuch.

- Słuchaj - powtarza znowu Paulina. - Równie dobrze może być tak...

- Och, wiem, że to prawda. Podniosłam kiedyś drugą słuchawkę, jak on z nią rozmawiał. Wiedziałam już wtedy, kiedy usłyszałam, jak do siebie mówili. Widziałam też, jak na siebie patrzą. Nawiasem mówiąc, Maurice powiedział, że tu więcej nie przyjadą, ona i James.

- Tak, już wiem. A więc... rozmawiałaś z Maurice'em? Co jeszcze mówił?

Teresa zaciska wargi. Patrzy przez okno, poprzez ramię Pauliny.

- Maurice nie mówi wiele. Wmawia mi, że sobie coś uroiłam i że chcę nim zawładnąć. Ani nie mówi, że są razem, ani temu nie zaprzecza. Wzrusza ramionami i odchodzi. Zaczyna się złościć. Sprawia, że się czuję... nierozsądna. - Spogląda na Paulinę. - Jak to jest w ogóle możliwe?

- Nie wiem - odpowiada Paulina. Ale wie.

- Maurice mówi na przykład coś takiego: „Dziwię się bardzo, że tak reagujesz”. Albo: „Myślałem, że lubisz Jamesa i Carol”. Patrzy na mnie tak, jakbym podsłuchiwała przez dziurkę od klucza albo czytała cudze listy. Wychodzi z pokoju. A potem zachowuje się tak, jakby nic się nie zdarzyło. Mówi o innych sprawach, jakby wszystko było w porządku. I jest... czuły.

- Rozumiem - potwierdza Paulina. - Tak, tak to właśnie się dzieje.

- Nie wiem, na czym stoję. Zaczynam myśleć, że to wszystko sobie wymyśliłam. A potem słyszę coś albo widzę coś takiego, że wiem, jak jest naprawdę.

Luke uderzył się o stół. Zaczyna płakać. Paulina podnosi go i pociesza. To ratuje ją od odpowiedzi. Zresztą i tak nie ma nic do powiedzenia.

Teresa patrzy na Luke'a, ale spojrzeniem niemal nie widzącym.

- Czuję się tak, jakbym wpadła w jakąś czarną dziurę. Nie miałam pojęcia, że można tak się czuć. W tej chwili wołałabym... - odwraca wzrok, wyłącza się całkowicie. Znowu zaciska wargi.

Teraz wołałabyś nigdy nie spotkać Maurice'a, nie wychodzić za niego za mąż. Wołałabyś nawet, żeby Luke nigdy nie istniał, żeby się od tego uwolnić.

- Ja także - mówi Paulina. - Także bym wołała, żeby tego nigdy nie było. Z wyjątkiem... - Wstaje, trzymając Luke'a i sadza go Teresie na kolana. - Nie będziemy więcej o tym mówić, nic dobrego z tego dla nas obydwu nie wyniknie. Napij się jeszcze kawy.

Siedzą w kuchni w World's End - razem, oddzielnie, każda gdzie indziej. Teresa jest w Londynie, śledząc Maurice'a, a zarazem przeżywa ostatni tydzień i jeszcze poprzedni, i jeszcze dalszy, tłumacząc sobie spojrzenia, odtwarzając rozmowy. Paulina także puka do innych czasów, innych miejsc. Tylko Luke jest tutaj i teraz, drepcąc po kuchni, prowadzi badania nad frędzlami dywanu, piórkiem, zapalką, nad słonecznym promieniem.

Rozdział szesnasty

Księgarnia Folletta „Poszukiwane Książki” jest zamknięta, gdy Paulina zjawia się tam o pół do siódmej. Hugh pewnie jest w swoim biurze na zapleczu, trzeba nacisnąć dzwonek. Paulina przystaje, żeby zerknąć na wystawę: wyłożono tu pierwsze wydania książek dla dzieci z ilustracjami Rackhama i Dulaca oraz literaturę topograficzną z początków dziewiętnastego wieku. Przez okno widzi jednak, że Margery jest w środku. Ta spostrzega ją i od razu podchodzi do drzwi.

- Zatrzymał go klient, pani Carter, więc zostałam, żeby panią wpuścić. Wygląda na to, że nie może go się pozbyć.

- Może mogłybyśmy go wyratować, udając, że przyszła inna klientka.

Margery ma wątpliwości. „Nie - myśli Paulina. - Nie nadaję się do tej roli: ani przeciwdeszczowego płaszcza, ani znoszonej teczki”.

- Mam masę czasu. A wczoraj... jak było?

- Wszystko było pięknie załatwione, tak jak trzeba. Dyskretna rezerwa w głosie Margery daje wyobrażenie o całym scenariuszu. Paulina widzi maleńką garstkę zebranych w kaplicy krematorium, ostentacyjnie płomienne kwiaty. Słyszy rozczulający język pogrzebowego rytuału.

Margery wzdycha.

- W każdym razie to już minęło. Teraz odczuje ulgę.

Nie wiadomo, czy mówi o pogrzebie, czy o czymś bardziej ogólnym. Jest kobietą niewiele po pięćdziesiątce, niedużą i fertyczną, zawsze ubraną w gustowny, choć nie rzucający się w oczy kostium lub taką samą suknię. Paulinie przychodzi na myśl, że nie ma pojęcia o osobistej sytuacji Margery. Jest wdową czy rozwódką? A może ani tym, ani tamtym. W oczywisty sposób przywiązana do Hugh'a, ale zawsze wyglądało to na oddanie kogoś, kto z natury jest sekretarką piszącą pod dyktando. Prowadzi interes, kiedy Hugh bawi za granicą, znajduje się zawsze pod ręką, zręcznie przypominając mu o wszystkim. Hugh polega na niej od wielu lat. A co ona przez cały ten czas czuła do niego? Paulina naraz zdaje sobie sprawę, że spogląda na panią Margery pod innym kątem.

- Trzyma się dobrze - mówi Margery ściszym głosem, zerkając na drzwi prowadzące do biura Hugh'a. - Boję się, że może go to mocniej ugodzić za tydzień lub dwa. Będzie mu potrzebny ktoś, kto mu pomoże, doda otuchy.

- Tak - potwierdza Paulina. - Cieszę się, że ma tutaj panią, Margery. Wiem, że jest pani dla niego ogromną pomocą.

Margery lekko wzrusza ramionami, co ma oznaczać, że nie warto o tym mówić, albo że przecież jej za to płacą.

- Zasłużył sobie na wytchnienie, biedaczek. Chciałabym wierzyć, że będzie jeszcze szczęśliwy.

- Ja także.

- Właśnie. - Margery usiadła przy swoim biurku i podsuwa krzesło Paulinie. Spogląda na nią ostrożnie i zarazem odrobinę surowo. „Nie próbuj mi tu nic zepsuć” - zdaje się mówić. Paulina widzi teraz rolę Margery zupełnie inaczej.

- Wiem, że pani jest jedną z jego najbliższych znajomych, pani Carter, więc sądzę, że obie pragniemy dla niego tego samego.

Urywa, gdyż drzwi do biura się otwierają i Hugh wynurza się wraz z Japończykiem, którego odprowadza do wyjścia z przepaszającym kiwnięciem głowy w kierunku Pauliny.

- To ja już pójdę - oznajmia Margery. Bierze swój płaszcz i torebkę. - Zostawiam go pod pani opieką, pani Carter. - Przystaje w drzwiach, gdzie Hugh wreszcie uwolnił się od Japończyka, i wymienia z nim kilka słów przyciszonym głosem. Potem wychodzi na ulicę, stukając obcasami. Jest kobietą, która zawsze nosi pantofle na wysokich obcasach.

- Przepraszam cię bardzo - sumituje się Hugh. - Dobrze się z nimi załatwia interesy, z tymi Japończykami, ale trzeba wymienić tyle uprzejmości, że trwa to dwa razy dłużej niż zwykle. Margery przyrzekła, że się tobą zajmie.

- Zajął się. A czy on coś kupił?

- Ech, to i owo - wykręca się Hugh. - Oni teraz się interesują wszystkim, co dotyczy botaniki, a ja nie nadążam z tą branżą. Idziemy? Usycham, muszę się czegoś napić. Pomyślałem, że zjemy dziś coś z włoskiej kuchni, jeśli nie masz nic przeciw temu.

W restauracji wypija campari kilkoma haustami.

- Chyba zamówię jeszcze jedno. Zazwyczaj tak się nie zachowuję, prawda? Czy sądzisz, że się ze mnie zrobi stara pijaczyna?

- Nie sądzę. Miałaś ciężki tydzień, i to wszystko.

- To prawda. - Nagle wygląda na zmęczonego. Wyciera twarz dłonią. - No cóż, już po wszystkim...

- Milczy przez chwilę. - W każdym razie zrobiłaś mi przyjemność. Dziękuję, że przyjechałaś.

- Powiedz mi - pyta Paulina - czy Margery była kiedyś zamężna?

- Skądże znowu, nie. Mieszka w Richmond z pewną kobietą.

„Oczywiście - myśli Paulina. - Ależ jestem tupa!” A głośno mówi:

- Wyobrażałam sobie, że Margery od lat żywi do ciebie skrytą namiętność i teraz się z nią ujawnia.

- To ostatnia rzecz, jaką by zrobiła, szczerze ci mówię. Jej przyjaciółka jest Szwajcarką. Yvette. Piecze zupełnie niewiarygodne ciasta. Margery czasem mi coś przynosi.

Kelnerka przyjmuje zamówienia.

- To będzie mój pierwszy porządny posiłek od... od czasu, jak to się stało - mówi Hugh. - Nie chciało mi się wcale jeść. I rzadko bywałem w domu. Nocowałem w biurze, ale chyba nie mogę tak daleko żyć.

- Sprzedaj go.

- Biuro? - pyta Hugh zaskoczony.

- Nie, nie! Dom. Nie musisz tam dłużej mieszkać. Kup mieszkanie w mieście. Przecież zawsze mówiłeś, że to byś wolał.

- Tak. Tak, mógłbym to zrobić, prawda? - Hugh rozważa tę propozycję. Zdaje się schwytywany w zasadzkę przez możliwość wolnego wyboru. - Tak... Hm... Chyba tak zrobię.

- Jak będziesz gotów. Nie musisz się z niczym śpieszyć.

- Nie. - Marszczy czoło, patrząc na chleb, który rozkrusza. - Czy wiesz... byliśmy małżeństwem dwadzieścia siedem lat. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie musiałem przejrzeć jej papierów. Zawsze dawałem jej kwiaty w rocznice ślubu, ale nigdy ich nie liczyłem. Z oczywistych przyczyn, jak sądzę.

- Hugh... Kiedy się to zaczęło? Choroba Elaine?

Patrzy na Paulinę z ponad kieliszka. Wkroczyła na zakazane terytorium i przez chwilę wygląda na to, że Hugh uchylił się od odpowiedzi, przerzucił się na rozmowę o restauracji albo na opowieść o jakiejś wyprawie po zakup książek. W końcu się poddaje.

- Prawie zaraz po ślubie. Myślałem, że w jakiś sposób przyczyniłem się do tego. Dobrze się czuła, a potem w ciągu roku czy coś takiego zaczęła się zmieniać, stała się kimś innym. Nie mogła z nikim rozmawiać. Nie chciała wychodzić z domu. Nigdy nie była pełną werwy ekstrawertyczką, ale stało się jasne, że dzieje się coś zatrważającego. Oczywiście, zaprowadziłem ją, gdzie trzeba, chodziłem z nią do różnych specjalistów.

- I co mówili?

- Och, wszystko. Raz na przykład, że to agorafobia. Odrzucenie przez rodziców. Coś obmierzłego w drewnie, kiedy miała sześć lat. Dysfunkcja seksualna.

- Było tak?

- Seks? No cóż, powiedzmy, że nie była tym specjalnie zainteresowana. Ale ja sam nie jestem przesadnie wymagający w tej dziedzinie. - Hugh unika wzroku Pauliny. - Umiarkowanie, ale dostatecznie, to wszystko, o co kiedykolwiek prosiłem. Niemniej myślałem z początku, że to musi być moja wina.

- Nie, to nie była twoja wina - uspokaja go Paulina. - To i tak by się stało, jestem tego pewna.

- Tak, teraz i ja tak myślę. W pewnej mierze wiem, co to było. Po prostu miała siebie za nic. Uważała, że nie ma absolutnie nic do zaoferowania, że jest nudna, prosta, nieinteligentna, nieudolna. Inni ludzie stanowili zagrożenie. Jedyne wyjście było ukryć się. Niska samoocena - czy nie tak to nazywają?

- Tak, chyba tak.

- I to pewnie ją drażyło... cóż, przestała być kimś, kogo można nazwać w potocznym sensie normalnym. Uważam to za najgorszą rzecz ze wszystkich, że kobieta może zostać zniszczona przez swoją własną opinię o sobie.

Paulina potakuje. „Zdarzają się także wręcz przeciwne przypadki. Ludzie, którzy sami siebie kreują”. - Myśli o przypadkach niebotycznego samozadowolenia, które może zaważyć na całej karierze, o zatrudnieniu, sprzyjającym tworzeniu swojego własnego wizerunku.

Podano jedzenie. Hugh zaczyna mówić o pogrzebie.

- Miałaś rację co do muzyki organowej. Hymn byłby zbyt poruszający. Już i tak to wszystko było okropne. Ten moment, kiedy trumna zaczyna zjeżdżać, a ja pomyślałem... ale przecież Elaine odeszła w istocie już dawno temu. Wiesz przecież, od lat prawie wcale się do mnie nie odzywała.

- Ale to już teraz minęło - mówi łagodnie Paulina. - Twoje życie może się teraz zmienić.

- Tak. Spróbuję o tym pomyśleć.

- Jedz swoją *saltimbocca*. Czy też to coś innego? Hugh bierze wreszcie nóż i widelec.

- Mmm. Pyszne, daję słowo. A teraz powiedz mi wreszcie, co u ciebie.

- Nic nowego - odpowiada Paulina. - Pracuję. Patrzę sobie na pole pszenicy.

- Wróc do Londynu.

- Nie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Hugh przechwytuje coś w tonie jej głosu.

- Nie rozumiem, co cię tam tak mocno trzyma.

- Pogoda - sugeruje Paulina. - Podobno to najpiękniejsze lato od pięćdziesięciu lat.

- Nonsens. - Hugh patrzy na nią uważnie. - Założę się, że to coś innego. - Przestaje jeść, jakby go raptem uderzyła jakaś myśl. - O Boże... Powinienem domyślić się tego wcześniej. Czy masz... czy jest jakiś mężczyzna?

Paulina się śmieje.

- Byłabym szczęśliwa... Oczywiście, że nie ma żadnego mężczyzny.

Hugh wzdycha.

- Uf, przyznam, że miło mi to słyszeć. Czułbym się jeszcze bardziej zdezorientowany, niż jestem teraz.

O wiele później, już w swoim mieszkaniu, Paulina nie może zasnąć. Leży, nasłuchując miejskiej nocy: ostry, wibrujący dźwięk samochodowego sygnału na drodze, wycie policyjnej syreny. Głosy, kroki, trzaskanie drzwiami. Anonimowe i obojętne.

Paulina myśli o World's End, usadowionym w milczącej ciemności doliny. Przywołuje to miejsce w pamięci: jego zapach, jego odczuwanie. Ale w nim nie ma obojętności. Jest pełne głosów i twarzy. Głównie zaś jest tam kuchnia Teresy podczas śniadania na początku tygodnia, wibrująca niedobrymi uczuciami.

- Cześć! - wita Paulinę Teresa. - Jak tam Hugh? - Wyszła na drogę, gdy Paulina podjeżdżała, i teraz patrzy na nią spoza zasłony tajemnicy, udając, że się cieszy z przyjazdu matki. - Jak on się miewa? - pyta znowu, jakby nieświadoma, że się powtarza.

- Hugh chyba zaczyna się dźwigać. Spędziliśmy razem miły wieczór.

- No to świetnie.

Przez otwarte okno gabinetu Maurice'a dolatuje zgrzyt drukarki. Szur, szur tam i na powrót. Czy mam ci powiedzieć, co masz zrobić? Spal jego książkę. To cudownie pomaga skoncentrować się. Ale Teresa nic takiego nie robi, nie spali nawet jednej czy dwóch próbnych stron. Nie jest typem kobiety palącej książki. To ona chciałaby ją spalić.

Paulina wchodzi do domu zobaczyć pocztę i odczytać automatyczną sekretarkę. Jest kartka od znajomych, którzy proponują wycieczkę do Wenecji we wrześniu. Autor od ropy z Morza Północnego nagrał kilka pytań. Czas na lunch, więc Paulina robi sobie jakąś sałatkę i przez chwilę czyta gazetę przed udaniem się do gabinetu. Potem zaczyna przebiegać pytania postawione przez autora ropy Morza Północnego, ale nie może się skoncentrować. Siedzi przy biurku, patrząc bezmyślnie na leżący przed nią maszynopis.

„Mogłabym wyjechać - myśli. - Mogłabym machnąć ręką na to wszystko, skoro i tak nic nie mogę zrobić. Mogłabym pojechać do Londynu, pracować tam, dzwonić do znajomych, zapraszać ich na kolację, chodzić do kina i utrzymywać Hugh'a w dobrym humorze. A we wrześniu, oczywiście, żeby nie wiem co, jadę do Wenecji”.

Ale wie, że tu zostanie. Trzeba przecież tutaj pożegnać to upalne lato, niech się dzieje, co chce.

Lipiec prześliznął się w sierpień. Okolica jest wypalona. Obrzeża pól zbielały: skórzane pióra traw i brązowe kandelabry zwyczajnego barszczu. Powysychały błękitne jeziora lnu. Zamiast nich są maki - szkarłatne nitki w polu dojrzałej pszenicy albo olśniewający rozkwit wzdłuż drogi. Dużo pszenicy już zebrano, pozostały po niej złociste przestrzenie ściernisk usiane belami słomy.

W World's End dni przesuwają się powoli. Maurice często wyjeżdża i przyjeżdża. Okazuje się, że wciąż potrzebny mu papier, puszki z piwem, butelki wina, spinacze... i już samochód znika na trakcie w chmurze kurzu.

Wraca po półgodzinie, po godzinie, ze wsi czy z Hadbury, czy skądkolwiek, dokąd pojechał. Niecierpliwi się, nosi go - to widoczne. Wieczorami krąży po ogrodzie, wychylając szklanekę po szklance czerwonego wina. Kilkakrotnie znika na dłużej, na dwie godziny, na całe popołudnie. Teresa mówi, że sprawdza lokalne atrakcje turystyczne. A zatem wypad usprawiedliwiony w imię badań naukowych. Teresa jednak nie przyłącza się do tych wycieczek.

- Luke tylko by się przegrzał i marudził - wyjaśnia, uprzedzając uwagę Pauliny. - Zresztą ja i tak już tam byłam.

Są to ciche dni w World's End. Jedynym głosem, który ciągle słychać, jest głos Luke'a. Paulina słyszy go przez otwarte okna. I Teresę, która coś do niego mówi. Nie słyszy, żeby Teresa rozmawiała z Maurice'em, ani też, żeby Maurice do niej się odzywał. Wieczorami brzęczy telewizor albo promenadowy koncert wlewa się w ciepłą ciemność.

Paulina nie chce myśleć o tym, co się mówi albo czego się nie mówi w sąsiedniej części domu, ponieważ i tak jest zmuszona do wyciągania wniosku za każdym razem, gdy widzi Teresę i patrzy w jej twarz z bliska, kiedy córka spaceruje po ogrodzie z Luke'em, lub trzyma go, gdy mały próbuje wdrapać się na płot koło drogi. Twarz Teresy zmienia się z dnia na dzień. Traci swoją zmienność. Nie ma w niej już tych nagłych olśnień, tych przejść od rozwagi, od troski do natychmiastowej wibrującej radości. Słońce nie ukazuje się na twarzy Teresy. Zwłaszcza zaś nie ma w niej tego żarliwego blasku za każdym razem, gdy widzi Maurice'a, kiedy on wchodzi do pokoju, kiedy się ku niej zwraca.

- Niestety, to znowu ja - mówi Chris Rogers.

- O! Mam nadzieję, że wszystko w porządku? Pana żona...?

- Wróciła, tak. Bogu dzięki. Pod tym względem sprawy wyglądają nieźle. Ale chodzi o to... Wciąż jakoś nie mogę zabrać się do tego rozdziału.

- No nie... - wzdycha Paulina.

- Było tak, że Tom ciężko zachorował. Ten, co ma trzy latka. Zupełnie nagle, ni stąd, ni zowąd - i bach! Wesóły jak szczygieł, żyć nikomu nie dawał, jak zawsze... a w dwadzieścia cztery godziny później już tylko telefony, karetki pogotowia, lekarze biegający po szpitalnych korytarzach, a on nieprzytomny, podłączony pod jakieś rurki. Chryste Panie! Drugi raz nie chciałbym przeżywać czegoś takiego.

- Czy już jest lepiej?

- Tak. Mówią, że nic mu nie będzie. Żona jest teraz w szpitalu, ale prawdopodobnie wypiszą go do domu w przyszłym tygodniu. Ma jakąś rujnąjącą organizm odmianę zapalenia płuc. No, ale to minęło. Boże, nie wiedziałem, że można tak mocno odczuwać. Jakby człowieka wtrącili w czarną otchłań.

Paulina milczy.

- Tak - odzywa się wreszcie. - Mogę sobie wyobrazić. Niczego podobnego nie przeżyłam, ale mogę sobie wyobrazić.

- Nigdy pani dotąd nie pytałem. Czy miała pani dzieci?

- Tak. Jedno.

- No to może pani... wyobrazić sobie. Chcę powiedzieć, że ja dotychczas uważałem, iż ojcostwo to początkowo euforia i zdumienie, potem bezsenne uwięzienie z małymi megalomanami, których jedynym celem jest wyrządzenie sobie krzywdy. Człowiek ciągle się kręci między niepokojem a morderczym instynktem. No i jakby musiał, dałby się za nich zabić. Naprawdę, zdaje mi się, że przestaje się być człowiekiem. Patrzę na programy o zwierzętach i myślę, że tak, rzeczywiście, to jestem ja, nic więcej tylko narzędzie do zachowania gatunku. Prawda?

- Prawda - potwierdza Paulina. - W zupełności podzielam pana zdanie.

- A potem dzieje się coś takiego i człowiek zdaje sobie sprawę, że nic dotąd nie rozumiał. Że przedtem był zabawnym idiotą. Joj! Ale ktoś mi powiedział, że to się kiedyś skończy.

- Co się skończy?

- No, że dzieci dorastają. Pani dziecko chyba już jest dorosłe. Syn czy córka?

- Córka. Mówi pan, że to się kończy?

- No, może nie kończy - prostuje Chris. - Mam na myśli, że nabierają wreszcie instynktu zachowawczego i pozwalają człowiekowi spać w nocy.

- O, czyżby?

Pauza. W głosie Chrisa słychać, że ma się teraz na baczności.

- Czyżbym się mylił?

- Obawiam się, że trochę tak. W gruncie rzeczy sprawy tak się mają, że zamiast zjawić się w porę i złapać je, zanim wypadnie z okna, albo wyrwać czajnik i wylać wrzątek na siebie, trzeba stać obok i patrzeć, co się dzieje. Albo czekać, czy to się stanie.

- Och! A ja sobie planowałem, że powiem: dobrze, teraz jesteś już samodzielny. Uważaj na siebie, a ja idę na uczuciową emeryturę.

- Można sobie tak mówić. Niestety, uczucia są inne. Ba, dobrze byłoby, gdyby... Ale przecież nie to chciałby pan usłyszeć w tej chwili.

- Rozumiem, co pani ma na myśli. To dożywotni wyrok. Ale w takim razie lepiej uporam się z książką, póki trwa zawieszenie wyroku. Pomyślałem tylko, że usprawiedliwię się ze zwłoki.

- Niech mi pan przyśle ten rozdział, kiedy pan będzie mógł - mówi Paulina. - I naprawdę się cieszę, że Tom jest już zdrowy.

Maurice znowu jedzie do Londynu. Paulina dowiaduje się o tym dopiero późnym popołudniem, kiedy dociera do niej fakt, że samochód, który rano wyjechał, nie wrócił. Znajduje Teresę i Luke'a w ogrodzie. Luke rzuca swoje drewniane klocki na kwiatową rabatkę, a Teresa cierpliwie je zbiera.

- Maurice wyjechał? - pyta Paulina bez ogródek.

- Dziś miał być wykład, na który chciał jechać do Londynu. I potrzebował jeszcze jakichś papierów.

- Ton Teresy jest bezbarwny. Patrzy prosto w oczy Pauliny. - W każdym razie tak powiedział. Wróci jutro.

Paulina wyczuwa lodowatą łapę, która dławi jej wnętrze. To samo musi czuć Teresa. Paulina nie jest w stanie wydusić z siebie słowa, więc siada na trawie i buduje wieżę z klocków dla Luke'a. Buduje wieżę, a malec ją zwała, buduje ją jeszcze raz i Luke znowu ją przewraca. Teresa siedzi na ławce i przygląda się w milczeniu. Chłopczyk nie posiada się z radości.

Paulina śni. Śni jej się Harry.

Harry wchodzi kuchennymi drzwiami w World's End.

- Halo! - mówi. - A ty jak się miewasz?

Nie jest ani o jeden dzień starszy. Jest taki sam, jaki był, kiedy Paulina widziała go po raz ostatni wiele lat temu. Jest po prostu Harrym.

- Idź sobie - irytuje się Paulina. - Nie chcę cię tutaj. Harry potrząsa głową z wyrzutem.

- Nie tak głośno. Teresa usłyszy.

- Właśnie chcę, żeby usłyszała. Teraz Harry przybiera ton mentorski:

- A więc jesteś złą matką, Paulino.

- Patrzcie, kto to mówi! - drwi Paulina. Harry potrząsa głową.

- Zawsze uwielbiałem Teresę.

- Jak miałeś wolną chwilę.

- Paulino - mówi Harry. - Przecież miałem swoją pracę.

- Wszyscy mamy swoją pracę.

- Kochanie, nie przyszedłem tu się sprzeczać.

- Nie prosiłam cię, żebyś przyszedł. I chcę, żebyś sobie poszedł - oświadcza Paulina.

Teraz Harry zaczyna płakać. Stoi, a łzy strumieniami płyną mu po twarzy. To sen, a we śnie wiarygodność ulega zawieszeniu, tak więc Paulinie nie przychodzi na myśl, że takie zachowanie jest niepojęte i zupełnie nie leży w charakterze Harry'ego. On nigdy nie płacze - nigdy, nigdy. Paulina nie jest też zdziwiona obecnością Teresy, która ma jakieś sześć lat, weszła właśnie do kuchni w World's End i patrzy zdumiona na płaczącego ojca.

- Nie zwracaj na niego uwagi - mówi Paulina do Teresy, ale Teresa nadal się gapi.

I ponieważ jest to sen, kuchnia w World's End stapia się z tamtym szeregowym domem, gdzie kiedyś mieszkali. Paulina także tego nie kwestionuje, ale kwestionuje fakt, że Harry'emu, który już nie płacze, towarzyszy grupa kobiet; jedne rozpoznaje, a innych nie: Myra Sams, pani Gatz, inne.

- Nie myśl, że zaproszę je na lunch - mówi Paulina. - Ani mi się śni. Przecież są ich całe tuziny.

- Paulino, zawsze miałaś skłonności do przesady - strofuje Harry.

Kobiety, które się za nim czają - szare, bezosobowe cienie jak dusze w czyścicu - nic nie mówią i nic nie robią. Po prostu są.

- Pozbądź się ich! - rozkazuje Paulina. - Natychmiast!

- Nie mogę - protestuje Harry. - One się przydarzyły, to wszystko. Nie mogę nic na to poradzić.

Wiesz o tym.

Rozdział siedemnasty

Kombajny zbliżają się powoli do World's End. Ich dudnienie doszło do szczytu wzgórza. Wkrótce nadejdzie kolej na World's End. Dwadzieścia akrów. Taka najwidoczniej jest nazwa tego pola. Paulina ustaliła to kiedyś w rozmowie z Chaundym.

- Jak się nazywa to pole? - zapytała.

- Dwadzieścia akrów - odpowiedział krótko Chaundy, patrząc na nią tak, jakby powiedziała coś idiotycznego.

- Myślałam, że pola mają indywidualne nazwy - odparła Paulina. - Jak Działka Perkinsa, Karczowisko Leśne czy Długa Łąka.

- Nic o tym nie wiem - oświadczył Chaundy. - O ile chodzi o mnie, to jest dwadzieścia akrów.

Paulina przypomniała sobie, że jej informacje pochodzą z programu w telewizji, i zaczęła podejrzewać, iż tam kryją się ostatnie składnice tajemnej wiedzy.

Dwadzieścia akrów padnie niedługo pod kombajnem. Traktory ryczą na drodze dojazdowej, zwożąc ziarno z dziesięciu akrów spoza wzgórza albo z piętnastu akrów, a może z dwudziestu pięciu. Według tego, co się mówi, nie są to dobre zbiory. Miejscowa gazeta zamieszcza zdjęcie farmera, który z oskarżycielską miną demonstruje wyschnięty kłos pszenicy. Nawet dzienniki państwowe, cierpiąc na deficyt politycznych skandali czy międzynarodowych katastrof, wspominają o tym fakcie w parze z informacjami o zakazie używania węży do podlewania i wyschniętych rezerwuarach. Naród jednak przebywa teraz na wakacjach i nie interesuje się przemysłową ekonomią.

W World's End żniwa są kwestią zmiany krajobrazu i związanych z tym hałasów w tle. World's End ma własne zajęcia.

Paulina i Maurice na ogół wzajemnie się unikają. To znaczy czasami Paulina znajduje się w ogrodzie z Teresą i Maurice'em albo w kuchni Teresy, kiedy jest tam także Maurice, ale próbuje nie zostawać z nim sam na sam. Nie ma Maurice'owi nic do powiedzenia ani teraz, ani kiedykolwiek, chociaż jest to perspektywa trudna do przewidzenia. Maurice skrupulatnie przestrzega, żeby w obecności Teresy być wobec Pauliny uprzejmym i nie wydaje się, by jej unikał, ale nadal postępuje zgodnie ze swoim rozkładem dnia. Jeśli przypadkowo Paulina znajdzie się na jego orbicie, trudno. Rzuca jakąś uwagę - łagodzącą uwagę bez konsekwencji - albo po prostu sztuczny uśmiezek. Słuchaj, zdaje się mówić, zła wola leży tylko po twojej stronie. Zachowujmy się jak rozsądni ludzie.

I tak rozwija się pasmo dni. Męczących, pełnych napięcia. Błękitnych i złotych dni, w których z nieba leje się żar.

Paulina widzi, że wóz Maurice'a odjechał na jeden z licznych wypadów do Hadbury czy gdzie indziej, idzie więc w odwiedzinach do sąsiedztwa. Zabawia Luke'a, podczas gdy Teresa myje głowę na górze. Dzwoni telefon.

- Możesz odebrać, mamó?! - woła Teresa.

- Halo?

- Teresa? - odzywa się niepewnie James Saltash.

- Nie, to ja, Paulina.

- Tak myślałem. Dzień dobry... - James waha się. - Czy jest Maurice?

- Nie ma go teraz. Czy mam poprosić Teresę, by mu powiedziała, że pan dzwonił?

- Nie trzeba - mówi James. Ma głos nieco chłodny, trochę nieszczerzy. Ale Paulina czuje, że ta sztywność nie dotyczy jej. - Tylko... gdyby ktoś mógł mu powiedzieć, że osoba, która robiła indeks w jego ostatniej książce, nie może się tego podjąć, musimy więc szukać kogoś innego. Muszę jedynie usłyszeć od niego, czy się na to godzi.

- Słusznie - potwierdza Paulina.

- U pani wszystko w porządku? Tutaj skwar nie do zniesienia, powinna pani czuć się szczęśliwa, że nie musi być w mieście.

Rozmawiają jeszcze przez chwilę i Paulina odkłada słuchawkę.

A więc on wie. A jeśli nawet nie wie, to dotarł do niego jakiś powiew, powiew wystarczająco ostry, żeby go wytrącić z równowagi. Biedny chłopak. Chociaż, rzecz jasna, w jego przypadku, gdy się dowie, będzie to dla niego miłosiernym zrządzeniem losu, jakie zapewne w godzinie przeznaczenia uwolni go od tej dziewczyny, jeśli ma jeszcze trochę instynktu zachowawczego. A wtedy będzie mógł się nim zająć ktoś bardziej do niego podobny. Teraz jednak jest wytracony z równowagi, co łatwo poznać po tonie jego głosu, ze sposobu, w jaki wypowiada imię Maurice'a, z rezerwy, która nie jest mu właściwa. „Zastanawiająca rzecz: ludzki głos - myśli Paulina. - Zdumiewająco wyrazisty, chcesz czy nie chcesz. Nic dziwnego, że zawód aktorski może z nim czynić to, co czyni”. Paulina snuje refleksje nad wszechstronnymi zdolnościami mowy. W tych dniach pomaga jej to zwrócić umysł ku interesującym, bardziej abstrakcyjnym sprawom.

- A może zrobisz karierę na scenie? - mówi do Luke'a. - Powiedz tata. Nie, nie mów. Powiedz mama. Mam-mam-mam-mam...

Luke przygląda się jej. Promienieje. Składa usteczka i cmoka:

- Mmmmm... - mamrocze. Może.

Kombajn podjechał. Czołga się tam i z powrotem przez cały dzień. Żółty, młócający potwór pożerający pszenicę. Dzień, dwa, potem odjeżdża. Słoma zostaje ułożona w bele, a pole staje się nowym огоłonym krajobrazem, wzburzoną, złotą przestrzenią ścierniska, przeczesaną śladem kół. Stoją na niej bębny słomy, popakowanej w nienaganne spirale bel. Za dnia wyglądają jak olbrzymie bawełniane koła, ale nocą zmieniają wygląd. Stają się dziwnymi monolitami, zgromadzoną na zboczu wzgórza wyrzeźbioną armią o pustych twarzach, spoglądającą martwo w dół na World's End.

Paulina zapomniała, że Harry ma w tym czasie przyjechać do Londynu. Jest zaskoczona, gdy Teresa mówi, że jedzie do miasta następnego dnia wczesnym rankiem. Jej oszołomienie jest widoczne.

- Do Londynu - powtarza Teresa. - Harry. Pamiętasz?

- Oczywiście.

- Weźmiemy Luke'a do zoo albo gdzie indziej.

Paulina nie bardzo może sobie wyobrazić Harry'ego w zoo ani teraz, ani kiedykolwiek.

- No cóż, to może być zabawne - zauważa. - Przynajmniej dla Luke'a.

- Maurice nie jedzie. Rzeczywiście to nie miałyby sensu. To tylko ja chciałabym pokazać Luke'a Harry'emu. W dodatku Maurice nie przepada za jazdą samochodem razem z Luke'em. - Krótki, oschły śmiech wrywa jej się z gardła.

Paulina jest wstrząśnięta tym śmiechem, który bardziej przypomina parsknięcie, przytłumioną eksplozję. To symptom, jak dalece zaszła w Teresie zmiana w ciągu ostatnich tygodni. Niegdyś byłoby dla niej niemożliwością dawać do zrozumienia, że krytykuje Maurice'a, sugerować, że się do czegoś nie nada. Paulina przez chwilę widzi osobę, jaką Teresa mogłaby się stać w klimacie stwarzanym przez Maurice'a: zgorzkniałą, jędzowatą, schwytaną w pułapkę.

- Może powinnam cię odwiedzić - sugeruje Paulina.

- Dam sobie radę. - Teraz Teresa jest zdenerwowana. Nie chce troskliwości. Chce spełnić swój obowiązek, i to wszystko. Paulina znowu czuje nikły płomyk skruchy w stosunku do Harry'ego, który został zredukowany do obowiązku. Tak upadają mężczyźni.

- Wrócę w piątek na lunch - oznajmia Teresa.

Dzwoni Hugh.

- Posłuchaj - mówi - masz chwilę czasu?

- Ależ oczywiście, że tak - potwierdza Paulina. - Nie ma się tutaj pilnych zobowiązań o pół do jedenastej wieczorem.

- Siedzę w biurze od kilku godzin całkiem sam, z butelką czerwonego węgierskiego wina, inaczej pewnie nigdy bym nie miał tyle odwagi, żeby to powiedzieć. Czy nie chciałabyś... przypuśćmy... pomyśleć o tym, żeby za mnie wyjść?

- Och... - Paulina jest zupełnie wytrącona z równowagi. - Och, Hugh, czy ty... czy jesteś pewien... słuchaj, powinniśmy oboje bardzo starannie to przemyśleć, to znaczy... uważam, niech każde z nas dobrze to przemyśli.

Oboje wiedzą od razu, że odmawia.

- Tylko tak sobie pomyślałem - tłumaczy się Hugh. - Możliwe, że bez sensu. No nic, machnij na ten pomysł ręką. Zaczyna opowiadać o jakiejś aukcji książek, na jakiej był, o ekscentrycznym duńskim kliencie, a także o wystawie, której Paulina nie powinna przegapić. Jest miły, w dobrym humorze, leciutko zamroczony winem. Paulina wie, że już więcej nie podniesie kwestii małżeństwa, chyba że go do tego zachęci. A jej własny, spontaniczny opór sprawia, że się kurczy ze strachu. „Ale mam rację - myśli - wiem, że mam. To by nie mogło się teraz udać. Ani teraz, ani nigdy”.

Teresa wyjeżdża do Londynu. Paulina wychodzi ją pożegnać, ale nie zatrzymuje się dłużej. Widzi przez okno, jak Teresa przypina Luke'a do dzieciennego fotelika na tylnym siedzeniu i jak Maurice wynosi torbę Teresy. Potem Teresa odjeżdża, a Maurice ani jej nie macha ręką, ani nie obserwuje oddalającego się

wozu, tylko prosto kieruje się do domu, gdzie zapewne będzie zmuszony siedzieć aż do jej powrotu. „Żadnych niespokojnych wycieczek dzisiaj, mój panie - myśli Paulina. - Masz usiąść i wziąć się do roboty. Nic poza faksem i telefonem. Chyba że zechcesz przyjść i błagać, żebym ci pożyczyła mój samochód”.

Panuje jeszcze większy upał niż wczoraj. Paulina czuje, że w gabinecie jest duszno nawet przy otwartym oknie. Przez większą część przedpołudnia kręci się po domu, przyrządzając sobie coś zimnego do picia. Nie może jej wyjść z głowy propozycja Hugh'a, jego głos w słuchawce telefonicznej poprzedniego wieczoru, jego słowa. Czy go nie obraziła? Czy będą mogli wrócić do status quo? Z pewnością, pociesza się, więzy, które ich łączą, są na tyle mocne, żeby przetrwać niebezpieczny moment. Rozważa, czy nie zadzwonić do Hugh'a, ale decyduje, że tego nie zrobi. Najlepiej niech to minie, niech się uspokoi, trzeba pozwolić, żeby Hugh przypisał swój poryw węgierskiemu winu i pogrzebać cały epizod.

Paulina myśli teraz z ukłuciem niepokoju o Teresie i Luke'u na szosie i chciałaby sprawdzić, jak dojechali. Kolejna rozmowa telefoniczna, której mądrzej będzie nie przeprowadzać.

W porze lunchu bierze drinka do ogrodu i siada na chwilę w cieniu jabłoni. Maurice nie wychodzi, a ona właściwie nawet o nim nie myśli. Jest teraz bardzo cicho w World's End, bez pokrzykiwań i gaworzenia Luke'a, bez łoskotu kombajnu. Tylko ptaki i od czasu do czasu odległy ryk samolotu.

Paulina pracuje solidnie w ciągu popołudnia. Słońce zeszło już z jej gabinetu, zrobiło się więc chłodniej. Gdy około piątej decyduje się skończyć robotę i wygląda przez okno, wydaje się, że słońce zupełnie się schowało. Niebo jest matowe, nie tyle zachmurzone, co dziwnie nieprzejrzyste, powietrze - gęste i ciężkie, a skądś z bardzo daleka dochodzi długi, toczący się odgłos. Rano zapowiadano przez radio, że możliwe są przelotne burze. „Ale najwyraźniej przechodzą bokiem” - myśli Paulina. Schodzi na dół, robi sobie szklankę herbaty, siada i popijając ją, czyta. Potem udaje się na górę, żeby wziąć kąpiel. Leży w wannie długo, na pół drzemiąc. A kiedy wreszcie wychodzi z kąpeli, w małym pokoju jest prawie ciemno i musi zapalić światło. Wygląda i widzi, że spoza wzgórza nasuwa się ogromna szara chmura. Niebo znowu pomrukuje coraz bliżej.

Przez kilka następnych godzin burza krąży wokół doliny. Raz wycofuje się całkowicie - niebo się przejaśnia i błyska słabe słońce. Ptaki śpiewają niespokojnie. Paulina gotuje sobie kolację i je, obserwując długie cienie, jakie rzucają bele słomy: ciemne palce kładące się na ściernisku. A potem cienie się zlewają, niebo ponownie ciemnieje, ciemnieje tak, iż wydaje się, że już zapadł zmrok, ale to dopiero siódma godzina w letni wieczór. Ucichło i tylko ptaki śpiewają jak oszalałe, wydzwaniając w ciszy. Powietrze znowu zgęstniało, staje się tak nabrzmałe, że ma się wrażenie nacisku, jak gdyby wszystko się ze sobą zwarło. Płomień białej błyskawicy, więcej grzmotów. „To chyba matka i ojciec wszystkich burz” - myśli Paulina. Obchodzi dom, zamykając okna, gdyż spotkała się już z czymś podobnym w World's End i wie, co nadciąga. Ta dolina zdaje się w jakiś sposób przyciągać burze. Siadają na niej i wytwarzają ogromne ilości wody, która próbuje znaleźć słabe punkty, aby się wedrzeć. Paulina podkłada zwinięte gazety pod drzwi prowadzące na tyły domu.

Błyskawica rozdziera niebo tuż nad jej głową. Olśniewające białe światło, a potem ciężki trzask piorunu i grzmot, który przetacza się i oddala. W nagłej ciszy Paulina słyszy pierwsze smagnięcie deszczu o szyby. Stoi i patrzy z ciekawością na kolejne fazy żywiołu. W ciągu paru minut deszcz zmienia się w gęstą ulewę, tak że zaledwie może rozróżnić kształty słomianych bel na polu, a już po chwili zmiata je sprzed oczu gruba zasłona deszczu, zmieniającego się wkrótce w grad, w przesłaniającą wszystko kurtynę bieli. Płachta błyskawicy, zygzak błyskawicy, trzask grzmotu. Światło w kuchni zaczyna migotać.

Paulina podchodzi do kredensu, wyjmując lichtarze i świece. To następny krok, także dobrze znany. Nauczyła się już, że dostawa elektryczności na wsi jest wzruszająco wrażliwa na złą pogodę.

Gazetowe podkładki pod drzwiami przemokły. Wymienia je i obchodzi dom, wycierając ścierką parapety okienne. Panuje teraz taki hałas, że nie słyszy własnych kroków. Wraca do kuchni w chwili, gdy światło znowu zaczyna migotać, a potem gaśnie. Zapala świece, po czym jedną stawia na stole, drugą na kredensie. Kuchnia staje się jaskinią światła i ciemności - cichszą, starszą. Paulina siedzi w wiklinowym fotelu obok kredensu i podziwia świetlne efekty. Zielone oko na lodówce zgasło, przestały też świecić mrugające zielone i czerwone cyfry na przyciskach elektrycznej i mikrofalowej kuchenki. Teraz panują tu kolory brązu i sepii - niczym na starym olejnym obrazie - ze złotymi kręgami światła wokół świec. Okno jest kwadratem żywej bieli jak race błyskawic. Grad podskakuje na zewnętrznych parapetach. Znowu trzask gromu. Paulina nie odczuwa niepokoju. Myśli, że inni przetrwali burze, siedząc w tym miejscu i patrząc na podobne rzeczy.

Filizanka kawy dobrze by jej zrobiła. Podnosi się i wtedy sobie uświadamia, że to niemożliwe. Stało się coś więcej. Podnosi słuchawkę telefonu. Głucho. Oczywiście, to także. Jeszcze jeden znajomy rytuał związany z burzą z piorunami.

Zamiast kawy nalewa sobie lampkę wina i sadowi się z nią wygodnie przy świecach. Zagląda do gazety, patrzy na nieziemskie światło błyskawic, czeka na kolejny łoskot pioruna. Znowu obchodzi dom dokoła ze ścierką w ręku i podejrzliwie spogląda na sufit w sypialni, bo wie, że to słaby punkt. Jak dotąd wszystko w porządku. Teraz błyskawice nie są tak intensywne, grzmoty coraz odleglejsze. Deszcz nie zaczyna już z taką siłą. Burza zaczyna się oddalać. Ale mała nadzieja, żeby podłączono elektryczność wcześniej niż rano, Paulina wie o tym z doświadczenia.

O pół do dziesiątej deszcz ustał, a grzmoty dochodzą z bardzo daleka. Paulina otwiera drzwi frontowe, żeby przez chwilę popatrzeć na przemokły krajobraz, teraz prawie cały pogrążony w ciemności. Potem porządkuje kuchnię, poruszając się niemal po omacku w półmroku, i wreszcie wchodzi na schody z lichtarzem w ręku, by sprawdzić sufit w sypialni. Tu słyszy, że drogą dojazdową jedzie jakiś samochód. Przejeżdża obok z zapalonymi światłami, co na moment zaskakuje Paulinę, przypomina sobie jednak o hodowli kurcząt. Oczywiście, trzeba podjąć środki zaradcze, gdy nie ma światła.

Zagląda do łazienki, by obejrzeć sufit, o którym także wie, że może przepuszczać deszcz w czasie ulewy, gdy raptem słyszy na dole jakiś odgłos. Ktoś wszedł do domu przez nie zamknięte drzwi frontowe.

Przez sekundę czuje skurcz w żołądku, a potem przypomina sobie o Maurice'u, o którym dotąd nie pamiętała. I rzeczywiście, stojąc na podeście, widzi, że to istotnie Maurice, który jest już w połowie schodów.

- Mogłeś chyba zapukać - mówi z wyrzutem Paulina. - Myślałam, że to jakiś włóczęga.

Maurice potyka się i wyciąga rękę, żeby złapać równowagę. Kiedy zaczyna mówić, Paulina zdaje sobie sprawę, że jest porządnie pijany.

- Ktoś przejeżdżał tędy samochodem. Czego mogą tu chcieć, jak uważasz?

- Niczego. Muszą coś zrobić z tą hodowlą kur na górze, kiedy wyłączają prąd.

- A dlaczego jeszcze nie włączyli?

- Nigdy nie włączają wcześniej niż po dobrych kilku godzinach. Masz świece? - dodaje mimochodem. Wie, że Teresa ma zapas świec, ale możliwe, że Maurice nie wie, gdzie są.

Maurice macha ręką lekceważąco. Wszedł na górę na podest; stoi teraz obok Pauliny, tyłem do schodów, podczas gdy ona ma za sobą drzwi do łazienki.

- Chodź na dół, napijemy się czegoś. Właśnie jestem w połowie butelki pysznego wina z Bordeaux.

- Idę spać - mówi Paulina. - A ty byś dobrze zrobił, gdybyś sprawdził wasz sufit na górze. Dach może przeciekać.

- Paulino - pyta Maurice - dlaczego mnie tak traktujesz?

Stoją na podeście zwróceniem przodem do siebie. Za Maurice'em jest czarna pochyłość wąskich schodów. Świeca oświetla tylko jego twarz: kościstą, niewyraźną, wykrzywioną uśmiechem.

- Dobrze wiesz dlaczego - odpowiada Paulina.

- Och, daj spokój - mówi Maurice. - Jesteś przecież dorosłą kobietą. Takie rzeczy się zdarzają, na pewno wiesz o tym. - Paulina wpatruje się w niego, milcząc, a Maurice ciągnie dalej: - Takie lodowate traktowanie nie pomoże. Nie mogę nic na to poradzić. Ani ty. Przykro mi, ale tak jest.

Później, znacznie później, kiedy Paulina próbuje odtworzyć każdą chwilę, uświadamia sobie, że zrobiła krok w jego kierunku, opanowana gniewem. Nigdy dotąd nie czuła takiej wściekłości, wydobyła się, rycząc, skądś z głębi niej. Cała scena jest zniekształcona przez swoje okrucieństwo. Rusza ku niemu. Może coś mówi, może podnosi rękę. Maurice uchyla się. Chwieje się na nogach, może dlatego, że jest pijany, może z innego powodu. Przerzuca ciężar ciała na słabszą nogę, a potem daje krok do tyłu, żeby odzyskać równowagę.

Leci na głowę i spada na sam dół stromych schodów, do małego holu. I już później, znacznie później, Paulina sobie przypomina, że usłyszała trzask, kiedy Maurice uderzył głową w podłogę i skręcił kark.

Wiele osób będzie mówić o śmierci Maurice'a w ciągu nadchodzących dni i tygodni. Mówią o tym Paulinie cichym, poufnym tonem jej znajomi, znajomi Teresy. Do Teresy przemawiają inaczej. Są energiczni i praktyczni, chcą, żeby ich odwiedziła, przyprowadziła Luke'a, żeby poszła z nimi tu czy ówdzie. Chcą wypełnić jej dni. Ale wobec Pauliny mówią tym ściszym, uspokajającym głosem. Mruczą coś o tym, że mogło stać się coś jeszcze gorszego, prawda? To znaczy, że on mógł nie umrzeć. Mógłby przeżyć. Ale po takim upadku jak ten... Niedomówienia wiszą w powietrzu. Maurice sparaliżowany, z uszkodzonym

mózgiem. Teresa przykuta w wieku trzydziestu lat do leżącej w łóżku wegetującej rośliny. To wstrząsająca tragedia, Bóg wie, przekonują, ale można sobie wyobrazić jeszcze gorszą sytuację.

Tak, odpowiada Paulina, można.

A tak jak jest, tłumaczą, kiedy - kiedy - już dojdzie do siebie, może sobie ułożyć życie na nowo. Tak, potwierdza Paulina, może.

I oczywiście Luke właściwie nawet nie zdążył go poznać. To znaczy, nie będzie pamiętał. Nie, mówi Paulina, nie będzie.

Ale to okropne, ubolewają. Nie do wiary. Ni stąd, ni zowąd, ot tak po prostu. I to właśnie Maurice, nikt inny, tylko on.

- Sprzedaj ten dom - radzi Hugh.

- Może i tak - zgadza się Paulina.

- I, na litość boską, wróć wreszcie do Londynu, teraz, kiedy śledztwo skończone. Spakuj się i wracaj!

- Tak - mówi Paulina. - Tak, myślę, że to zrobię.

I dopiero wtedy opowiada mu o tym lecie w World's End.

- Taka cholera - oświadcza pracownik Chaundy'ego, stojąc u wejścia do domu i patrząc na schody, już potem, kiedy karetka pogotowia odjechała.

On się zatrzymał, ponieważ uważał, że Paulina nie może zostać sama po tym, co się stało, i potem jak pojechała na szczyt wzgórza prosić o pomoc tego, kto akurat był tam w barakach z kurczakami.

- Taka cholera - powtarza, a Paulina przez jedną splątaną chwilę myśli, że to odnosi się do Maurice'a, ale oczywiście on mówi o schodach. - Moja ciocia kiedyś się na nich wywaliła - opowiada dalej - ale nie było tak źle jak teraz.

Okazuje się, że w swoim czasie mieszkali tutaj jego krewni.

- Cholerne miejsce - dodaje człowiek Chaundy'ego. - Ciocia była szczęśliwa, że może się go pozbyć i przeprowadzić do wsi. No, teraz tu jest inaczej - kończy pośpiesznie.

- Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć... - mówi Harry - jeśli jest coś, co mógłbym zrobić, cokolwiek by to było. Powiedziałem Teresie, że mam nadzieję, iż zechce pomyśleć o przyjeździe na trochę do Los Angeles. Później. Żeby się oderwać.

- To może być niezły pomysł - wyraża przekonanie Paulina. - Później.

- Że też taka potworna rzecz musiała się zdarzyć - ciągnie Harry. - To człowieka zbija z tropu. To znaczy, zaczyna się myśleć... - Paulina domyśla się, co Harry chce powiedzieć: że śmierć Maurice'a zmusiła go do rozmyślań o własnej śmiertelności. - Żałuję, że nie miałem okazji poznać go lepiej - dodaje Harry. - Spotkaliśmy się tylko ten jeden raz. Jak Teresa teraz się czuje? Rozmawiałem z nią w zeszłym tygodniu i wydawało mi się, że... hm, jest dość spokojna jak na to, co się stało. Myślisz, że się dobrze czuje?

- Nie wiem - odpowiada Paulina. - Mam nadzieję, że tak. Harry milknie. Po chwili:

- Gdybyś miała ochotę wybrać się z nią do Los Angeles... później. Bardzo bym tego chciał.

- Raczej wątpię, czy mogłabym się wybrać - ucina Paulina. - Ale dzięki, że o tym pomyślałeś.

James Saltash mówi mało. Stoi z Pauliną w gabinecie Maurice'a w World's End, dokąd przyjechał, aby przejrzeć maszynopis Maurice'a i jego notatki i zabrać to, co najważniejsze.

- Możemy to wydać - twierdzi. - Zrobił wystarczająco dużo poprawek w ostatecznej wersji, żebym mógł się połapać, jak to wszystko poskładać. A wtedy będzie trochę pieniędzy dla Teresy.

Podnosi luźne kartki i z powrotem kładzie je na biurku. Kosmyk czarnych włosów spada mu na czoło. Ciągle jeszcze wygląda jak szczeniak, ale teraz to szczeniak, który miał złe doświadczenia i jest ostrożny. Stara się nie patrzeć Paulinie w oczy.

- Czy zechce pani przekazać Teresie serdeczne pozdrowienia?

- Ależ oczywiście.

- Nawiasem mówiąc, może powinienem pani powiedzieć... Carol i ja zerwaliśmy z sobą.

- Och... - mówi Paulina. - Tak. Rozumiem.

A James Saltash wyraźnie jest zbyt pogrążony w swoich własnych problemach, żeby zauważać jej bezstronność, którą mógłby uznać za brak współczucia. Dalej podnosi pliki papieru i kładzie je z powrotem.

- Tak czy inaczej - zapewnia - dam sobie z tym radę. Niech pani się mną nie kłopotce. Na pewno jest pani bardzo zajęta.

Nie poświęca więcej uwagi Maurice'owi. On istnieje już tylko w kategoriach książki. Stał się zobowiązaniem zawodowym.

Teresa odzywa się najmniej ze wszystkich. Kiedy wynurza się z ponurego milczenia po doznanym szoku, staje się powściągliwa w specjalny sposób. Mówi o wszystkim i o czymkolwiek, tylko nie o Maurice'u. Jej znajomi martwią się tym.

- Nie sądzi pani, że to nie jest dla niej dobre? - pytają Paulinę. - Czy nie powinna... hm, wspominać? Czy nie powinna tego wypowiedzieć? Czy nie uważa pani, że ona to wszystko w sobie tłumi?

Paulinie zaś Teresa oświadcza:

- Nie wiem, co się stało, i nie chcę wiedzieć.

Patrzą sobie w oczy. Przez moment słowa wiszą w powietrzu. Potem, a także znacznie później jest tak, jakby nigdy nie zostały wypowiedziane.